

SERGE JACQUEMARD

JEŚLI ZABIJAM

Przełożyli: Anna Błaszczńska-Wasiak i Jacek Wasiak

„KB”

Rozdział I

Na jakie lata przypada przejście z dzieciństwa, przedłużonego o wiek młodzieńczy, w dojrzałość?

- To zależy od indywidualnych cech człowieka, tak sądzę. Dla mnie w każdym razie, ten okres zaczął się dzisiaj.

Dzisiaj...

Jest środek jesieni. Za dwa miesiące i osiemnaście dni będę miała siedemnaście lat. „Będiesz stara!...” - wykrzyknęła Eleonora. Ona ma tylko piętnaście lat. To ją usprawiedliwia.

Dzisiaj...

Nie wiedziałam o tym na początku dnia, który zaczął się całkiem niezłe. Lukrecja, nasza wielce dystygowana kucharka, smażyła racuchy z jabłkami na śniadanie dla dzieci. Uwielbiam racuchy z jabłkami! Eleonora także. Pochłonęłyśmy cały stos. Jednym haustem wypiałam drugi kubek kawy bez mleka, bo od dawna mam do niego wstręt.

Ojciec podczas całego śniadania nie wyrzekł ani słowa. Od czasu gdy został wdowcem, stał się szczególnie milczący. Później Eleonora i ja schroniłyśmy się w naszej wieży. „Nasza wieża”... Tylko tam czułyśmy się dobrze. Każda z nas ma swoje własne piętro, gdzie robi co chce. Jedyne kłopot w tym, że wieża nie ma ogrzewania. Na szczęście nie jesteśmy zmarzluchami.

W tym zachwycającym miejscu Szampanii, między Epernay i Domans, gdzie ojciec ma zamek, jesień jest chłodna. Ale ja tak lubię krajobraz, który rozciąga się wokoło. Są tu przeogromne lasy z polankami porośniętymi trawą oraz stawy o

nieregularnych kształtach i brzegach zrytych przez dziki. Są też zagajniki wydeptane przez łanie oraz gromady macior spacerujących z warchlakami.

„Nasza wieża” pochodzi z XIV wieku. Tak samo jak zamek. Z tą jednak różnicą, że zamek wyremontowano, a wieży nie. Jest bardzo zrujnowana. Ale cóż to znaczy wobec faktu, że Eleonora i ja kochamy ją taką, jaka jest. Tylko „Najmilsza Bibi” jej nie lubi. Wielka, koścista i bez wdzięku, jest nauczycielką każdej z nas po kolei. Nosi perukę. Pewnego dnia ta peruka poszybowała nad zębatym zwieńczeniem muru naszej wieży i zobaczyłyśmy, że ma czaszkę wygoloną jak galernik. Stąd jej przezwisko. Ona nie lubi naszej wieży, ponieważ tam jest zimno. Tym gorzej dla niej! Och, gdyby ona mogła rozchorować się na gruźlicę!...

I właśnie dzisiaj nie przyszła. Czy nie mówiłam, że dzień dobrze się rozpoczął! Eleonora wykorzystała to, by włączyć muzykę pop tak głośno, że jej gramofon wył z niemocy. A ja poszłam osiodłać Yemena, mojego wierzchowca czystej krwi, i błędziłam sobie po lesie. Wspaniały dzień!

Czyż mogła przewidzieć, co zdarzy się tej nocy?...

Przebudziłam się gwałtownie. Ciemności wokół mnie były niepokojące, pełne niebezpieczeństw...

Długi, lodowaty dreszcz zygzakiem przebiegł mi po krzyżu niczym żmija wijąca się po mojej skórze. Przykrycie i prześcieradła stanowiły ostatni szaniec, wprawdzie w potwornym nieładzie, ale broniły przed niebezpieczeństwami nocy. Wysoko pod sufitem, na ścianie przeciwległej do okna znajdował się czarny, duży kwadrat, a właściwie blaszana płyta, którą zakryto otwór wentylacyjny kominka. Tędy przed laty przechodziły rury pieca węglowego, teraz zastąpionego

grzejnikiem elektrycznym.

Jeszcze pamiętam tamte czasy. Już wtedy ten pokój należał do mnie. W ciemnościach nie raz nie mogłam zasnąć, ponieważ dręczyła mnie myśl, że diabeł mógłby odepchnąć rury i wyłonić się z otworu, cały pokryty sadzą i trzymający garść rozżarzonych węgla. Blaszana płyta zawsze przyciągała mój wzrok. Także tej nocy nie spuszczałam z niej oczu, jak gdyby jedyne niebezpieczeństwo, które mi zagrażało, mogło pochodzić ze złowrogiego czarnego czworoboku.

Moja nocna koszula była mokra od potu. Pomacałam prześcieradło - wilgotne. Prześlizgnęłam się w drugi koniec łóżka. Tam prześcieradło było zimne, ale przynajmniej suche. Poduszka pachniała lawendą. To jedno z dziwactw starej Laurencji, która nie mogła pozbyć się przyzwyczajęń wyniesionych z własnego domu.

Pospiesznie uwolniłam się z nocnej koszuli i wcisnęłam pod prześcieradła. Trzęsłam się trochę. Trudno, lepsze to niż śmierć.

Na próżno próbowałam znowu zasnąć. Im bardziej się zmuszałam, tym mój umysł stawał się jaśniejszy. Usiłowałam więc wskrzesić koszmary, które doprowadziły do tego, że się obudziłam. I tu poniosłam zupełne fiasko. Nie mogłam sobie wyobrazić nic spójnego, widziałam jedynie gmatwaninę pomieszanych, ulotnych wrażeń, stworów bez głów i ogonów, jak z obłąkanych filmów schizofreników.

Bez mokrej od potu, nocnej koszuli obeschła mi skóra. Teraz z kolei czułam pragnienie, które paliło mi gardło. Zastanawiałam się, czy wyjść spod prześcieradeł, które stawały się coraz cieplejsze, i zejść do kuchni, by poszperać w lodówce.

Moje wahanie nie trwało długo. Pragnienie było silniejsze. Zebrałam się na odwagę, odrzuciłam prześcieradła i zeskoczyłam na dywanik leżący przed łóżkiem. Wciągnęłam na siebie sweter i stare dzinsy, nogi wsunęłam w klapki i otworzyłam drzwi. Nie musiałam zapalać światła. Znałam otoczenie jak własną kieszeń.

Parkiet przedpokoju i schodów trzeszczał pod moimi stopami. To nic dziwnego. Drewno liczy sobie sześć wieków i jest tak suche, że gdyby upadła tu zapalona zapałka, stare domostwo płonęłoby jak prowansalski las sosnowy w sierpniu.

Lodówka mruczała niczym kotka w upalny dzień. Promień księżycowego światła przesączał się przez zasłony i błyskał w niklowym uchwycie drzwi, gdy umykając położyłam na nim rękę.

Zastanawiałam się, czy wybrać schweppes czy colę. W końcu wzięłam napój pomarańczowy. Otworzyłam butelkę i poszłam rozsunąć zasłony w oknie. Księżyc świecił mi prosto w twarz. Jego blask nie był jednak na tyle oślepiający, bym nie dostrzegła rozproszonego światła, które wydostało się z dawnej stajni.

Nagle powietrze zatrzymało mi się między gardłem a żołądkiem. Stara stajnia nie była lubianym miejscem, więc zapalone tam w środku nocy światło wydało mi się czymś nienormalnym.

Czy coś się tam dzieje? Może się pali? Może zakradli się złodzieje? Tylko co złodzieje mieliby do roboty w miejscu takim jak to? Czyżby chcieli rozebrać stare, drewniane drabiny na siano nad żłobami? To śmieszne. Powinnam uprzedzić ojca. Pospiesznie opróżniłam do reszty butelkę napoju pomarańczowego i pobiegłam na pierwsze piętro.

Kiedy otworzyłam drzwi do pokoju ojca i przekreśliłam kontakt, rozbłysło oślepiające światło. Zamrugałam

oczami z niedowierzaniem, choć musiałam uzmysłwić sobie prawdę - pokój był pusty, a łóżko nawet nie rozesłane. Obydwie połowy okna były szeroko otwarte, a wewnątrz wypełniał chłód.

Podmuch zimna wywołał dreszcz. Rzuciłam się z powrotem, przebiegłam korytarz i otworzyłam drzwi do pokoju Eleonory. Spała spokojnie. Popatrzyłam na zegarek, który tykał na nocnym stoliku. Na pewno nie poszedł włóczyć się po spelunkach, albo miejskich barach o złej sławie. To nie w jego guście. A zatem? Czyżby jego nieobecność miała coś wspólnego ze światłem, które widziałam niedawno, a które pochodziło z dawnej stajni? Muszę to sprawdzić.

Wróciłam do mojego pokoju i zdjęłam klapki. Założyłam długie, wełniane rajstopy, buty do polowań, a na wierzch, na sweter, narzuciłam kurtkę podbitą futrem. Później zeszłam do holu. Zatrzymałam się przed ozdobną szafką ze strzelbami myśliwskimi i wzięłam pierwszą z brzegu. Naładowałam ją grubym śrutem, wsunęłam latarkę elektryczną do kieszeni kurtki i wyszłam na zewnętrzne schody domu.

Zeszłam na dół, nawet nie spojrzawszy na księżyc, który zalewał mnie swoim mlecznym światłem. Energicznym krokiem okrążyłam fasadę domu, minęłam gęste zarośla, z których unosił się zapach wiciokrzewu, i stanęłam przy murze stajni. Teraz lepiej widziałam, skąd wydostawało się światło, które dostrzegłam z okna kuchni. Wychodziło przez ozdobną szybę, która zwieńczała

obydwa skrzydła drzwi. Było żółtawe i rozproszone, a momentami drgające.

Skradając się podeszłam do drzwi i położyłam rękę na zupełnie zardzewiałej zasuwie, która utrzymywała na miejscu oba skrzydła. Zasuwa była odciągnięta. Przyłożyłam ucho do drzwi i nasłuchiwałam. Dotarł do mnie jakiś nieokreślony dźwięk, jak gdyby wewnątrz melodyjnie odmawiano modlitwy. Wsunęłam dwa palce w szparę między skrzydłami drzwi i usiłowałam pociągnąć ku sobie jedno z nich. Czułam opór. Zrozumiałam, że są zablokowane od wewnątrz. Zagryzłam ze złości wargi.

Nagle przyszło olśnienie. Czyż nie bawiłam się wiele lat temu ześlizgując się do dawnego zbiornika na gnojówkę i wpełzając do bardzo szerokiego ujścia, przez które niegdyś spływała zużyta woda wraz z końską uryną? Nie martwiłam się pierwotnym przeznaczeniem kanału. Znalazłam wejście, przez które niegdyś, wśród śmiechów, „spływałam” do stajni. Oczywiście mogłam wtedy wejść drzwiami, ale było to znacznie mniej ekscytujące.

Nie czekając dłużej, pobiegłam w kierunku zbiornika. Uważałam jednak, by nie narobić zbyt wiele hałasu. Usiadłam na brzegu i zsunęłam się w dół. Wylądowałam miękko i klękawszy oczyściłam otwór spływu z uschniętych, na wpół zgniłych liści, które go zasłaniały.

Zrobiwszy to, wyciągnęłam się na brzuchu i trzymając przed sobą strzelbę, tak jak to widziałam w filmie „Marynarze” opowiadającym o wojnie na Pacyfiku, czołga-

łam się wspierając na łokciach, z głową wciśniętą w ramiona.

Ledwie przeszłam kilka metrów, jakieś cuchnące powietrze niemile uderzyło mnie w twarz. Jak gdyby zupełnie niedawno używano tego spływu fekaliów. Smród był odrażający, ale brnęłam dalej. Nie mogłam się cofnąć. Nie ja! Przecież wiedziałam, że zostało mi do przebycia tylko parę metrów. Przyspieszyłam więc, starając się nie oddychać przez nos. Nie było to łatwe, ale udało się. Ostatnie metry były najgorsze. Miałam wrażenie, że się duszę. W skroniach czułam tysiące bębnow uderzanych w szalonym rytmie. To był prawdziwy obłęd!

Zobaczyłam wreszcie koniec mojej katorgi - plamę światła w głębi tunelu akurat na wysokości oczu. Ostrożnie zbliżyłam się do otworu. Powietrze stało się czystsze. Błyski światła muskały mi czoło. Powoli odzyskiwałam oddech; bębny oddalały się od mojej głowy, znikaly... Byłam cała mokra. Pot zalewał mi oczy.

Odczekałam dobre dziesięć minut, aby wreszcie odzyskać formę. Czułam się lepiej.

Teraz głosy, które słyszałam niedawno, stojąc pod drzwiami stajni, stały się czytelniejsze. Prawdę mówiąc, to nie było mruczando, ale melodyjna deklamacja wielu głosów. Na próżno próbowałam zrozumieć słowa. Nagle podskoczyłam. Nie myliłam się. Wśród innych rozpoznałam głos mojego ojca. A ten drugi, który także słyszałam...? Tak. Ten też jest mi znany. Spójrzmy... Do kogo należy?... Co?... Do doktora Levasseur'a!? Ależ tak, oczy-

wiecie! Do Piotra Levasseur'a! Ale o co tu chodzi? Co oni robią o tak późnej porze w starej stajni? Co oznacza ten śpiew?

Ciekawość kazała mi przesunąć się jeszcze kawałek. Zrobiłam to nieświadomie. Znajdowałam się teraz w plamie światła, z twarzą uniesioną w kierunku wylotu otworu. Niestety z tej pozycji nic nie mogłam zobaczyć. Puściłam strzelbę i uklęknęłam. Bardzo ostrożnie wysunęłam głowę tak, by oczami ogarnąć otoczenie. Początkowo nie widziałam dość dobrze. Później, stopniowo moje oczy przyzwyczały się do światła, które pochodziło z około dwudziestu rozjarzonych pochodni. Ich żywiczne drewno, płonąc, wydzielalo kłęby czarnego dymu o cierpkim zapachu.

Odkryłam ojca i doktora Levasseur'a. Inni ludzie też tam byli. Mężczyźni i kobiety. Błądziłam oczami po zgromadzonych, by nagle zobaczyć... O mój Boże! To nieprawdopodobne! Oczy niemal wyszły mi z orbit! Mój Boże! Groza nie do opowiedzenia przeniknęła mnie od stóp do głów.

Tuż obok żłobów przeznaczonych na siano stał długi stół przykryty białym obrusem. Białym... Kiedyś zapewne był biały. Teraz miał kolor czerwony. Jak krew. Na stole leżała wyciągnięta na wznak zupełnie naga kobieta.

Ale to nie z jej ciała pochodziła krew. Ona nie była martwa. Ona niewątpliwie żyła. Dyszała nierównym rytmem, a jej piersi unosiły się i opadały niczym tłoki lokomotywy. Dwa maleńkie różowe grzybki zwieńczające sutki sterczały dumnie. Przy każdym wydechu z ust wydostawał się leciutki obłoczek pary i rozplýwał w otaczającym chłodzie.

Dziewczyna była młoda, może dwudziestopięcioletnia. Jej długie włosy, czarne jak węgiel, zakrywały ramiona i górną część biustu. Miała

matową skórę i pieprzyk na lewym biodrze. Wydawała się smukłą.

Pozycja jaką zajmowała i włosy otaczające policzki powodowały, że nie mogłam zobaczyć całej reszty.

Ojciec i inni asystujący byli ubrani w długie suknie z błyszczącego, czarnego materiału okrywającego ich od szyi po kostki. Przypominały one okrycia noszone przez członków Ku-Klux-Klanu. W talii były ściągnięte plecionym sznurem, którego końce opadały na nogi. Na wysokości serca znajdował się na białym tle czerwony krzyż egipski z charakterystycznym zwieńczeniem ramion w kształcie listków koniczyny. Ukośnie w prawo przecinał go złożony trójząb.

Na wszystkich twarzach rysował się wyraz wzruszenia i egzaltacji. Oczy płonęły podnieceniem. Można by powiedzieć, że to nawiedzeni, średniowieczni fanatycy, którzy zebrali się potajemnie, by uprawiać jakiś dziwaczny kult. Choć, prawdę powiedziawszy, to co świętowano nie było zwyczajnym obrzędem... Budziło grozę. Było odrażające. Przekraczało wszelkie wyobrażenia.

Nigdy nie widziałam takiego wyrazu twarzy u mojego ojca. Zazwyczaj był chłodny, surowy i milczący. Nieco szorstki w sposobie bycia, wydawał się być zagłębiony w marzeniach. Zajęty swoimi własnymi sprawami, nie dbał o dobre kontakty z otoczeniem. Był introwertykiem. A teraz jakaś ekstaza malowała się na jego twarzy, łagodząc twarde rysy. W jego oczach płonął blask namiętności.

Jak to możliwe, by latami żyć obok kogoś, nie podejrzewając w najmniejszym stopniu do jakich bezceństw jest zdolny?

Pochodnie z żywicznego drewna zostały

zatknięte w obręcze, do których niegdyś przywiązywano konie. Wydzielały kłęby cierpkiego dymu, który jednak nie przeszkadzał zebranym. Błyski światła drgające na twarzach, układały się w dziwaczne kształty, wywołując niekiedy upiorne drżenie czerwonych źrenic. Przenikliwy dreszcz zmroził mi plecy. To było potworne. Straszne. Dręczyło mnie budzące grozę pytanie: czyja mam coś wspólnego z tymi dziećmi Diabła? Nie w XX wieku. Mimo wszystko.

A inni? Kim są? Ci mężczyźni i te kobiety, którzy otaczają mojego ojca? Nikogo z nich nie znam. Z wyjątkiem doktora Levasseur'a. Ale jemu... jemu.

Kim oni mogą być? Te kobiety i ci mężczyźni? Skąd oni się tu wzięli? Skąd pochodzą?

Było ich około dziesięciorga, prawdopodobnie w wieku trzydziestu, czterdziestu lat. Dziewczyna leżąca na stole wydawała się najmłodsza.

Kobiety miały włosy spadające w nieładzie na ramiona. Wielu mężczyzn nosiło brody. Wszyscy śpiewali tak jak mój ojciec.

Była to ta sama melodeklamacja, którą słyszałam przed chwilą. Powolna i monotonna, której dźwięki błędzą między re i sol.

Teraz już rozróżniałam słowa, ale ich nie rozumiałam. O ile wiem, nie należały one do żadnego znanego europejskiego języka. Nie była to także ani dawna greka, ani łacina. Zauważyłam wiele wyrazów zaczynających się na „a”. Jakiś belkot...

W jakim języku śpiewają?

Doktor Levasseur, stary przyjaciel rodziny, stał przed stołem. Oburącz ścisnął miecz o zakrwawionym ostrzu. Poderżnięto nim niedawno gardło młodego chłopca, który zwisał przywiązany za nogi do szczytu drabiny. Z jego drgającego gardła falami tryskała krew i zbierała się w dzbanie ustawionym pod ciałem. Ze zgrozą i obrzydzeniem patrzyłam na spływającą krew.

Oczy chłopca zasłonięte były czarną przepaską. Ciało miał sine. Zbliżała się śmierć... Jeszcze kilka skurczów mięśni rąk i nóg... Ostatnie odgłosy czkawki... i więcej nic. Nic, tylko nagie ciało kołyszące się wolno...

Żałosna melodeklamacja zmieniła rytm, jak gdyby nowy zapal wstąpił w śpiewających. Teraz zaczęli skandować swoje niezrozumiałe słowa. Głosy stały się silniejsze, wibrujące. Wszyscy, mężczyźni i kobiety tańczyli prze-stępując z nogi na nogę. Wspólnym gestem unosili ręce na wysokość piersi, po czym rytmicznie opuszczali je na uda.

Doktor Levasseur odrzucił miecz. Młoda kobieta leżąca na stole zaczęła wydawać z siebie jęki rozkoszy, cały czas naśladowując miłosne ruchy. Tak je sobie wyobrażałam, ponieważ nie miałam w tym względzie doświadczenia. Później zastygła wsparta na lędźwiach.

Zobaczyłam jej oczy, wychodzące z orbit. Wydawała krótkie okrzyki. Ślina spływała jej po wargach. Drżała na całym ciele, nie na tyle jednak mocno, by przerwać spazmatyczne ruchy. Przeciwnie, ich rytm narastał, a jęki stawały się coraz głośniejsze, aż do chwili, gdy doktor Levasseur rzucił się na jej nagie ciało.

Kiedy zakończyła się ta obrzydliwa scena, podniósł się poprawiając zmiętą i pokrwawioną suknię. Rozkazującym gestem nakazał ciszę. Pieśń zamarła.

Wtedy zaczął wyśpiewywać jakieś długie zdania, ciągle w tym nieznanym języku. Frazy wydawały się nie mieć końca i cały czas dominowała samogłoska „a”. Dziewczyna leżała nieruchomo w kałuży krwi. Wydawała się martwa, ale ja wiedziałam, że tak nie jest.

Ostatnie zaklęcia doktora Levasseur'a i jego głos ucichł. Nie ośmieliłam się poruszyć. Nie czułam nawet zimna, które zmroziło mi ciało. Byłam jak sparaliżowana. Wydawało mi się, że czas zatrzymał swój szalony bieg, a ja uczestniczę w jakiejś nierealnej scenie, z której nie zachowam nawet wspomnienia, kiedy minie tych kilka godzin wagarów i czas podejmie niebezpieczny marsz.

Myliłam się jednak - koszmar się nie skończył. Uszczypnęłam się w nadgarstek - byłam zupełnie przytomna.

Nie leżałam we własnym łóżku i *to nie była czarna*, metalowa płyta pod sufitem zasłaniająca otwór, przez który niegdyś, w czasach mojego dzieciństwa, wychodziły rury paleniska wywołujące halucynacje. I nie miałam się czego bać, bo Diabeł nie wychodził z dziury. Diabeł, jeśli istniał, był tu, w starej stajni, między tymi ludźmi.

Zaklęcia doktora umilkły. Rozległo się pstryknięcie palcami zwinnymi i nerwowymi jak u pianisty. Tym razem od grupy oderwała się kobieta. Była to duża blondynka. Determinacja napinała mięśnie jej twarzy.

Ciężkim krokiem skierowała się do jedyne go boksu, który był jeszcze ogrodzony. Już od dawna ścianki między przegrodami zostały rozebrane. Nie wiem jakim cudem ten jeden pozostał nietknięty.

Kobieta pchnęła skrzydła drzwi, weszła do środka i wyszła prawie natychmiast trzymając na rękach dziecko, które wydawało się uśpione. Miało pomarszczoną twarz, a długie kosmyki ciemnych włosów spadały na zamknięte powieki.

Tym samym ciężkim krokiem, kobieta zbliżyła się do doktora i położyła mu dziecko na rękach. Po raz kolejny uczucie grozy ścisnęło mi serce. Czy będą po raz wtóry składać ofiarę z człowieka? To niemożliwe! *Nie mogę* pozwolić, by dokonano takiej zbrodni! Ręce mi zeszywniały, ale mimo to mocno trzymałam kolbę mojej strzelby, kładąc palec wskazujący na spuście. Szybko wysunęłam się z mojej skrytki. Nikt tego nie zauważył.

Doktor Levasseur trzymał dziecko na rękach. Cofnął się w kierunku stołu. Wolną ręką chwycił miecz...

I wtedy wrzasnęłam z całej siły naciskając równocześnie spust. Celowałam w głowę doktora, bo *nie* chciałam zranić dziecka.

Rozdział II

Oni zamknęli mnie w klinice psychiatrycznej Doktora Levasseur'a...

Dlatego, że nie udało mi się go zabić.

To nie moja wina. Ręce mi się tak strasznie trzęsły! Ze zdenerwowania...

Rzucili się na mnie i odebrali broń. Gdyby nie ojciec, prawdopodobnie zajęłabym miejsce dziecka na tym potwornym ołtarzu! *Oni* byli skłonni złożyć mnie w ofierze zgodnie z rytuałem swoich obrzędów.

Jeszcze chwila i zostałam zlinczowana! Nic dziwnego, przecież strzelałam do ich Wielkiego Mistrza!... Naturalnie zostałam kilkakrotnie uderzona. Kosmyk moich włosów został w ręku jednego z napastników, a raczej napastniczki, ponieważ, jak zwykle, najbardziej biły mnie kobiety. Kiedy wreszcie wydostałam się stamtąd, miałam opuchnięte policzki i podbite oko.

Teraz już nie muszę się martwić o swój wygląd. Nie muszę się już nikomu podobać. Najważniejsze to wydostać się z tej kliniki. Oczywiście, jeżeli jest to najważniejsze, to z pewnością musi być to również najtrudniejsze pod słońcem.

Dlaczego zamknęli mnie tutaj.

To proste. Nie chcą, abym opowiedziała policji, co widziałam w starych stajniach. Mają rację, na pewno bym to zrobiła. Nawet gdyby ojciec był w to zamieszany. Ojciec, jeżeli mnie dobrze zna, na pewno mógł przewidzieć moje zachowanie. Może nawet zastanawiał się przez chwilę, czy nie lepiej byłoby mnie zabić, jak radził doktor Levasseur. Pozbyliby się niewygodnego, naocznego świadka? Być może instynkt ojcowski przeważył w ostatniej chwili.

W każdym razie jestem tutaj i nadal żyję.

Pomieszczenie, w którym zostałam zamknięta, jest niewielkie. Dwa na trzy metry. Ściany są brudne, a żółtawa farba łuszczy się na całej ich powierzchni. Sufit, tego samego koloru co ściany, popstrzyły muchy i rozgniecione komary. Za zamkniętym oknem zardzewiałe pręty kratują horyzont gęsto zadrzewionego parku. Prymitywne łóżko sklecono ze stalowych prętów. Jego nogi wmurowano w betonową posadzkę. Nie ma materaca. Zamiast niego leży siennik pokryty szorstkim płótnem. Nie badałam jego zawartości, ale jestem pewna, że wypełniono go pestkami brzoskwiń. Mój krzyż odczuwa to boleśnie.

Pościel? Dwa prostokąty sztywnego jak plandeka płótna z powłóczkami połatanymi jak strój arlekina.

Kiedy mówiłam przed chwilą „pokój, w którym zostałam zamknięta” - nie powiedziałam całej prawdy. Powinnam powiedzieć: „pokój, w którym sama siebie zamknęłam”, ponieważ mogę swobodnie poruszać się po klinice. Jedynie do parku zabroniono wychodzić mi bez opieki. Zamknęłam się, ponieważ boję się błądzących po korytarzach wariatów.

Potworny strach ogarnął mnie podczas pierwszego wyjścia na widok tych przechadzających się wokół koszmarnych postaci. Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, o nieprzytomnym lub patetycznym wyrazie twarzy, błędnych oczach i chorobliwie bladych twarzach wstrząsanych nerwowymi tikami, powłóczący nogami lub dreczący nerwowo, mówiący płaczliwym głosem. Kobiety bez makijażu. Zarost na twarzach mężczyzn. Wszyscy w jednakowych, szarych uniformach, źle skrojonych kurtkach i spodniach, w niebieskich koszulach z bezkształtnymi kołnierzeniami i kłapkach na bosych stopach.

Patrzyli na mnie jak na rozbudzoną ze snu Śpiącą Królową. Jestem przekonana, że każdy z obecnych tam mężczyzn odegrać chciał rolę czarującego księcia. Wpatrywali się we mnie lubieżnie, drżały im ręce, oblizywali wargi... Uciekłam biegiem, aby schronić się w moim pokoju, zamykając za sobą drzwi na zasuwę... dygotałam przerażona...

Jestem tutaj od trzech dni. Dłużej nie wytrzymam. To gorsze od więzienia. Nigdy nie byłam w więzieniu, ale z tego co widziałam w telewizji, życie więźniów, w porównaniu z moim, jest rajem.

Czuję się jak pustelnik w tym moim świecie o powierzchni sześciu metrów kwadratowych. Rytm mojego

dziennego życia wyznaczają godziny trzech posiłków przynoszonych przez starą, zgryźliwą pielęgniarkę o twarzy zamkniętej jak paryski butik latem. Na śniadanie kubek gorzkiej kawy i dwie kromki chleba z cienką warstewką zjełczałego masła. Na obiad niezmiennie kawałek szynki, kotlet wieprzowy, pure z kartofli oraz na pół zgniła pomarańcza. Na kolację zupa jarzynowa, pure z groszku, dwa jajka na miękko, kawałki gruszki w syropie. Żadnego zbytku. Tak pewnie wygląda dieta dżokeja przed gonitwą o Wielką Nagrodę Łuku Triumfalnego. Nie ma obawy, nikt nie nabawi się cellulitisu!

Początkowo pogodziłam się z moim losem. Byłam ogłuszona odkryciem straszliwych bezceństw, którym oddawał się ojciec i popełnianym przez niego potwornym występkom. Staralam się o tym nie myśleć. Miałam wrażenie, że to jedynie przerażający koszmar, a moje odosobnienie w klinice psychiatrycznej stanowi jego fragment. Oczekiwałam, że w pewnej chwili ktoś dotknie mojego ramienia i powie: „Możesz już zdjąć opaskę, skończyła się zabawa w ciciubabkę.” Wtedy straszliwy koszmar się skończy...

Jednak, stopniowo, zaczęłam zdawać sobie sprawę z grożącego mi niebezpieczeństwa.

Przecież nadal byłam niewygodnym świadkiem. Kiedyś mogą podjąć decyzję, aby mnie zlikwidować.

W najlepszym wypadku mogę spędzić resztę życia w tej ohydnej klinice. W końcu oszaleję, jak ci wszyscy ludzie, którzy się w niej znaleźli.

Dzisiaj podjęłam decyzję o ucieczce.

Wiem, że to nie będzie łatwe. Potężnie zbudowani dozorca strzegą wszystkich wyjść z budynku. Po alejkach parku biegają wielkie psy. Jednak spróbuję. Przecież niczym nie ryzykuję. Jeżeli nie uda mi się wydostać z budynku, wrócę do siebie. Wtedy pozostanie mi jedynie przekonać doktora Levasseur'a, aby zwrócił mi wolność w zamian za obietnicę, że nikomu nie wyjawię tego, co widziałam tamtej tragicznej nocy.

Ciekawe czy mi uwierzy?

Poza tym pozostaje do rozwiązania problem, jak się z nim spotkać? Od chwili kiedy tu jestem, pomimo próśb kierowanych pod adresem starej pielęgniarki przynoszącej mi posiłki, jeszcze ani razu go nie widziałam.

Po kolacji kładę się. Spośród starych książek, które walają się pod łóżkiem, wybrałam *Kwiaty zła* Baudelaire'a. Otwieram książkę i wzrok mój pada na dwuwiersz:

*„On jest świeżym zapachem dziecięcego ciała,
Traw głębokich jak groby...”*

Czuję dreszcz przeszywający moje ciało. Szybko zamykam książkę i upuszczam na posadzkę. Ale ze mnie idiotka! W mojej sytuacji Baudelaire jest ostatnim, którego powinnam czytać! Gaszę światło i postanawiam czekać na właściwą chwilę.

Mój zegarek popsuł się podczas szarpaniny w starych stajniach. Broniłam się nogami i paznokciami. Nie wiem, która jest godzina. Wydaje mi się, że minęła już północ.

Ze stoickim spokojem postanawiam liczyć do czterystu tysięcy czterystu. Desperacko wierzę, że nie zasnę! Cała nadzieja, że uniemożliwia mi to napięcie w jakim się znajduję.

Dlaczego czternaście tysięcy czterysta? Cztery godziny razy sześćdziesiąt minut razy sześćdziesiąt sekund to daje czternaście tysięcy czterysta.

Ale dlaczego cztery godziny?

Ponieważ gdzieś czytałem, już nie pamiętam gdzie, że czwarta rano jest godziną, kiedy znacznie osłabia się czujność żołnierzy stojących na warcie. Sądzę, że to dotyczy również dozorców w klinice. Z przekonaniem rozpoczynam moje monotonne ćwiczenie matematyczne.

Zasnąłem w okolicach dziewięćdziesięciu tysięcy trzystu.

Budzę się gwałtownie. Ile czasu spałem? Nie jestem w stanie tego stwierdzić. Nie ma rady, natychmiast muszę przystąpić do dzieła.

Ubieram się najcieplej jak tylko można. Wkładam myśliwską kurtkę, którą szczęśliwie mi pozostawiono i sunę ku drzwiom. Delikatnieje otwieram, aby zobaczyć co się dzieje na korytarzu. Nic. Z sufitu zwisa naga żarówka świecąca słabo jak gasnąca świeca. To dobrze. Moim planom bardziej odpowiada półmrok.

Otwieram drzwi, wychodzę na korytarz i bardzo ostrożnie zamykam za sobą pokój. Roznosi się tu woń eteru. Robi mi się niedobrze; nie znoszę tego zapachu.

Na palcach ruszam do przodu.

Właśnie wtedy słyszę ten dziki wrzask.

Przerażona, staję bez ruchu...

Dobre pięć minut nie ruszam się z miejsca zadając sobie pytanie, czy nie lepiej byłoby wrócić do pokoju.

Czuję, że moje przerażenie mija, a jego miejsce zajmuje zwyczajna kobieca ciekawość, która popycha mnie do przodu. Chcę się dowiedzieć, co się dzieje w klinice i co było przyczyną hałasu, który przed chwilą słyszałam.

Ciekawość czasem gubi kobiety!

Korytarz skręca w prawo. Staje się coraz węższy. Na końcu tej wąskiej kiszki słaba żarówka oświetla drzwi, na których widnieje napisany wielkimi cyframi numer 24.

Zbliżam się wstrzymując oddech.

Słyszę jakieś hałasy za drzwiami. Coś nieokreślonego, jakieś szepty i westchnienia. Teraz jestem już przy samych drzwiach. Ręką bezwiednie dotykam klamki. Nagle, gwałtownie odskakuję do tyłu. Uświadamiam sobie, że to szaleństwo! Przecież jestem w domu wariatów. Przecież nie wiadomo, co się dzieje za tymi drzwiami? I czym spowodowany był ten wrzask... Być może przekroczenie tego progu mogę przypłacić życiem?

Roztrzęsiona, rozglądam się dookoła. Skręcający w lewo korytarz wydaje się nie mieć wyjścia. Spocona dłoń dotyka ściany. Korzystam z oparcia przez kilka minut. Ruszam dalej w głąb korytarza i nagle staję przed drzwiami. Duży napis na tabliczce przybitej do drzwi głosi:

Wejście dla personelu. Osobom postronnym wstęp wzbroniony.

Przykładam ucho do drzwi. Nic nie słycać. Absolutna cisza. Ostrożnie naciskam klamkę. Drzwi otwierają się skrzypiąc. Za nimi kompletna ciemność. Błądząc ręką po ścianie trafiam na kontakt i przekręcam go. Rozbłyska światło.

Znajduję się w małym pomieszczeniu będącym prawdopodobnie biurem pielęgniarek. Jest tutaj biały stół z podłożonym pod jedną nogę, złożonym na czworo, kawałkiem papieru, biała metalowa szafa i, również białe, metalowe krzesło z oparciem. Na stole stos szkolnych zeszytów z pozaginanymi rogami. Ołówki, gumki, długopisy, zużyte żyletki. Przed stołem odsuwane okienko zamknięte na zasuwkę.

Zamykam za sobą drzwi, gaszę światło i na palcach podchodzę do stołu. Siadam na krześle i otwieram zasuwkę. Przesuwam kilka milimetrów okienko i przystawiam oko do szpary.

Widzę kawałek długiego, słabo oświetlonego pokoju, w którym znajdują się metalowe łóżka.

Dostrzegłam poruszające się cienie...

Jeszcze trochę odsuwam okienko, aby lepiej widzieć...

Podsakuję gwałtownie z wrażenia. Koszmar trwa. Doktor Levasseur przebrał się za wilkołaka! Na głowie ma łeb wilka ze sterczącymi uszami. Plecy okrywa mu wilcza skóra z ogromnym, sterczącym do góry ogonem. Na gołych nogach jeżą się obrzydliwe, czarne włosy. Zamiast stóp ma kopyta podobnie jak koza lub satyr.

Chociaż tył ciała osłania wilcza skóra, z przodu jest zupełnie nagi. Jego oczy błyszczą jak rozżarzone węgle. Górna warga unosi się odsłaniając dwa ogromne kły wystające w kącikach warg. Są żółte i upstrzone plamami kamienia.

Wydaje mi się, że oglądam film o Drakuli! To niemożliwie! Ja chyba nadal śnię! Zaraz obudzę się i koszmar się skończy!

Nie mogę sobie przypomnieć, jak w medycynie nazywa się obłąd, który zawładnął doktorem.

Z drugiej strony trudno się dziwić, że oszalała, skoro pracuje w klinice psychiatrycznej.

Nagle moją uwagę przyciąga inny widok. W pokoju, oprócz doktora, znajduje się jeszcze dwóch mężczyzn. Wydaje mi się, że już ich widziałam. To chyba pielęgniarze. Są bardzo mocno zbudowani. Obaj obnażeni do pasa. Mają ogromne bicepsy, mięśnie brzucha wyraźnie rysują się pod skórą. Głowy mają ogolone do gołej skóry, ich oczy wirują jak piłeczki w maszynie losującej numery totolotka. Na jednym z metalowych łóżek leży starsza kobieta. Kosmyki siwych włosów wiją się wokół jej twarzy. Wygląda na pogrążoną w głębokim śnie. Mężczyźni podchodzą do łóżka. Unoszą ją trzymając za ramiona i ściągając z niej koszulę ze zgrzebnego płótna. Kobieta osuwa się na materac. Jej obwisłe piersi trzęsą się przez chwilę jak galareta.

Zafascynowana, przyglądam się czując jak wewnątrz ścisną mnie jak obcęgami jakieś dziwne uczucie.

Doktor Levasseur zaczyna podskakiwać w miejscu jakby się rozgrzewał. Towarzyszy temu dziwny hałas przypominający tętent końskich kopyt. Tętent staje się coraz szybszy, a hałas coraz głośniejszy. Widzę, jak pod wilczym łbem na czole doktora zaczynają się pojawiać krople potu. W chwilę później pokrywa on całe jego ciało. Duże krople z czoła spływają po policzkach, szyi i piersi.

Z gardła zaczynają dobywać się ochryple okrzyki. Początkowo ciche, stają się tym głośniejsze im szybciej doktor przebiera nogami.

Mężczyźni stoją po obu stronach łóżka. Ich oczy przestały biegać jak oszalałe. Teraz, jak zahipnotyzowani, wpatrują się w jeden punkt. Ich dłonie drżą. Stoją nieruchomo, a jednak ich ciała, tak jak i doktora, są zlane potem.

Nagle z jego piersi wydobywa się straszliwe wycie. Mrozące krew w żyłach wycie, podobne do skowytu wilków.

Jednym skokiem, całym swym ciężarem, rzuca się na ciało starej kobiety.

Palce są zakończone długimi, stalowymi szponami. Jak u drapieżnego ptaka.

Szpony zaczynają rozszarpywać pierś nieszczęsnej kobiety...

Kły wystające z ust doktora wbijają się w jej gardło...

Rozdział III

Ogarnęło mnie przerażenie. Trzęsłam się jak galareta. Cofnęłam głowę i zamknęłam okienko. Święty Boże! W jakiej jaskini pełnej złowrogich potworów zostałam zamknięta?! Czy uda mi się z niej wyjść?

To konieczne. To jest absolutnie konieczne! Kto wie czy mnie, jako niebezpiecznemu świadkowi, doktor Levasseur nie zamierza zgotować takiego samego losu jak tej biednej kobiecie? Kto wie, czy nie poderżną mi gardła jak baranowi i nie nasycą się moją krwią?

Nie mogę tu tkwić, czekając na rzeźnika!

Kto mnie zapewni, że nie jestem następną osobą przeznaczoną na ofiarę? Na miękkich nogach dotarłam do drzwi, otworzyłam je i znalazłam się na korytarzu. Tym razem przebyłam go w odwrotnym kierunku. Z lękiem przeszłam obok drzwi, na których znajdowała się duża, czarna liczba 24. Zza drzwi dochodziło wściekłe sapanie, pomruki pełne nienawiści, stukot kroków na posadzce, przeraźliwe jęki podobne do tych, jakie wydaje młody pies, któremu odmawia się kości. Ze ściśniętym sercem minęłam je szybko. Korytarz zakręcał i rozszerzał się.

Zaczęłam biec i znalazłam się w punkcie wyjścia, to znaczy przed drzwiami mojego pokoju.

Co powinnam zrobić? Cisza wokół, żaden hałas nie dochodził do moich uszu. Czy mam stracić szansę?

Nie miałam czasu zastanawiać się dłużej nad sytuacją, bo nagle usłyszałam trzaśnięcie drzwiami gdzieś wewnątrz domu.

Szybko weszłam do pokoju i zamknęłam zasuwkę. Zdyszana zrzuciłam ubranie i wślizgnęłam się do łóżka. Naciągnęłam na głowę prześcieradło i koc, jak struś, który chowa głowę, aby nie widzieć niebezpieczeństwa. Wydawało mi się, że znalazłam bezpieczne, choć nietrwałe schronienie. To samo robiłam, kiedy bałam się czarnego kwadratu pod sufitem mojego pokoju. Kwadratu, z którego miał się wyłonić diabeł. Weiskałam wtedy twarz w pościel, która pachniała lawendą dzięki starej Lauren-cji, naszej rodzinnej „chodzącej doskonałości”. Niestety pościel, którą miałam tutaj, w niczym nie przypominała tamtej. Ta była twarda jak plandeka i chłodna jak zimowy poranek.

Powoli odzyskałam oddech. Zwinęłam się w kłębek, aby nie tracić ciepła. Równocześnie ogarnął mnie niewy-słowiony smutek. Nie osiągnęłam zamierzonego celu. Miałam wydostać się z kliniki korzystając z nocy, gdy słabnie czujność strażników, a tymczasem znalazłam się w punkcie wyjścia. Przespacerowałam się korytarzem, odkryłam znowu odrażające praktyki i jestem z powrotem we własnym łóżku. Czy jest to powód do zadowolenia?

W każdym razie jest już zbyt późno. Świt nie spóźnia się nigdy. Rzykowałabym bardzo próbując uciekać teraz. Lepiej poczekać do następnej nocy.

Tak, ale jeśli, jak wyobrażałam sobie niedawno,

mam być osobą przeznaczoną na ofiarę następnej nocy? Właśnie... Czy przypadkiem nie tracę cennego czasu?

Mróz przeszedł mi po krzyżu, kiedy wyobraziłam sobie mój udział w seansie podobnym do tego, który widziałam niedawno. To niemożliwe! Tylko nie ja! Całe moje jestestwo buntowało się na tę myśl!

Nagle usłyszałam hałas przy drzwiach. Zgrzytnęła naciśnięta klamka. Ktoś uderzył w zasuwkę blokującą drzwi... Serce zamarło mi ze strachu. Chciałabym, by moje przykrycie zmieniło się w zapórę z betonu.

Nastąpiło drugie uderzenie w zasuwkę, po czym nastąpiła cisza. Serce biło mi szybko, niczym u górnika zaskoczonego na dole przez wybuch gazu, kiedy wokół niego wałę się ściany, a on czuje jak z minuty na minutę uchodzi z niego życie. Rozległo się pukanie do drzwi, wołanie... Gardło miałam ściśnięte. Przyszedł mi do głowy stary film Andre Cayatta, który telewizja nadawała pewnego wieczoru w drugim programie „*Wszyscy jesteśmy mordercami*”. Pokazano w nim człowieka skazanego na śmierć. Siedział skulony na swoim posłaniu tuż przed straceniem. Z drugiej strony drzwi, w korytarzu, wzdłuż którego mieściły się cele, słyszał ledwie uchwytnie uchem dźwięki. Był zeszywniały ze strachu. Wiedział, że „oni” idą po niego... że jego koniec jest bliski... Tak samo jak w moim wypadku. Wiedziała.

Przyszli po mnie, żeby mnie zabić. Nastąpiły gwałtowne uderzenia w drzwi. Skrzypnęła zasuwka... Razy stały się mocniejsze, a drzwi się zachwiały. Usłyszałam zgrzytanie metalu i trzask drewna. Drzwi rozleciały się w kawałki.

Skuliłam się. Przybrałam pozycję embriona-

kolanami dotykałam brody, a rękami obejmowałam nogi. Promień światła wniknął w szparę między narzutą a moją skronią. W pokoju zapalili lampę. Wydawało mi się, że zadano gwałt mojej intymności... Światło stało się ostre... Oślepiało. Szarpnęli narzutę. Drżałam z zimna... Otworzyłam oczy.

Nade mną stał doktor Levasseur trzymając głowę przechyloną na bok jak drapieżny ptak, który zastanawia się czy czyścić pióra. Za nim dostrzegłam jego dwóch goryli. Rozpoznałam ich barczyste sylwetki, odsłonięte torsy, przeogromne bicepsy i mięśnie brzucha widoczne pod naciągniętą skórą nad paskiem zapiętym na ostatnią dziurkę. Ich oczy biegały w orbitach jak kule lotto. Ręce zwieszono wzdłuż ud świadczyły, że minęli już etap rozwoju małpy.

- Katarzyno... wstań - zawołał bardzo łagodnym głosem doktor Levasseur.

Skrzyżowałam ręce na piersiach i spojrzałam na niego przerażonym wzrokiem.

-Chodźmy, Katarzyno - kontynuował tym samym łagodnym głosem. - Nie zmuszaj mnie, bym był niemiły.

Wiesz dobrze, że nie mam na to ochoty. Bądź rozsądna, podnieś się grzecznie i chodź ze mną.

To było tak, jakby splunął do jeziora. Wcale nie miałam zamiaru nigdzie z nim iść. Dobrze wiedziałam, co mnie czeka.

- Katarzyno, nie bój się, spójrz. Czy wiesz, dokąd pójdziemy? Ty i ja? Pójdziemy do twojego ojca. On za tobą tęskni. Niedawno do mnie dzwonił. Chciałby cię zobaczyć. Powiedziałem mu, że godzina jest zbyt wczesna, ale on się uparł. Co miałem robić? Zastosowałem się do jego życzenia. Czy to nie jest normalne, że ojciec tęskni za swoją córką? On uważa, że kara za twoją ciekawość jest już wystarczająca i gotów jest ci wybaczyć. Pod pewnymi warunkami, oczywiście.

Jego oczy przeczyły temu, co mówił. W ich wyblakłej szarości widziałam ten sam wyraz skrytości, jaki mają domokrażcy proponujący kupno całego kompletu szczotek, żeby wspomóc niewidomych.

Czyżby sądził, że uwierzę choć w jedno słowo, które właśnie wypowiada? Prawdą jest, że nic nie wie o mojej obecności podczas sceny wampiryzmu, w której był głównym aktorem. Dręczyła mnie jedna wątpliwość... bo jeśli wiedział? Jeżeli przez jakąś nieostrożność z mojej strony odkrył, że byłam świadkiem tej okropnej sceny?

- Chodźmy, Katarzyno - naciskał.

Nie wykonałam żadnego gestu, który zdradziłby moje posłuszeństwo jego nakazowi. Strzelił palcami i dwóch jego goryli rzuciło się na mnie. Przeciągły ryk wyrwał się z moich piersi, kiedy ich odrażające łapy dotknęły mojej skóry...

Myliłam się całkowicie. Doktor Levasseur nie kłamał. Zawiózł mnie do zamku na rozmowę z ojcem, który wyglądał na zawstydzonego, ja zaś byłam zupełnie swobodna. Czy to nieprzyjemna rola?

Byłam uradowana tym, że w końcu udało mi się wydostać z kliniki doktora. Siedziałam w fotelu lekko zwinięta w kłębek, z posępną twarzą i nadąsaną miną.

Ojciec złożył *Financial Times* i uśmiechnął się do mnie z zakłopotaniem. Przemówił ze ściśniętym gardłem.

- Katarzyno, proszę, żebyś mi wybaczyła. Byłem prze rażony, kiedy spadłaś nam z góry tam, w starej stajni i powziąłem natychmiastową, głupią decyzję o zamknięciu cię w klinice. Miałaś... Nie widziałem, co robić... To było tak zaskakujące... Widzieć ciebie tam. Kto mógł pomyśleć...

Musiałam wyglądać na bardzo spiętą, bo powiedział:

- Rozluźnij się. Wzruszyłam ramionami.

- Odkryłaś ważne rzeczy, Katarzyno... Niebezpieczne. Oczywiście zdajesz sobie z tego sprawę?

Wybuchnęłam nieoczekiwanie:

- Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia? Przecież... Przecież jesteś potworem! Haniebnym indywiduum! Kryminalistą! Szatańskim pomiotem! Kiedy pomyślę, że twoja krew płynie w moich żyłach... Nie uznaję ciebie więcej za ojca i... i doniosę na ciebie policji!

Żeby wypowiedzieć tę całą tyradę, wyskoczyłam z fotela. Trzęsłam się cała z przerażenia i zdenerwowania. Natychmiast jednak przestałam mówić, gdy poczułam, że bełkoce. Ku mojemu zdumieniu ojciec siedział niewzruszony, a nawet jakiś dwuznacznym uśmiech błędził po jego twarzy. Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami. A on uśmiechał się coraz szerzej.

- Wypowiedziałaś odpowiednie zdanie, Katarzyno.

- Jakie zdanie?

- To, w którym zauważyłaś, że moja krew płynie w twoich żyłach.

- Nie widzę w tym nic...

- Zobaczysz.

- Co?

- Poczekaj.

Podniósł się lekko i podszedł do biblioteczki. Wyjął z kieszeni pęk kluczy, wybrał jeden i wsunął w dziurkę jednej z szuflad. Przekręcił klucz i wysunął szufladę. Położył na etażerce gruby, czarny zeszyt. Później wziął go i wrócił do mnie. Kiedy się zbliżał, cofnęłam się pospiesznie i wbrew sobie wrzasnęłam:

- Nie dotykaj mnie!

Na jego ustach pojawił się nieprzyjemny grymas.

- Nie będziesz demonstrowała obrzydzenia, kiedy przeczytasz to, co jest napisane w tym zeszycie.

I robiąc ręką ruch zdradzający zły humor, dodał:

- Wierz mi. Nie masz mi nic do zarzucenia.

Tego było za wiele! Ojciec chce grać moralistę! Teraz! A może próbuje mnie oszukać?

Pobiegłam schować się za fotel. Położył zeszyt na biurku.

- Powiem Laurencji, aby przygotowała nam kawy. Bardzo jest nam potrzebna, obojgu. Czas oczekiwania radziłbym wypełnić lekturą tego, co zapisano w tym zeszycie.

I dorzucił, nadając swojemu głosowi ironiczny ton:

- Zobaczysz. To ma wartość instruktażową. A kiedy skończysz, wątpię, żebyś miała ochotę mnie ganić albo zawiadomić policję.

Podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł. Usłyszałam dźwięk klucza przekręcanego w zamku. To pewne. On się boi, żebym nie uciekła i nie pobiegła na policję. Zupełnie nie ma do mnie zaufania. Przynajmniej do momentu, gdy nie przeczytam tego zeszytu.

Ale w istocie, co zawiera on takiego nadzwyczajnego? Jaka rewelacja mogłaby według niego sprawić, że zmienię zdanie na jego temat?

Poniosła mnie ciekawość. Chwyciłam zeszyt, zajęłam miejsce w fotelu i zaczęłam czytać pierwszą stronę. Kiedy ojciec wrócił, byłam na piątej stronie. Był zadowolony,

kiedy stawiał obok mnie duży kubek kawy i bułkę z masłem. Następnie bez słowa opuścił pokój, nie zapominając przekręcić klucza.

Słońce rzucało promienie, które przenikając przez szyby, przyjemnie ogrzewały mi kark i ramiona, kiedy w końcu zamknęłam zeszyt.

Drżały mi ręce, więc zeszyt wysunął się z pomiędzy palców. Słońce ogrzało mi kark i ramiona, ale resztę ciała

miałam zlodowaciałą.

Jak już mówiłam na początku tej opowieści - życie jest dziwne. Od momentu narodzin, szczęście jest mocno zadomowione w waszej egzystencji aż do dnia, gdy następuje przemiana, która sprawia, że nagle czujecie się starzy. Właśnie tak czułam się w tym momencie. A do tego uczucia dochodziło zmęczenie, niesmak, nudności i przede wszystkim - przerażenie.

Przerażenie tym, co odkryłam.

Przerażenie tym, co jest we mnie.

Przerażenie tym, kim jestem.

Rozumiem teraz, co chciał powiedzieć ojciec, kiedy mówił, że nie mam czego mu zazdrościć. To po prostu potworne. I jestem zupełnie przekonana, że...

Drzwi się uchyliły i wszedł ojciec. Jego wzrok padł na zamknięty zeszyt, a później na mnie.

- A więc?

Miał zachrypnięty głos. Przełknęłam ślinę.

- Ojczy, ja...

Łzy rzuciły mi się do oczu. Zerwałam się z fotela i przytuliłam do niego. Klapał mnie po policzkach mokrych od łez.

- Ty nie powinnaś była wiedzieć, Katarzyno. To nie jest ani twoja wina, ani moja.

Rozdział IV

Zaserwowałam Laurencji i Eleonorze tę samą bajeczkę, którą opowiedział im ojciec, aby wytłumaczyć moje gwałtowne zniknięcie i nieobecność trwającą trzy dni: nagły atak gorączki, który wymagał natychmiastowego odwiezienia do kliniki doktora Levasseur'a.

Eleonora spoglądała na mnie dziwnie.

- Czy to nie jest wyłącznie klinika psychiatryczna? Zripostowałam natychmiast:

- To nie przeszkadza doktorowi mieć dostatecznych kwalifikacji, by zająć się przypadkiem gorączki.

Wyjęła listek gumy do żucia, zdjęła sreberko i zmarszczywszy brwi zapytała:

- Czy jesteś pewna, że niczego przede mną nie ukryłaś? To nieładnie między siostrami?

Pieściłam wzrokiem jej gładką, anielsko czystą skórę, jej ogromne, zielone oczy, długie, zawsze starannie uczesane blond włosy, apetyczne usta, na których malowały się zmiany nastroju.

Uśmiechnęłam się, czując w głębi serca niejasne wyrzuty sumienia z powodu tego kłamstwa.

-Głupia jesteś!

Byłam pewna, że mi nie wierzy.

Tego wieczoru skorzystałam z tego, że ojciec zszedł do swego gabinetu i poszłam z nim porozmawiać. Na mój widok jakby zeszywniał.

- Tak, Katarzyno?

- Jest coś, co mnie martwi...

- Co mianowicie?

- Rola doktora Levasseur'a i innych uczestników tej... tej nocy.

Podrapał się w szyję.

- Rozumiem, że stawiasz sobie to pytanie. Spojrzał na swoje paznokcie, jakby spodziewał się tam znaleźć odpowiedź na moje pytanie.

- Widzisz, Katarzyno - zaczął powoli - to doktor Levasseur odnalazł mnie pierwszy. Był członkiem grupy w... w... wtajemniczonych... sekty, która oddawała się pewnym praktykom... Widziałaś je przecież. Zostały one zresztą zawieszane od czasu, gdy je nam przerwałaś. Pozwoliłem pociągnąć się moim złym instynktom i... stałem się członkiem tej sekty. To wszystko.

Patrzyłam na niego surowo.

- Jestem więc niebezpiecznym świadkiem. Dlaczego doktor Levasseur nie skorzystał z mojej obecności w klinice psychiatrycznej i nie zabił mnie?

Oczy mu błysnęły.

- Dlatego, że ja się sprzeciwiłem.

- Ojcowskie wyrzuty?

Wzruszył ramionami.

- Nazywaj to jak chcesz.

Udał, że zajmuje się papierami, które leżały na biurku. Spojrzał tylko na mnie sponad nich.

- Mam dużo pracy, Katarzyno. Jeśli chcesz, porozmawiamy o tym innego dnia.

Zrobiłam nieokreślony ruch nad głową i wyszłam z gabinetu. Kiedy przechodziłam koło drzwi pokoju Eleonory, doszedł mnie ryk głośników włączonego radia. Rzuciłam okiem na metalową płytę pod sufitem i przypomniała mi się owa pamiętna noc, podczas której cały świat zawirował wokół mnie. Tęskniłam za tym, co było i co nigdy więcej mi się nie zdarzy. Szybko się jednak opanowałam. Padałam ze zmęczenia. W półśnie rozebrałam się i wyciągnęłam w zimnej pościeli. Zasnęłam natychmiast.

To było w ubiegłym roku. Ojciec zabrał nas na wakacje, Eleonorę i mnie, do Managui w Nikaragui. Towarzyszyła nam Edyta, nasza kuzynka.

Eleonora i ja marzyłyśmy o tej podróży i nie byłyśmy rozczarowane.

Managua w Nikaragui... Widzę łańcuch gór wulkanicznych na horyzoncie. Przytłoczone ogromem budowli wielkich kompanii amerykańskich niskie domy w stylu kolonialnym. Malownicze i pachnące bazyry z pstrokatym tłumem Metysów, Murzynów i Indian, z okrzykami sprzedawców po hiszpańsku, w językach sumo lub mosquito.

Ciągle czuję na skórze tamten upał, ciężki i wilgotny upał tropikalny. Czuję zapach kremu migdałowego, którym powietrze wydaje się być nasycone. Widzę niebo jednolicie błękitne i niewzruszone. Cisza przed burzą... przed potopem... przed piekłem...

Eleonora spędzała najpiękniejsze chwile pływając żabką w basenie. A ja błądziłam uliczkami starego miasta, szukając tajemniczych sklepików ze starzyzną, gdzie można odkryć jakiś rzadki przedmiot, muszkiet, przyłbicę lub pancerz jednego z żołnierzy Don Gil Gonzalesa d'Avila, konkwistadora Nikaragui. Chciałam znaleźć coś, co przetrwało wieki, rewolucje, aby doczekać gdzieś, w głębi pokrytej kurzem graciarni, mojego przybycia.

Ojciec był nieobecny przez większość dnia, zajęty sprawami, których nie znałam.

Co do kuzynki Edyty, to prawdziwa ofiara. Szczerze jej nienawidziłam. Próbowала zastawiać sidła na ojca od czasu, gdy został wdowcem. Nie w celach matrymonialnych oczywiście, ale po to, by zostać guwernantką Eleonory i moją.

Ojciec podczas swojej nieobecności w zamku zrobił nawet jeden raz próbę. Eleonora i ja o mało nie umarłyśmy. Pełna groza! Zmuszała nas do tego, żebyśmy ją całowały. A przecież miała wąsy niczym Georges Bras-sens. Poza tym nieprzyjemnie pachniała zjełczałym tłuszczem, którym smarowała twarz od momentu, gdy dostała liszajów. Były one skutkiem szorowania policzków przecenionym mydłem sprzedawanym przez jakiegoś

kramarza w dni targowe. Wydawało się jej w dodatku, że stworzyła nam miłą atmosferę.

A jej piernik! Do dziś widzę jego złotawy kolor pod cieniutką powłoką masła zbijającego się w żółtawe grudki w dziurkach kromki.

- Pozbieraj okruszki i zjedz je - mówiła uśmiechając się okropnie i poruszając twardym pędzelkiem włosów wyrastających z czarnego pieprzyka w dolnej części prawego policzka.

Ta stara czarownica dobrze wiedziała, że Eleonora i ja boimy się jak ognia jej piernika. Pewnego razu Eleonora wykazała się ogromną śmiałością odmawiając jedzenia. Edyta wyjęła szpicrutę i Eleonora musiała zjeść do samego końca to kauczukowate paskudztwo. Zalewała się łzami, a ciało miała obolałe od razów, które na nią spadały.

Od tamtej pory datuje się nasza nienawiść do Edyty, nienawiść mocna i głęboka. Ale najgorsze było to, że udało jej się przekonać ojca, do spędzenia tygodnia urlopu w miasteczku, w którym kiedyś mieszkała. Tam odkryliśmy jej prawdziwą mentalność małej mieszczki, kutwy i snobki.

Aptekarz, lekarz, mer i notariusz tworzyli kwartet, którego zapraszanie należało do dobrego tonu. Fortuna notariusza urosła dzięki wydatkom jego najuboższych i najmniej przebiegłych klientów. Mer opijał każdy podpis pod byle dokumentem. Lekarzowi pozostało upodobanie do białego rumu, wyniesione z jego poprzedniej praktyki w Andilles, co bardzo szkodziło prawidłowości stawiania diagnoz. Aptekarz miał konszachty z grupą młodych homoseksualistów - narkomanów.

Czy to zresztą ważne! To byli z definicji miejscowi notable.

My czułyśmy obrzydzenie na ich widok.

Również w Managui miałyśmy tylko jedno pragnienie: unikać Edyty, jeżeli to tylko było możliwe. Na szczęście obie z Eleonorą mogłyśmy schronić się w naszym pokoju. W porównaniu z Edytą, Eleonora była krynica młodości, oazą w chwili pragnienia na pustyni, szczyptą papryki na mdłej potrawie. Słowem, mimo obecności Edyty, przeżywałyśmy fantastyczne dni. Aż pewnego wieczoru...

Jedliśmy wszyscy kolację w hotelowej restauracji. Hotel „*Konkwistador*” to pałac w stylu amerykańskim. Jadalnia była przestronna z bardzo wysokim sufitem wspartym na kolumnach. Przy stolikach siedziało wielu gości, panował wesoły gwar. Kelnerzy uwijali się roznosząc pełne półmiski. Klimatyzowane powietrze było świeże i przyjemne.

Zauważyłam, że Edyta z zazdrością spogląda na moją wspaniałą bransoletkę, którą nosiłam na prawej ręce. Była zrobiona z litego złota i przedstawiała pofalowane ciało węża.

Była to biżuteria w stylu inkaskim. Ojciec kupił ją w Peru i ofiarował mi.

Nagle poczułam straszliwy wstrząs i poczułam, że coś popchnęło mnie do przodu tak, że wpadłam twarzą

w półmisek z kurą i bananem. W tym samym czasie krzesło wysunęło się spode mnie i upadłam na podłogę. Podniosłam się pospiesznie i zobaczyłam kolumnę zwalającą się na jeden ze stolików, przygniatającą siedzących przy nim gości.

Za mną osunęła się następna i jeszcze jedna...

Powstała panika nie do opisanego. Wśród histerycznych okrzyków i jęków rannych przerażeni kelnerzy i goście rzucili się do drzwi.

Ojciec natychmiast wyciągnął Eleonorę i mnie spod krzeseł i wyprowadził osłaniając rękami. Z trudem, jak dzikie zwierzęta wiedzione jedynie instynktem, pięściami i kopniakami torowaliśmy sobie drogę aż do przedsionka hotelu, czując kilka razy drżenie ziemi pod stopami. Towarzyszyła nam Edyta. Znalazszy się w przedsionku, zobaczyliśmy z góry cały chodnik zasłany pokruszonymi stopniami schodów, a w miejscu gdzie parkowały samochody, powstała przepastna otchłań. Eleonora i Edyta, jak zresztą wszyscy, krzyczały przerażone tym widokiem.

Zgasły wszystkie światła w mieście, ale ciemności nie były zupełne. Ogromne płomienie wybuchały tu i ówdzie z budynków wydanych na pastwę pożarów, oświetlając czerwonymi błyskami ten koszmarny obraz. Ludzie biegali ulicami, mężczyźni, kobiety, dzieci, wśród dźwięków klaksonów gnających na pełnym gazie samochodów, nie troszczono się o ludzi potrąconych zderzakami, a samochody przyspieszały na jezdni, zanim nie pogruchotały kół.

Wiele budynków mieszkalnych stojących przed hotelem rozsypało się w mgnieniu oka, jak domki z kart zdmuchnięte przez dziecko, któremu już znudziło się budowanie. Później dał się słyszeć spod ziemi głuchy pomruk podobny do odgłosu wulkanu, gotowego do wyrzucenia lawy.

- Nie stójmy tu! - krzyknęła Edyta. - Hotel się na nas wali!

Za nami, z różnych stron, we wszystkich językach świata, krzyczeli przerażeni ludzie. Ojciec chwycił każdą z nas za rękę i dzielnie rzucił się przed siebie, krzyknawszy do Edyty, żeby szła za nami. Z trudem udało się nam dołączyć do tłumu, który biegł ulicą.

Biegliśmy wciąż popychani ze wszystkich stron, okładani pięściami przez mężczyzn i kobiety. Ludzie zachowywali się jak przerażone bydło. Wbiegliśmy razem z innymi w szeroką aleję otoczoną nowoczesnymi domami, których okna odbijały płomienie pożarów. Mimo wrzasku tłumu, który nas popędzał, usłyszeliśmy głuchy pomruk, który narastał i poczuliśmy pod nogami straszliwe drżenie ziemi.

Przed nami budynki ze szkła i betonu waliły się na tłum. Na parę sekund zamknęliśmy oczy i zatkaliśmy uszy, by nie słyszeć jęku ginących. Później nie słyszeliśmy już nic, tylko głos dochodzący z wnętrza ziemi.

Ci, którzy byli za nami, rzucili się do przodu. Z lepszym lub gorszym skutkiem wdrapywali się na betonowe

bloki, deptaliśmy po jeszcze ciepłych zwłokach, przeskakiwaliśmy przez kałuże krwi.

Eleonora poślizgnęła się, upadła i głęboko zraniła lewą rękę. Długie cięcie przez nadgarstek ledwie było widoczne, tak bardzo czerwone wydawało się wszystko od łuny czerwonych pożarów.

Edyta zgubiła but, ale odnalazła go na tyle szybko, że nie zdeptał jej oszalały tłum, który gnał do przodu nie martwiąc się o maruderów. Miałam wrażenie, że uderzenia prądu elektrycznego poraziły moje nogi i spowodowały ból mięśni. W płucach czułam okropne zmęczenie. Edyta i Eleonora biegły obok mnie, rozczochrane, spocone ze zmęczenia i strachu, z twarzami poczerniałymi od kurzu, który unosił się nad umęczoną ziemią. Ponad naszymi głowami niebo zwisało nisko niczym sufit w kolorze żółtawo-pomarańczowym. Kurz wciskał się w gardła, przenikał do płuc i drażnił, powodując potworny kaszel. Po twarzach Eleonory i Edyty płynęły łzy rozmazując na policzkach grubą warstwę sadzy.

Aleja rozwidlała się nagle. Tłum uciekających ludzi w tym miejscu zgęstniał i zafalował. Ludzie wokół nas bili się, bo każdy chciał iść szybciej niż jego sąsiad.

Wtedy na nowo zaczęło się piekło. Wstrząsy były bardziej gwałtowne niż poprzednio, a hałas ogłuszający. Za mną duże budynki mieszkalne i małe domki padały jak źdźbła słomy, które nawet niewielki wiaterek jest w stanie przygiąć do samej ziemi. Wycia cierpiących i wrzaski przerażonych wzmagaly się.

Nie przypominam sobie, jak znaleźliśmy się na tarasie domu oszczędzonego przez wstrząsy. Wszędzie wokoło domy waliły się z wyjątkiem tego jednego. Atmosfera była ciężka i niebezpieczna, a płomienie pożarów wydawały się nierzeczywiste, tak szczelnie zasłaniały je grube chmury pyłu wypełniającego powietrze. Edyta wycieńczona siedziała na brzegu tarasu. Ja stałam za nią.

Nagle, z całą bezwzględnością żywiołu, ziemia otworzyła się przed domem. Bez uprzedzenia, bez zwyczajnego „wstępnego” wstrząsu, który byłby wyczuwalny. Powstała ogromna, rozwarta otchłań, piekło bez dna. Akurat przed samym tarasem. I akurat pod stopami Edyty, która siedziała jak skamieniała, nie mając odwagi się poruszyć. Nie widziałam jej drżących ramion. Wewnętrzny głos podszeptował: „To odpowiedni moment, wykorzystaj tę nieoczekiwaną okazję. Wystarczy tylko popchnąć...”

Odwróciłam głowę. Ojciec trzymał Eleonorę w ramionach tak, że jej głowa zasłaniała jego twarz, więc nie mógł mnie widzieć. Nie zastanawiałam się zupełnie nad tym, co zrobię. Posunęłam się jak automat do przodu na wprost Edyty. Moje kolana dotknęły jej karku. Podskoczyła. Pochyliłam się i z całych sił pchnęłam jej ramiona.

Spadła w otwartą czeluść. Jej krzyk szybko stłumiła przepaść, w której się pograżała.

Znacznie później ziemia zatrzęsła się znowu. Nastąpiło straszliwe uderzenie i otchłań zniknęła grzebiąc ciało

Edyty. Pozostała tylko blizna pokryta gigantycznym kawałem skarpy.

Modlitwa żałobna po niej była bardzo krótka. Ojciec pochylił głowę i zmęczonym głosem powiedział:

- To była dzielna dziewczyna.

Eleonora puściła do mnie oko.

Rozdział V

Kiedy obudziłam się z tego koszmarne snu, Eleonora spała wtulona we mnie. Świt przedzierał się przez zasłony. Poruszyła się i otworzyła oczy. Ręką delikatnie dotykała moich ust, szyi, piersi. Jej głos był ciepły i cichy, jak zwykle po przebudzeniu.

- Wiedziałam, że będziesz miała potworną noc.

Opanowała ziewanie.

- To dlatego przyszłam spać do ciebie...

- Jak się dowiedziałaś?

- Z twojego horoskopu. Wiele planet ci nie sprzyjało i w związku z tym perspektywa spędzenia spokojnej no cy wydawała się kiepska.

Eleonora zawsze była rozmiłowana w astrologii. Ona jest spod znaku Strzelca, ja - Wagi. Moja siostra regulowała swoje życie i usiłowała wpływać na życie innych, kierując się horoskopami. W tej dziedzinie nie odnosiła sukcesów, co zupełnie jej nie zniechęcało.

Jej ręce przestały bawić się moimi piersiami i przez wycięcie nocnej koszuli zaczęły badać okolice pępka.

Palce stawały się coraz silniejsze, a pieszczoty natarczywsze.

- Miałaś straszny sen, prawda? - Jej głos nagle stał się ochryply.

Odwróciłam głowę w stronę nocnego stolika i chwyciłam szklanekę wody evian, którą Lukrecja postawiła tu wczoraj. Robi to zresztą każdego wieczora. Wypiłam ją całą.

- To był przerażający koszmar - powiedziałam odstawiając szklanekę.

- Opowiedz mi o nim.

Pomacałam pościel wokół siebie. Była wilgotna i chłodna od potu. Nie mogłam powiedzieć Eleonorze prawdy.

- Ludzie przemieniani w wilki, ofiary z dzieci, czarne msze... tego typu, wyobraź sobie.

Przymknęła oczy.

- Widzę.

Nie mogłam jej oczywiście powiedzieć o Managui, ponieważ była tam ze mną. Może by się domyśliła...

Delikatnie przyłgnęła wargami do mojego ucha i zaczęła je leciutko pieścić. Zadrżałam z rozkoszy. Objęła mnie ramionami.

Znacznie później podniosłam się, usiłując zachować absolutną ciszę. Po naszych pieszczotach Eleonora zasnęła, a ja chciałam się wykapać.

Musiałam pomyśleć w spokoju i w najbardziej sprzyjających warunkach. A ponieważ uwielbiałam gorącą kąpiel...

Puściłam wodę i zanurzyłam się z rozkoszą. Zupełnie zapomniałam o tym, co zdarzyło się w Managui. Czy to nie wspaniałe? Teraz to sobie doskonale przypominam. Widzę siebie popychającą Edytę w przepaść. Słyszę jej krzyk wśród walących się domów, z uczuciem ogromnej ulgi połączonej z satysfakcją, że zrobiłam coś konkretnego, pożytecznego, kategorycznego, że posunęłam się o jeden krok do przodu, że przeskoczyłam mur, przekroczyłam przeszkodę, którą do tej pory uważałam za nieprzekraczalną. Wspaniałe uczucie.

Tak. Ojciec miał rację, nie miałam mu czego zazdrościć. Doktorowi Levasseur'owi i innym też nie. Należymy do tej samej rasy. Rasy, której nie śmiem nazwać.

Woda była wspaniała. Pieściła moją skórę. Czułam się doskonale - rozluźniona i zrelaksowana. Jedno pytanie drażyło mi umysł: czy będę miała wyrzuty sumienia z powodu zepchnięcia Edyty do otchłani, która się przed nią otworzyła?

Wybuchnęłam śmiechem rozpylając maleńkie kropelki wody wokół siebie. Dlaczego to głupie pytanie przyszło mi do głowy? Oczywiście, że nie będę miała żadnych wyrzutów sumienia. Pozostał tylko jeden szczegół: jak to się stało, że śmierć Edyty zupełnie wyszła mi z głowy aż do tej nocy, kiedy w moim koszmarnym śnie zobaczyłam to znowu...

W osiem dni później spłonęła klinika doktora Levasseur'a.

Pożar przybrał ogromne rozmiary. Śmierć w płomieniach znalazł doktor, jak również większość jego pacjentów.

Ojciec spoglądał na mnie podejrzliwie. Nie wiedziałam z jakiego powodu. Oczywiście, policja przeprowadziła śledztwo, ale bez sukcesu, a raczej - bez żadnego sukcesu. Muszę stwierdzić, że bardzo trudno jest odkryć w zgliszczach to coś, co było przyczyną pożaru. Gazety wiele pisały o tej sprawie wymyślając najdziwniejsze hipotezy. Później o wszystkim zapomniano, by przejść do innych, bardziej aktualnych tematów.

Ojciec nie mówił nic. Eleonora stwierdziła prostolinijnie:

- Moim zdaniem doktor Levasseur był głupi. Czy to normalne leczyć głupców? A głupi jest roztargniony. Może upuścić zapalkę do kanistra benzyny.

Ojciec wzruszył ramionami i poszedł do swojego gabinetu. Nie mogę powiedzieć, żebym bardzo żałowała doktora Levasseur'a. Zresztą, kto na moim miejscu doświadczałby tak szlachetnych uczuć? A poza tym, czy tak nie było lepiej? Czy śmierć doktora nie rozwiązała wielu problemów, które pewnie nie rozwiązałyby się same? Bo, jak napisał Dostojewski: *„Ludzie znajdują upodobanie siedząc w swoim błocie i nie lubią, by ich niepokoić”*.

W trzy miesiące po śmierci doktora Levasseur'a zmarł w dziwnych okolicznościach mój ojciec.

W głębi zamkowego parku został wzniesiony mur - przeszkoda dwumetrowej wysokości z czerwonej cegły ułożonej w czterech rzędach. Przecinał szeroką aleję z ubitej ziemi, wzdłuż której rosły drzewa; ciasno, jedno obok drugiego.

Jedną z ulubionych rozrywek ojca były skoki przez ten mur na klaczy Arabica. To było jeszcze jedno z jego dziwactw: nazywać nasze czystej krwi konie imionami przypominającymi Arabię. Więc jego - Arabica, klacz Eleonory - Hedjaz, a moja - Jemen.

Aby przesadzić przeszkodę, ojciec puszczał konia pełnym galopem już od początku alei. Na trzy metry od muru spinał go energicznie ostrogami, by dodać mu energii i oderwać od ziemi. Zawsze mu się udawało. Z wyjątkiem tego razu. Doskonale posłuszna Arabica wróciła sama do stajni i rżała długo dopominając się karmienia.

Ojca znaleziono u stóp muru z roztrzaskaną czaszką.

Nie płakałam. Eleonora też nie. Zadowolili się stwierdzeniem:

- Czarne chmury zasnuły jego planetę. To straszne, ale musiało nastąpić!

Niektórzy znajdują pocieszenie w religii, inni w narkotykach albo w alkoholu, a ona - w astrologii. Jedyłą

osobą, która naprawdę płakała, była „Najmilsza Bibi”. Zawsze ją podejrzewałam, że jest trochę zakochana w ojcu. Na pewno obie z Eleonorą żałowałyśmy, że umarł, ale czy to anormalne nie odczuwać prawdziwego żalu, jeśli się nie było prawdziwie kochanym?

Oczywiście przyjechała policja. Jakiś komisarz Dorval. Jan Piotr Dorval. Młody i bardzo przystojny. Stawiał mnóstwo pytań, jedno bardziej podstępne od drugiego. Jak gdyby chciał nas schwytać w pułapkę. Wydawało się, że to nowy styl pracy policji. Dawniej nazywało się to badaniem trzeciego stopnia i odbywało się w podziemiach komisariatu. Inne czasy, inne obyczaje...

Trwało to cały dzień. Komisarz odszedł, belkocząc jakieś wyjaśnienia. Czego szukał? Czyżby nie był przekonany, że ojciec zginął w wypadku?

Ksiądz był staromodny. Żartował sobie z II Soboru Watykańskiego, żartował z nowego stylu Kościoła, a także ze swojego pierwszego biretu. On właśnie celebrował po łacinie mszę za zmarłych, śpiewał *Dies irae, dies Ula* tak grzmiącym głosem, jak gdyby intonował „Pieśń wyjścia”, ryzykując, że obudzi ojca z martwych, leżącego w dębowej trumnie z ciężkimi, srebrnymi okuciami, trumnie, która stojąc na drewnianym podwyższeniu, omal nie runęła pod ciężarem wieńców. W pogrzebie uczestniczyło wiele osób.

Poruszyłam jedną nogą, potem drugą. Czułam, że ogarnia mnie odrętwienie. W każdym razie nigdy nie lubiłam atmosfery kościoła, szczególnie kiedy odprawiano mszę żałobną.

Wśród wielu osób, które się tu znalazły, próbowałam rozpoznać uczestników obrzędu tamtej straszliwej nocy, zanim zamknięto mnie w klinice doktora Levasseur'a. Nie zauważyłam jednak żadnej z tych twarzy, tak dobrze utrwalonych w mojej pamięci. Obok Eleonory i mnie stała rodzina La Trilliere: ojciec, matka, dwie córki i syn. Nasi dalecy kuzyni.

Kiedy dowiedzieli się o śmierci ojca, ludzie ci przyjechali do zamku i „zdobyli” go, jak *wichrzyciele* w 1789 roku. Z grubym notesem w ręku pan La Trilliere zaczął wyceniać meble, podczas gdy matka i córki myszkowały w szafach. Syn tymczasem z miną świętoszka dłużył w nosie na schodach, przyglądając się łabędziom, które wdzięcznie pływały po stawie. W tym czasie Laurencja, „Najmilsza Bibi” i ja myśleliśmy o zmarłym. Później, tonem „emigranta armii Kondeusza”, wydano nam rozkazy, jak gdyby Bastylia stała ciągle na placu Colonne de Jullet i jak gdyby kat Sanson nie ćwiczył swej sztuki na placu de la Revolution.

Dosyć!

Trzeba dodać, że obie z Eleonorą będziemy się musiały z tym pogodzić, ponieważ pan La Trilliere bez wątpienia zostanie wyznaczony na naszego opiekuna.

Rozdział VI

- Grasz teraz coś?

- prostytutkę w filmie Truffauta. A ty?

- Trafiło mi się. Trzytygodniowy kontrakt w kręconym przez Wiktorynę w Nicei filmie w koprodukcji francusko-hiszpańsko-włosko-angielsko-niemieckiej. Rolę angielskiej niańki.

- Przecież ty nie znasz słowa po angielsku!

- To rola bez słów. Ale cały czas jestem w kadrze, na tylnym planie.

- Trafiło ci się!

- Co będziesz robić po filmie Truffauta?

- Możliwe, że Kappenberg będzie kręcił w Paryżu wielki, widowiskowy film. Coś w stylu „Najdłuższego dnia”.

- O czym?

- Nie mam pojęcia. W każdym razie wygląda na to, że będzie potrzebował wielu statystów.

Olivier i ja wymieniliśmy rozbawione spojrzenia, ale obie filmowe statystki poderwały się i znaleźliśmy się w otoczeniu dwóch pustych stolików. Olivier uparł się, żeby zjeść „*de mer*”. Doszłam do wniosku, że to świetny pomysł.

Restauracja była urządzona tak, jak lubię. Staroświecko. Były tu białe obrusy i przyćmione światła. Obsługa dyskretna i szybka, pokryte skórą sprężyste fotele, ale niestety stoły niedostatecznie odizolowane od siebie. Nie można było prowadzić rozmowy normalnym głosem, aby sąsiedzi nie dowiedzieli się, że ma się platfusa, że siostra ma sześcioro dzieci, każde z innego, nieznanego ojca i że ci się opóźnia okres już cztery tygodnie, bo

zapomniałaś o pigułce.

- Myślę, że półmisek, *Jruits de mer*” z portugalskimi ostrygami, ostrygami macerowanymi, belonami, mięczakami, jeżowcami i królewskimi krewetkami, nie zapominając o pogrzebakach i małżach, będzie mi odpowiadać - stwierdziłam swobodnym tonem.

- Wszystkiego po tuzinie? - rzucił Olivier sarkastycznie. - Z dużym bochenkiem żytniego chleba i funtem masła?

Udałam wściekłość.

- Ale miałam szczęście, że trafił mi się skąpy mąż! W każdym razie tak łatwo mi się nie wywiniesz. Po półmisku, *Jruits de mer*” wezmę barwenę z pasztetem d’anchois. Na deser chciałabym jeszcze...

- I oczywiście szampan, jak zwykle?

- Jak zwykle!

Byłam szczęśliwa, że jestem tu z Olivierem.

Kiedy kelner odbierał zamówienie, dostrzegłam jego taksujące spojrzenie skierowane na zieloną sukienkę z jedwabiu przetykaną złotą nitką, która spowijała mi biust i podkreślała matową skórę. Nie było w moim stylu szwendać się w niechlujnych, obszarpanych dżinsach, powykrzywianych pantoflach, z zakurzonymi i przetłuszczonymi włosami spadającymi na twarz. Skinęłam głową do kelnera.

- Dwie podwójne whisky.

Ponieważ był daleko, nachyliłam się do Oliwiwera.

- Moje myśli były zbyt sprośne na to, żeby ciebie się z nich pozbyć.

Mrugnął porozumiewawczo.

- Opowiesz mi, gdy będziemy sami.

- Zgoda. Zmarszczył brwi.

- Jest jeszcze coś, Katarzyno...

- Tak, to prawda...

- Słucham cię.

Kontynuowałam, gdy Cutty Sark został postawiony między nami.

- Państwo La Trilliere zaczynają mnie drażnić.

Chrząknął.

- Co masz im za złe?

- To, że są w zamku.

- Co o tym myśli Eleonora?

- To samo co ja.

- Byłbym zaskoczony, gdyby było inaczej.

Odwróciłam głowę i zamyślona wpatrywałam się w kelnera, który postawił wiaderko z lodem na stole i zajmował się otwieraniem butelki szampana. „*Comtes de Champagne*” Tattlinger 1969, który OlMer szczególnie lubił.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jesteście współniczkami, ty i Eleonora.

Wzdrygnęłam się.

- Wspólniczkami? Znowu chrząknął.

- Rzecz jasna, że nie współniczkami w morderstwie, ale współniczkami w każdej sprawie, w ruchu, w myślach...

- To całkiem naturalne między siostrami, czyż nie? Wzruszył ramionami.

- Wróćmy do państwa La Trilliere. Sytuacja wygląda tak: twój ojciec zmarł osiemnaście miesięcy temu i od osiemnastu miesięcy oni mieszkają w zamku, manifestując swoją obecność w sposób bardzo natrętny. Obie nie możecie się z nimi porozumieć, lecz musicie ich znosić, ponieważ jesteście nieletnie.

Przytaknęłam lekkim skinieniem głowy.

- Wkrótce po osiągnięciu pełnoletności - ciągnął – to znaczy dwa miesiące temu, poślubiłaś mnie.

Patrzył na mnie badawczo. Unikając tego spojrzenia wpatrywałam się w półmisek „*fruits de mer*”, który między nami postawiono. Pospiesznie dopiłam whisky. Olivier odchrząknął.

- Czy rzeczywiście wyszłaś za mnie z miłości, Katarzyno?

Udałam zdumienie i zgorszenie.

- Wątpisz, Olivierze?

Przełknął zawartość szklanki, odstawił ją i zabrał się za małże. Zrobiłam to samo.

- Nie wiem... - odpowiedział.

- Mówimy o państwie La Trilliere, a nie o mojej miłości do ciebie - zauważyłam logicznie.

- Właśnie. Zadaję sobie pytanie, czy nie poślubiłaś mnie głównie po to, by uwolnić się od ich kurateli.

- Zauważ, że w naszych czasach pełnoletność osiąga się w wielu osiemnastu lat.

- Wiem dobrze. Jaką postawę proponujesz przyjąć wobec La Trilliere?

Aby zyskać na czasie, odłożyłam pustą muszlę na brzeg talerza i wahałam się między wyborem belony i portugalskiej ostrygi.

- Trzeba ich wyrzucić za drzwi. To zajęcie dla mężczyzny. Zajmij się tym.

- Eleonora jest jeszcze nieletnia. A pan La Trilliere jest jej prawnym opiekunem.

- Porozmawiaj z prawnikiem. Niech znajdzie jakiś kruczek prawny, żeby obejść tę przeszkodę.

Skrzywił się sceptycznie.

- To niełatwe.

- Zrób to jakoś. Nie jest się w pełni mężem, jeśli nie można oddać żonie takiej przysługi. Chcę, żeby Eleonora została z nami i żeby państwo La Trilliere wynieśli Cię jak najszybciej. Nalej mi szampana, chce mi się pić.

Spełnił moje życzenie.

Nie wiem dlaczego, ale tego wieczoru miałam ochotę napić się szampana.

Kiedy położyliśmy się do łóżka, Olivier zaczął wyraźnie okazywać chęć na pieszczoty. Odmówiłam energicznie, ponieważ nie odczuwałam żadnej żądz. Odwrócił się nadąsany na drugi bok i natychmiast usnął. Bez wątpienia na skutek działania wypitego szampana. U mnie szampan wywołuje przeciwny skutek - całkowitą bezsenność. Po chwili usłyszałam chrapanie, ale to mi nic a nic nie przeszkadzało.

Dlaczego go poślubiłam? Tego wieczoru w restauracji dotknął czułego punktu - mojego uczucia do niego. Bardzo go kocham, lecz do odczuwania bezmiernej miłości jest jeszcze daleko. On, przeciwnie, zakochany jest do szaleństwa. Zresztą, to on mnie prosił o rękę.

To dziwna sprawa. Natychmiast po pogrzebie ojca, osiemnaście miesięcy temu, państwo La Trilliere zamieszkali w zamku. Zamienili nędzną rudere, w której mieszkali poprzednio, na zamek!

W restauracji Olivier podkreślił, że Eleonora i ja nie zgadzałyśmy się z nimi. Jak powiedział Jean Paul Sartre:

„*Piekło to inni*”, i to zdanie doskonale pasowało do tej rodziny.

Popatrzmy:

Ojciec, imieniem Karol, jest apodyktyczny, chciwy, jak poszukiwacz złota i skąpy, jak Szkot.

Matka, Izadora, (co za imię!), jest równie chciwa, jak jej mąż, mówi wyniosłym tonem, ma zdecydowane ruchy i jest doskonałym przykładem brzydoty.

Szesnastoletni syn Denis jest krostowatym dryblasem o oczach podkrążonych z powodu niezliczonych seansów masturbacyjnych, którym się oddawał.

Najstarsza córka, siedemnastoletnia Fryderyka, jest zdecydowanym wrogiem Eleonory. Idiotką czekającą tylko na osiągnięcie pełnoletności, by udać się na pielgrzymkę do Katmandu, brudną jak śmietniczka, uważającą się za intelektualistkę, ponieważ czytała Marksa, Marcusa i Theilharda de Chardin.

Druga córka, piętnastoletnia, jest nimfomanką, puszczającą się z portugalskimi drwalami pracującymi w lesie. Każdy ją przeleciał. Przedsiębiorca prowadzący prace w lesie przychodził interweniować do zamku. Ilość wycinanych drzew znacznie się zmniejszyła, ponieważ zamiast drzew, rąbali ją.

„Najmilsza Bibi” rozchorowała się, kiedy przybyła jej trójka dodatkowych uczniów. I, co za tupet, wtargnęli na „naszą wieżę”!... Tę wieżę, którą Eleonora i ja uważaliśmy za swoją twierdzę. Na szczęście żadne z nich nie

jeździło konno, bo w przeciwnym wypadku skonfiskowaliby nasze wierzchowce, Jemena i Hedjaza!

Wszystko to spowodowało, że gdy pojawił się Olivier, natychmiast zgodziłam się go poślubić, by mieć w kimś oparcie.

OlMer miał dwadzieścia sześć lat. Był czarującym człowiekiem. Odziedziczył duże biuro consultingowe i od czasu, kiedy się pobraliśmy, dwa miesiące temu, codziennie jeździł tam i z powrotem, między zamkiem a miasteczkiem.

Poznałam go przypadkiem w lesie, gdy podobnie jak ja, odbywał konną przejażdżkę. Wiem, że jestem ładna, więc nie zdziwiłam się, że zakochał się we mnie po uszy i oświadczył się. Czulałam się z tego powodu winna wobec Eleonory. Ostatecznie przyjęła ten fakt całkiem dobrze, bo natychmiast spostrzegła korzyści, jakie z tego małżeństwa możemy wyciągnąć.

Kiedy byłam zatopiona w myślach, nagle przypomniałam sobie o tym, co dręczyło mnie od śmierci ojca. Chodziło o zeszyt, który dał mi do przeczytania tego ranka, gdy wróciłam z kliniki psychiatrycznej doktora Levasseur'a. Zeszyt, który zawierał tak przerażające informacje... I tak niebezpieczne... Zeszyt, który zniknął... Kto go zabrał? Może państwo La Trillere? Możliwe, ale to oznacza, że są w posiadaniu przedmiotu szantażu.

Od tych myśli aż zaschło mi w gardle. Olivier odwrócił się przez sen, a jego ręka wyciągnęła się machinalnie i legła na mojej piersi. Odsunęłam ją delikatnie. W miłosnych pieszczotach z Olivierem byłam całkiem zimna. Znosiłam je, bo czulałam się zobowiązana do tego, by od czasu do czasu mu się oddać, żeby mu zrobić przyjemność!... Postanowiłam pójść napić się wody, ponieważ byłam bardzo spragniona, zapewne z powodu wypitego szampana. Kiedy podeszłam do

lodówki, nagle przypomniałam sobie tę straszną noc, gdy znalazłam się w identycznej sytuacji. Wtedy zesłam napić się lemoniady i odkryłam, jakim bezceństwem oddaje się ojciec. To było tak dawno...

Chwyciłam butelkę wody vichy oraz szklankę i wróciłam do sypialni. Ledwo przełknęłam łyk, gdy zadzwoniła Eleonora. Mieliśmy w zamku kilka telefonów - na szczęście wybrała właściwy numer.

- Katarzyna?

- Tak.

- Wygląda na to, że odbija ci się szampanem.

- Może.

- Nie jesteś rozmowna.

- Ty płacisz za połączenie. Wybuchnęła śmiechem.

- Jesteś w łóżku?

- Jak się domyśliłaś?

- Po twoim lubieżnym głosie. Brakuje mi ciebie - zaszczębiotała.

Odwróciłam się w stronę Oliviera. Zamruczał przez sen, ale wyglądało na to, że dzwonienie telefonu go nie obudziło.

- Zdradziłaś mnie z Olivierem? - zapytała, jakby napiętym głosem.

- Nie.

Usłyszałam, jak wydała westchnienie zadowolenia. Bardzo szybko powiedziałam:

- Rozmawiałam z nim...

- O czym?

- O naszych dręczycielach.

- Poskutkowało?

- Mam nadzieję.

- Ja też. Wysłałam list. Dostałaś go?

- Nie. Kiedy wracasz?

- Za cztery dni.

- Bardzo się cieszę.

- Ściskam cię i kończę. Dobranoc.

Stuknięcie. Odłożyłam słuchawkę. Eleonora spędzała kilka dni wakacji u swojej przyjaciółki Stefanii. Nudziłam się bez niej.

& Ht \$r List Eleonory przyszedł nazajutrz rano.

Podczas spaceru ze Stefanią odkryłam zakątek nad Sekwaną. Brzeg jest pełen zieleni. Mijają się wszelkiego rodzaju barki z ładunkiem połyskującym niebieskawo i obiecująco. Ich monotonna melancholia pozostawia na wodzie ślad przygody i podróży... Oprócz kilku zagórza-

tych wędkarzy i bezpańskich psów, nie spotyka się tu żywej duszy. A podczas całego spaceru jesteś przy mnie i zastanawiam się, czy podobałby Ci się ten zakątek.

Tego wieczoru, jak każdego, który zaczyna się bez Ciebie i kończy bez Ciebie, bez Twojego głosu. Twojego ciepła, chcę znaleźć się w ciemności, by odnaleźć wspomnienia, przelotne jak letni deszcz. Choć Ciebie tu nie ma, czuję jednak na skórze ciężar Twojego ciała...

Jutro wieczorem zadzwonię. Umieram z tęsknoty za Twoim głosem.

Ściskam Cię mocno.

E.

Rozdział VII

Mimo wysiłków Oliviera, państwo La Trilliere nie opamiętali się. Prawdziwe pijawki! Okropnie się do nas przyssali! A Olivier nie okazał się dostatecznie energiczny. Nie trafił mi się taki mąż, jakiego potrzebowałam.

Komisarz Dorval, ten, który już mnie wypytywał po wypadku ojca, objął mnie poufale ramieniem i poprowadził porośniętą drzewami aleją.

- Co pani sądzi o śmierci Weroniki La Trilliere?

- Portugalski drwal.

- Słucham?

- Nic pan nie wie na ten temat, komisarzu? - powiedziałam starając się nie rumienić.

- Nie.

- Mimo młodego wieku, Weronika objawiała przedwczesne skłonności do nimfomanii. Swoje upodobania zaspokajała na dość niskim szczeblu społecznym. Z portugalskimi drwalami w lesie... Ze *wszystkimi* portugalskimi drwalami w lesie...

- Rozumiem. I pani myśli, że jeden z nich ją zamordował?

- Tak sądzę.

- Z jakiego powodu, według pani?

- Za dużo pan wymaga ode mnie. Może mordercy zależało na wyłączności i był zazdrosny widząc, jak puszcza się ze wszystkimi? Chciał mieć ją tylko dla siebie. Wie pan, takie rzeczy się zdarzają. Czy nie zetknął się pan z takimi przypadkami w swojej pracy?

- Istotnie.

- Powinien pan prowadzić swoje poszukiwania w tym kierunku.

- Nie omieszkam.

- Na nieszczęście, tych portugalskich drwali jest wielu. To nie ułatwi poszukiwań.

- Tego się obawiam. Jednak to bardzo smutne umrzeć w piętnastym roku życia.

Skrzywiłam się szyderczo.

- Tym niemniej, zaznała więcej obłapiania, niż wiele kobiet, które osiągnęły wiek menopauzy!

Spojrzał się tylko wokoło i mruknął:

- Ostatnim razem przyszedłem tu, gdy pani ojciec się zabił...

Zatrzymał się nagle, wyjął z kieszeni szalik i wręczył mi.

- Zna pani ten szalik? Przyjrzałam się.

- Nie.
- Nie należy do pani?
- Nie.
- Tym szalem uduszono Weronikę.
- Więc musiał należeć do niej.
- Z pewnością nie. Jej matka zapewniała, że to nie jest jej własność, a siostra potwierdziła.
- Z pewnością - był własnością portugalskiego drwala.
- Portugalskiego drwala?
- Mordercy, jeśli pan woli.
- To jest szalik damski, a nie męski! Zwróciłam mu szalik.
- Rzeczy tego rodzaju można znaleźć w wielu sklepach. Powinien kosztować około dziesięciu franków.
- Rzuciłam to nieprzyjemnym tonem, a on uśmiechnął się tylko.
- Sprawdzę to.

Komisarz Dorval skrzywił się w fałszywie przyjaznym uśmiechu jak kat, gdy zamyka szyję skazanego na śmierć w dybach gilotyny. Mrugnął do mnie dając znak, bym za nim poszła. Znajdowaliśmy się oboje na środku salonu, blisko okna wychodzącego na plac przed zamkiem.

- To prawdziwy pech... Po Weronice przyszła kolej na Denisa LaTrilliere...

Natychmiast zaprotestowałam:

- Ale on nie został zamordowany!-

- Nie?

- To był wypadek!

- Jak pani ojca?

- Oczywiście!

- Przypuśćmy...

- Ta belka nie trzymała się. Oderwała się, spadła, a spadając strzaskała czaszkę Denisa. Proste jak drut!

- Rzeczywiście, proste. Co, pani zdaniem, Denis La Trilliere robił na poddaszu zamku?

- Masturbował się.

Skrzywiłam się, a on podniósł ze zdumienie brwi.

- Naprawdę?

- Tak jak mówię. Jak opętany. Trzy lub cztery seanse dziennie. Poddasze było jego ulubioną kryjówką na tego rodzaju ćwiczenia.

- Przyłapała go pani?

- Tak. Moja siostra też. Wstrętne!

- I wchodził tam, gdzie ruszała się belka. Zawstydział się. Końcówka zdania uwięzła mu w gardle.

- Chciałem powiedzieć... pod belkę, która... która kiepsko się trzymała?

- Właśnie.

- Niebezpieczne.

- Może nie zdawał sobie sprawy, że ta belka może któregoś dnia oderwać się?

- Czy dużo osób znało jego upodobanie do tego miejsca?

Podrapałam się w głowę.

- Nie wiem, komisarzu.

Udałam, że nie wiem do czego zmierza i nagle zmroziła mnie okropna myśl. A jeśli państwo La Trilliere, którzy, co jest wielce prawdopodobne, weszli w posiadanie zeszytu ojca, podsunęli komisarzowi te podstępne pytania? Tłumaczyłoby to jego skłonność do stawiania mi mnóstwa pytań. Od czasu śmierci Weroniki, którą znaleziono zamordowaną w lesie, upłynął miesiąc. Na dodatek dzisiaj znaleziono na zamkowym poddaszu zwłoki Denisa La Trilliere z czaszką zgniecioną przez belkę umieszczoną tam w XVIII wieku, która urwała się ze swojego miejsca, nadgryziona przez termity.

Szybko spróbowałam zmienić temat rozmowy.

- A pana śledztwo w związku ze śmiercią Weroniki, komisarzu?

- Od miesiąca żadnego postępu.

- Co z portugalskimi drwałami?

- Są rozmowni jak manekiny w gabinecie figur woskowych.

- Szalik?

- Nie odnaleźliśmy sklepu, w którym go sprzedano.

- Więc pańskie śledztwo utknęło w martwym punkcie?

- Całkiem słusznie. Proszę mi powiedzieć...

- Tak?

- Jak rodzice przyjęli śmierć dwojga swoich dzieci?

- Naturalnie bardzo ciężko.

- Wyobrażam sobie.

Nie mogłam powstrzymać się, by nie zrobić przewrotnej i nieprzychylniej uwagi:

- O ile byli zadowoleni ze śmierci ojca, która pozwoliła im zamieszkać w naszym zamku, o tyle żałują, że postawili w nim nogę...

Zmarszczył brwi.

- To całkiem naturalne. Gdy traci się dwoje dzieci z trojga...

Trzecie dziecko, Fryderykę, stracili miesiąc później... Stracili... Powiedzmy to tak: Fryderyka zmarła. Nie drażni już nas Marksem, Marcusem i Theilhardem de Chardin. Tyle zyskałyśmy. Hipokrytka Eleonora złapała jej tomiska i spaliłyśmy je w *naszej* wieży, nareszcie wolnej od intruzów. Prawdziwe auto-da-fe!

Płomienna radość! Aż dziw, że nie zatańczyłyśmy indiańskiego tańca dokoła ogniska! Jak zmarła? Zwyczajnie. Ta biedna idiotka uwierzyła w wyjazd do Kathmandu i nabrała ochoty na narkotyki. Zmarła z przedawkowania. Przyrządziła sobie „kompot” składający się ze zmieszanych w pucharku najróżniejszych leków i połknęła jak leci. Jak owocową sałatkę. Najpewniej Fryderyka nie zwróciła uwagi, że domieszała do „kompotu”

silną truciznę... W każdym razie miałam dzisiaj prawo do zwyczajnego przesłuchania trzeciego stopnia przez obrońcę wdów i sierot, komisarza Dorwała. Miałam to jak w banku.

- Prawdziwa hekatomba! - zaczął powściągliwie. Zrobiłam chytrą minę.

- Zastanawiam się, czy na zamek nagle nie spadło przekleństwo.

Zerknął nieznacznie, żeby zobaczyć, czy z niego nie kpię.

- Nie wierzę w takie rzeczy. Stwierdzam, że na przestrzeni bardzo krótkiego czasu wydarzyły się tu trzy gwałtowne zgony.

- Morderstwo i dwa wypadki. Zresztą, czy Fryderyka nie popełniła samobójstwa? Mogła świadomie połknąć ten swój „kompot”.

Skrzywił się.

- I co jeszcze? Niech mi pani powie, co mają zamiar robić rodzice?

- Opuścić zamek.

Jego oczy zwęziły się w dwie wąskie szparki.

- Widzę...

Nagle ogarnęła mnie złość.

- Dlaczego pan zawsze bierze się za mnie?

Ze zdziwienia zmarszczył czoło, jednocześnie nieznanym grymasem wykrzywił mu wargi.

- Ja? Ależ... Wypytyuję panią tak, jak wypytuję innych mieszkańców zamku.

- I co panu powiedzieli?

- Nic ważnego, to samo, co pani. Ucieszyłam się.

- Sam pan widział. Paznokciem palca wskazującego podrapał szybę, na której była rozgnieciona mucha. Tak trudno znaleźć teraz pokojówkę! Zatrudnialiśmy żony drwali do sprzątnięcia zamku, ale one są mało sumienne i pokojówka odpowiedzialna za sprzątnięcie salonu prawdopodobnie przepuściła tę szybę.

- Co za okrutne doświadczenie dla rodziców – mruknął. - Stracić troje dzieci.

Przytaknęłam obłudnym współczuciem.

- To okropne. Wciąż drapał szybę.

- Jeśli państwo La Trilliere opuszczą zamek, zostanie was tu tylko troje.

Udałam idiotkę.

- Czworo.

- Czworo?

Dla podkreślenia słów zaczęłam wyliczać na palcach:

- Eleonora, moja siostra, Olivier, mój mąż, ja i Lau-rencja, nasza kucharka. Wie pan, jest to osoba godna zaufania i wspaniale gotuje. Któregoś dnia, gdy pan zakończy śledztwo, musi pan skosztować jakiegoś jej dania. Przyślę panu zaproszenie.

- Dziękuję.

Cała przyjemność po mojej stronie. Powiedziałam cztery, ale można też dorzucić do tej listy „Najmilszą Bibi”. Chciałam powiedzieć: panią Gaillard, nauczycielkę Eleonory, która beznadziejnie próbuje doprowadzić ją do końcowych egzaminów. Praca tytaniczna, gdyż Eleonora jest zbyt zajęta astrologią.

- Ona mieszka w zamku?

- Nie, ale przebywa w nim całe dni.

Westchnął.

- Ilu z nich dożyje do końca roku? Poczulałam lekkie ukłucie w sercu.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Gdy dzieją się takie rzeczy, nie ma powodu, by nadal nie szły tym torem. Śmiertelny wypadek trafia się z taką łatwością.

- Gdyby Eleonora tu była, odpowiedziałaby panu, że jest to jedynie kwestia dobrej lub złej gwiazdy. Jeśli ma pan horoskop, który...

- Kpię z tych bzdur!

- Niech pan nie mówi tego Eleonorze!

Wydrapałaby panu oczy! - powiedziałam ironicznie.

Gwałtownie się odwrócił.

- Miejmy nadzieję, że tu nie wrócę, - rzucił przez ramię zjadliwym tonem.

- Miejmy nadzieję, że przyjdzie pan tylko po to, by skosztować dania Laurencji, komisarzu!

Ze szczytu *naszej wieży* Eleonora i ja asystowałyśmy odjazdowi dwojga żyjących z rodziny La Trilliere. Obserwowałyśmy przez lornetki każdy ich ruch, podczas gdy układali bagaże w okazałej przyczepie kempingowej dołączonej do wspianego mercedesa - jedno i drugie kupione ze spadku po ojcu.

Rzucali wokół ostrożne spojrzenia, jakby spodziewali się zobaczyć wyłaniające się nagle widmo śmierci.

Eleonora przycisnęła się do mnie.

- Jesteś pewna, że nic nam nie zwędzili?

Wzruszyłam ramionami.

- To bez znaczenia. Najważniejsze, że wyjeżdżają.

- Mimo wszystko Olivier powinien czuwać, czy nie zabierają czegoś, co należy do nas. To przykre mieć w domu mężczyznę, który nie jest zdolny do energicznego działania.

Nie odezwałam się.

- Jest aż tak zajęty? - podjęła.

- Jest. Patrz!

- Co?

- W końcu odjeżdżają!

Nie słuchając odgadłam, że opony mercedesa i przyczepy trzeszczą na żwirze. Zatoczyli szeroki łuk i po chwili zniknęli między drzewkami. Eleonora oderwała lornetkę od oczu i zaczęła z radości skakać w miejscu naśladując indiański taniec. Brakowało jej tylko tomahawka.

- Nareszcie wolne! - wykrzyknęła.

I natychmiast nacisnęła przycisk przenośnego magnetofonu, który ciągle włączyła ze sobą, żeby słuchać cholernej muzyki pop, albo nagrywać przypadkowe audycje, gdy udawała się do miasta.

Rytmiczny łomot rozbrzmiewał w otaczającym chłódzie. Przez chwilę słuchała i jej twarz nagle stała się poważna.

- Nie uważasz, Katarzyno, że jest jednak coś dziwnego w tych wszystkich niewytłumaczalnych wypadkach?

Odwróciłam wzrok czując nagły dreszcz. Czy to z powodu wiatru, który wiał na szczycie wieży?

A zeszyt?

Czy państwo La Trilliere zabrali zeszyt ze sobą?

Poczułam nagle skurcz w żołądku. Mdłości, które nasilały się, gdy wspomniałam komisarza Dorwała.

Rozdział VIII

Czy zrobiłam błąd zapraszając komisarza Dorvala, by spróbował potraw Laurencji? Nie wydaje mi się. Laurencja przeszła samą siebie, przyrządzając pstrąga w migdałach. Nie hodowlanego pstrąga, ale gwarantowanego ze strumienia, „madę in river”. Byli też OlMer, Eleonora i „Najmilsza Bibi”. Komisarz zrujnował się na kupno wielkiego i wspaniałego pudła czekoladek, które musiało go kosztować majątek. Czy uznał to za wydatek służbowy?

Na początek mieliśmy pasztet z warchlaka, którego ja upolowałam, ryzykując, że jego matka, wielka locha, rozpruje mi brzuch. Po pstrągu w migdałach - sery, przysmak dyplomatów - kolejne, udane danie Laurencji. Jeśli chodzi o trunki, to mieliśmy unikalny „*Comtes de Campagne*” Taittinger rocznik 1969. OlMer, który pochodzi ze starego rodu w Szampanii, jest niezrównany w wyborze renomowanej piwnicy.

Przy kawie komisarz Dorval rozpoczął działania nieprzyjacielskie. Aż do tej chwili zachowywał się grzecznie, a ograniczał się do nieszkodliwych utarczek słownych.

- Jestem trochę zdziwiony... - zaczął.

- Jakością kuchni Laurencji? - naiwnie spytała Eleonora.

Uśmiechnął się.

- Przede wszystkim nigdy nie wątpiłem w talenty kulinarne Laurencji, proszę pani. Nie, chcę powiedzieć, że jestem trochę zdziwiony, widząc państwa jeszcze żywych.

OlMer zmarszczył brwi.

- Takimi słowami przyniesie pan nam nieszczęście, komisarzu!

Dorval spokojnie odstawił filiżankę na spodek.

- Jedno morderstwo i dwa wypadki... czy raczej dwa zgony, zastanowiwszy się... w ciągu względnie krótkiego czasu... przyzna pani, że wzbudza to obawy o pozostałych przy życiu. Zresztą państwo La Trilliere po śmierci swoich trojga dzieci woleli wyemigrować do zdrowszych miejsc. Bilans wypadków jakie miały miejsce w ciągu osiemnastu miesięcy na zamku, w którym mieszkacie, przedstawia się przerażająco. Jedno morderstwo i trzy wypadki, jeśli policzyć ten, który przytrafił się...

Zwrócił się do mnie.

- ...pani ojcu.

Przełknęłam łyk kawy i odsuwając filiżankę na spodek protestowałam:

- Pan naciąga fakty, komisarzu. Morderstwo Weroniki nie miało miejsca na zamku, lecz w lesie.

- Mieszkała w zamku - odparł - tak jak ofiary wypadków.

Westchnął.

- To spowodowało dużo hałasu na górze. Nie są zbyt zadowoleni z rezultatów mojego śledztwa.

- Na górze?

Tu wmieszał się Olivier. Nadał się przybierając ważną minę.

- Proszę się nie martwić, komisarzu. Mam stosunki w prefekturze i nie omieszkam zadziałać. Jeśli się nie mylę, pan podlega SRPJ w Reims?

- Tak.

- Więc nie ma sprawy. Poproszę, żeby umorzono te wszystkie nieszczęsne sprawy.

- Z góry dziękuję - powiedział Dorval z lekką ironią.

- Mimo wszystko - droczyła się Eleonora - można potraktować komisarza surowo za to, że nie odkrył mordercy Weroniki w tej cizbie portugalskich drwali, którzy tłoczą się w lesie. Dotąd nie śmiem jeździć konno w tamtą stronę, tak dużo ich jest. Nie wiem, czy nie zamordowaliby mnie tak jak biednej Weroniki. Prawda, że ona... - gwałtownie przerwała.

Dorval odwrócił się do niej.

- Niech pani przestanie. Zawstydziała się.

- Chciałam po prostu powiedzieć, że Weronika szukała towarzystwa portugalskich drwali, a dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie.

Skinęłam głową podkreślając swoją aprobatę lekkim stuknięciem w stół. Olivier ponaglił mnie ruchem głowy.

- Katarzyno, może przeszlibyśmy do salonu na likier? Wszyscy wstali i nieco później, gdy wygodnie zasiedli

w fotelach, komisarz Dorval wykazał brak dobrego wychowania, nawiązując do tematu przerwanej rozmowy.

- Widzi pan - zaatakował, zwracając się do Oliviera - przyszło mi do głowy, że te wypadki równie dobrze mogły nie być wypadkami.

- Więc czym? - obruszył się Olivier.

- Morderstwami.

Olivier zakrztusił się szampanem.

- Pan żartuje, komisarzu.

- Nic a nic.

„Najmilsza Bibi”, która od przybycia Dorwała nie odezwała się słowem, wstała i z niewyraźnym uśmiechem powiedziała:

- Powinnam wziąć udział w ważnym spotkaniu w związku z koncertem, który w przyszłą niedzielę odbędzie się w Epernay. Ostatnia próba przed koncertem. Jeśli państwo wybaczą...

Ruchem pełnym irytacji Olivier dał jej znak, że może odejść. W czasie, gdy nie udzielała lekcji, „Najmilsza Bibi” była fanatyczną miłośniczką oboju. Jak mówił Olivier, który nie wahał się wypowiadać najokropniejszych kalamburów, obój był dla niej tym, czym bęben dla Paganiniego.

Eleonora chrząknęła.

- Twierdzi pan, komisarzu, że wypadki, które tu miały miejsce, mogły być morderstwami?

- To śmieszne! - zaprotestował Olivier. Dorval pozostał niewzruszony.

- Przedstawiłem tę teorię moim zwierzchnikom.

- Jestem pewna, że ją wyśmiali - szydziłam. Zwrócił się do mnie.

- Nikt w policji nie wyśmiewa żadnej teorii, proszę pani.

- Jeśli nie wyśmiali, to co powiedzieli? - zapytał Olivier. Dorval zmrużył oczy.

- Zadali mi tylko jedno pytanie.

- Jakie? - to pytanie niemal wytrysnęło mi z warg. Popatrzył na mnie z zakłopotaniem.

- Motyw.

- Motyw?

Tym razem odezwał się Olivier.

- Nie ma morderstwa bez motywu - uściślił komisarz profesorskim tonem - a raczej w przeważającej większości wypadków morderstwa są popełniane z jakichś motywów - poprawił się.

Wybuchnęłam śmiechem.

- A panu nie udało się odkryć żadnego motywu?

- Nie. Oczywiście, od razu odrzuciłem hipotezę, według której ktoś chciał obrzydzić zamek państwu La Trilliere i spowodować ich wyjazd, mnożąc zniknięcia ich dzieci.

- Byłoby to potworne - przytaknął Olivier.

- Trudno byłoby zaprzeczyć.

Dopił resztę szampana. Skwapliwie nalałam mu pełen kieliszek.

- Dziękuję.

- Przypuszczam, że skoro nie udało się panu znaleźć motywu, pańscy zwierzchnicy stwierdzili, że jest pan na złej drodze? - wysunął przypuszczenie Olivier głosem, który wydał mi się zmieniony.

- Właśnie.

- Więc dlaczego, jak pan przed chwilą powiedział, tam na górze są zdziwieni? - jątrzyła Eleonora.

- Ponieważ nikt nie lubi powtarzających się śmiertelnych wypadków.

Na czole Oliviera pojawiła się zmarszczka zakłopotania.

- Podczas śniadania - zaczął powoli - wyraził pan zdziwienie, że jeszcze widzi nas żywymi. Z tego wynika, że mogą się tutaj wydarzyć i inne wypadki.

Dorval potarł podbródek.

- Pan mi próbuje zabawę w przepowiednie.

- Policja pełni też funkcje zapobiegawcze, czyż nie? - zaoponował Olivier.

- Słusznie.

- Więc słuchamy pana, komisarzy - powiedziała Eleonora oblizując wargi. - Czy myśli pan, że wydarzą się tu inne wypadki?

Przyglądałam się jej. Na jej twarzy malowało się łąpczywe oczekiwanie. Całkiem jakby komisarz Dorval miał jej dać klucz do tajemnicy życia i śmierci, lub jakby z jego ust miał paść wyrok, od którego zależeć miało życie. Wyrok bez prawa łaski.

Dłuższy czas smakował w ustach szampana. Wydymając policzki badał aromat, przełknął jakby z żalem i odstawił czarzkę. Zerknął na pudełko z cygarami podsuwane przez Oliviera, wybrał jedno, wyłuskał z celofanowego opakowania, powąchał i wreszcie zdecydował się podać jego koniec płomieniowi zapalniczki Oliviera, po uprzednim dokładnym odgryzieniu drugiego końca. Igrając z naszą niecierpliwością wypuścił wielki kłęb dymu w kierunku chińskiej wazy stojącej na stoliku po lewej stronie. Waza ta była jednym z cennych przedmiotów przywiezionych przez Oliviera po naszym ślubie.

- Nie wątpię w to nawet przez chwilę – zakończył oświadczenie znaczącym tonem.

Olivier poderwał się.

- Ależ to pomysł jak z romansu przygodowego, komisarzu! Na czym pan opiera...

Dorval wzruszył ramionami.

- Intuicja.

- Szkoda, komisarzu, że pan nie użyje tej intuicji, by przewidzieć, kim będą kolejne ofiary morderstw i jaki fatalny los je czeka. We Francji takich ofiar musi być dużo.

Moja ironia go nie wzruszała, głęboko zaciągał się, po czym rzucił niedbale:

- Jeszcze o tym pomówimy.

Olivier strzasnął popiół z cygara do popielniczki i odpowiedział dość kłótliwym tonem:

- Czy pana intuicja sprawdziła się już kiedyś?

W spojrzeniu Dorvala pojawił się złośliwy błysk.

- Dwa razy.

- W sprawach kryminalnych?

- Tak.

- To słaby wynik, biorąc pod uwagę liczbę spraw kryminalnych, które musiał pan prowadzić w trakcie swojej kariery policyjnej.

- Intuicja nie zawsze daje o sobie znać. Jest jak natchnienie u pisarza, ma swoje kaprysy.

- A czy jest pan pewien, że daje o sobie znać w tym wypadku - powątpiewał OlMer tonem, w którym brzmiał najgłębszy sceptycyzm.

- Jestem zupełnie pewien! Niech pan posłucha, proponuję zakład. Tylko... waham się...

- Dlaczego?

- Gdyż nie wiem z kim.

- Jak to?

- Nie mogę oczywiście zakładać się z przyszłą ofiarą „wypadku”, a ponieważ nie wiem, *kto* będzie ofiarą, trudno się zakładać.

Końcowe słowo należało do mnie.

- Dlaczego nie założyć się we trójkę? Ten kto przeżyje, wypłaci panu całość stawki.

Powiedziałam to tak pogardliwym tonem, że aż Olivier rzucił mi zdziwione spojrzenie. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale komisarz Dorval go uprzedził.

- To dobry pomysł, proszę pani. Udał, że się zastanawia.

- Niech będzie, zgadzam się na zbiorowy zakład. Rozejrzał się dokoła.

- Popatrzmy... ta chińska waza, na przykład? Wskazał palcem chińską wazę stojącą na stoliku po lewej stronie. Olivier zbladł, lecz jako dobry gracz wyraził zgodę skinieniem głowy.

- Zakład zawarty.

Eleonora ucieszyła się. Nie znosiła tej chińskiej wazy, jak i niczego pochodzącego ze Wschodu.

- Ale co pan stawia, komisarzu? - zapytała podnieconym głosem.

Uśmiechnęłam się wesoło.

- Należałoby najpierw ustalić termin, proszę pani. Powiedzmy, że jeżeli w ciągu roku żaden „wypadek” tu się nie wydarzy, przegrywam zakład. Czy ten warunek wydaje się państwu do przyjęcia?

- Tak - odpowiedzieliśmy wszyscy chórem.

- A jeśli ja przegram zakład - kontynuował - zobowiązuję się zapoznać z pewnym szczegółem, którego nie znacie na temat śmierci Denisa La Trilliere. Szczegółem, który przeczy tezie wypadku...

Rozdział IX

Zimno jest tak miłe jak włos w zupie. Nie ostrzega o nadejściu wystarczająco wcześnie. Kto by się nim martwił tej ciepłej jesieni, będącej przedłużeniem wyjątkowo gorącego i suchego lata? OImier mówił, że nie pamięta tak upalnego lata od 1968 roku. Upalne i suche. To prawda. Na wakacyjnych szlakach litry wody mineralnej walczyły o pierwszeństwo z litrami benzyny.

Podniosłam okno w drzwiach samochodu. Z powodu zimna. Droga była pusta i wyglądała złowrogo pod kompletnie czarnym niebem.

Na zakrętach, dla zabicia czasu, zabawiałam się liczeniem drzew ubranych w gorsety malowane białą farbą. Tak, jak zabijałam czas, gdy siedząc pod suszarką, liczyłam zmarszczki na twarzy Medelaine, mojej stałej fryzjerki. Na zwiędłej twarzy, której odbicie widziałam w lustrze z fałszywymi złoceniami w stylu empire.

Po krzyżu przebiegł mi dreszcz. Włączyłam ogrzewanie i od razu ciepłe powietrze zaczęło przyjemnie pieścić mi nogi. Jeszcze pół godziny i będę na miejscu. Można przewidzieć, że Olivier będzie mi robił wymówki. Nacis-

nęłam na gaz. Wskazówka prędkościomierza wspięła się do 180. Do diabła z policją. Zresztą, mało prawdopodobne, że spotkam kontrolę drogową o tej porze i na tej drodze.

Bolid ryczał jak lew, którego można zobaczyć w zoo w Vincennes, gdy niecierpliwi się czekając na dozorcę z kawałkiem krwawego mięsa stanowiącym jego codzienny posiłek.

Już nie mogłam liczyć drzew na wirażach. Szybkość była tak duża, że gorsety malowane białą farbą zlewały się, łącząc ze sobą i wyglądały jak biały pas, nierealny i groźny. Wzięłam trudny zakręt, zbliżając się do szerokiej linii okalającej przydrożne platany. Właśnie w tym momencie silnik porsche'a zaczął słabnąć, jak ta Kreolka, Józefina de Beauharnais, która przy najmniejszej zmianie nastroju skarżyła się, że ma zapory. Zaczęło się to od zwolnienia obrotów silnika, jakichś dziwnych drgań, potem nastąpił przerwany chrobot, drgania przechodzące w cichnący ślizg, w końcu stanęłam na poboczu drogi.

Drżąc od chłodu wygrzebałam się z fotela i postawiłam nogi na asfalcie. Daremnie było podnosić maskę i próbować znaleźć defekt. Zupełnie nie znam się na mechanice, która jest dziedziną OIMera. Ja poradzę i to wszystko. Tym bardziej nie trzeba mnie pytać o mechanizmy wewnątrz samochodu. Dla mnie powinien chodzić na skinienie palca. Gdy szwankuje, to znaczy, że producent jest kiepski.

Wszystko to bardzo ładnie, ale nie widziałam szybkiego rozwiązania mojego problemu. Droga była pusta i równie dobrze mogłam stać tu jeszcze całe godziny, bo nie było duszy w tym czy innym sensie.

Tęskniłam za policją, której nie tak dawno nie życzyłam sobie spotkać. Mogliby jednak naprawić mi samochód. Włączyłam ponownie ogrzewanie w porsche i zapaliłam papierosa. Zaciągnęłam się kilka razy ciągle zastanawiając się, jak znaleźć wyjście z tej sytuacji. Ale nic nie wymyśliłam.

Skończyłam papierosa i zabierałam się do zgniecenia go w popielniczkę, gdy nagle we wsteczne lustro uderzyło światło. Otworzyłam szybko drzwiczki i ruszyłam na szosę, wyrzucając niedopałek na pobocze drogi. Stałam w świetle swoich reflektorów machając rękami jak semafor. Oślepiona odwróciłam głowę, gdy światła nadjeżdżającego samochodu uderzyły mnie w twarz i usłyszałam długi pisk hamujących opon. Auto minęło mnie i zatrzymało się kilka metrów dalej.

Odwróciłam się i spostrzegłam tył ferrari-daytona. Ferrari-daytona! Olivier byłby zachwycony. On uwielbia sportowe samochody. Jakaś postać wyłoniła się i nagle znalazła przede mną.

- Jakież kłopoty?

Mężczyzna był niski, krępy, tęgi, w średnim wieku i zupełnie nie wyglądał na takiego, który jeździ ferrari. Głos miał gardłowy i zachowywał się sztywno. Jego ubranie w świetle reflektorów wyglądało na drogie i dobrze-uszyte.

Wytłumaczyłam mu, co mi się zdarzyło, a on zaraz się zakrzętał. Zrobił na mnie wrażenie takiego, który się na tym zna. Podniósł maskę i babrał się w silniku, jakby regulował bolid do wyścigu 24-godzinnego Le Mans. Nie odzywałam się. Gdy mężczyzna zajmuje się mechaniką, lepiej być cicho.

Wyprostował się gwałtownie i zamknął maskę.

- Nic się nie da zrobić - rzucił krótko.

- Nie może pan naprawić?

- Nie. Zmartwiłam się.

- Co mam robić?

- Mogę pani poradzić - zaproponował - aby pomogła mi pani zepchnąć swój samochód całkiem na pobocze, zamknąć na klucz i pojechać ze mną. Zawiozę panią tam, gdzie pani sobie życzy.

Facet ten nie wzbudzał we mnie nadmiernego zaufania, ale cóż mogłam robić? Jeśli porsche nie został naprawiony przez mechanika - amatora, co zyskam, czekając na wątpliwe przybycie innego kierowcy, który nic nie wskóra.

- Jeśli zna pani dobry zakład na tym odludziu - dorzucił - możemy się zatrzymać. Ja takiego nie znam.

Ustałam.

- Zgoda. Chodźmy.

Pomogłam zepchnąć porsche na pobocze, wyjęłam swoje rzeczy, zamknęłam drzwi i usiadłam obok niego w ferrari. Czuć było cygarami kubańskimi i wodą toaletową oraz przenikliwym zapachem skóry. Zapachem samca. Oparłam kark na zagłówek.

Ruszył jak huragan, jakby chciał odrobić spóźnienie i utrzymać średnią prędkość. Zamknęłam oczy i zatonełam w otaczającym mnie miłym cieple.

Nagle podskoczyłam. Wsunął mi do ust papierosa. Był zapalony.

- Niech pani pali - polecił nakazującym

głosem. Kilka sekund później zapytał:

- Dokąd pani jedzie?

Powiedziałam mu. Nie skomentował. Zaciągnęłam się głęboko papierosem. Dym był aromatyczny i słodkawy. Jak egipskie papierosy, które paliła matka, a my poszłyśmy w jej ślady. Jaka to była marka?... Sa... Sa... Już nie pamiętam. Ach, tak! Salambo... Ta sama nazwa, co powieść Flauberta. No dobrze, ten papieros ma taki sam smak, jak papierosy matki, które podkradałam jej z torebki, by je potem palić w parku. Smak trochę obrzydliwy i powodujący mdłości.

Pamiętam te mdłości, które mi wywracały żołądek po czwartym pociągnięciu, ale byłam nieugięta, wypalałam papierosa do końca.

Czułam, że jestem całkiem miękka, zwiotczała, jak stara lalka rozebrana na części. Dziwna niemoc opanowała moje łydki, wniknęła od ud, podążając do podbrzusza. Nie mogłam otworzyć oczu. Mieszanka zapachów skóry i wody toaletowej zniknęła, całkowicie zastąpiona przez nieodparty zapach egipskiego tytoniu.

Dziwne... widziałam siebie jako sześciolletnią dziewczynkę palącą papierosa wykradzonego z torebki matki, w parku wokół zamku.

W sadzawce na złocistej wodzie kręciły się nenufary. Szerokie liście unosiły się na powierzchni, a białe, żółte i czerwone płatki kwiatów tworzyły oszałamiający kalejdoskop barw powodujących mdłości. Kolory uspokoiły się. Stały się jasne i czyste... Ruch ustał. Rozróżniałam lepiej kolory i widziałam osobno białe, żółte i czerwone płatki kwiatów.

Otworzyłam oczy. Leżałam wyciągnięta na łóżku z rękami i nogami przywiązanymi długimi sznurami, których końca były przyłączone do czterech nóg łóżka. Moja głowa leżała na stosie miękkich i delikatnych poduszek. Łóżko znajdowało się na środku rozległego pomieszczenia, którego sklepienie przypominało piwnicę. Ściany zrobione były z kamiennych, szarych płyt i ociekały wilgocią. Nie było jednak zimno, ponieważ pod ścianą znajdował się bardzo duży kominek, a na palenisku, ogromnym jak peron metra, płonęły wielkie kłody drewna, trzaskając i wydzielając dobroczynne ciepło.

Daremnie rozglądałam się na wszystkie strony, okna nie zobaczyłam. Zauważyłam tylko otwory wentylacyjne w czterech rogach pomieszczenia. Drewno polan musiało być trochę wilgotne, ponieważ wydzielający się dym

powodował łzawienie, choć co prawda moje oczy łatwo łzawiły.

Oprócz łóżka, w pomieszczeniu znajdował się tylko stół i krzesła zrobione z ciemnego drewna.

Pociągnęłam gwałtownie za sznur, którym przywiązano moje kostki i nadgarstki, żeby sprawdzić jego wytrzymałość, ale jedynym rezultatem było silniejsze wciśnięcie się węzów w ciało.

Gdzie ja jestem? Co tu robię? Pomału wracała mi pamięć. Zobaczyłam się na skraju drogi po awarii samochodu. Zobaczyłam ferrari-daytonę i mężczyznę, który z niego wysiadł. Jego sztywne ruchy, jego sylwetkę krepą i otyłą. Usłyszałam jego gardłowy głos. A w nozdrzach miałam jeszcze zapach kubańskich cygar zmieszany z dymem egipskich papierosów. Nie papierosów, ale *jednego* papierosa, do wypalenia którego mnie zmusił. Przypomniałam sobie teraz, jak po kilku pociągnięciach tego papierosa poczułam się całkiem miękka i zmęczona, jakbym przepłynęła morze. Byłam pewna, że papieros zawierał narkotyk. I bez wątpienia wpadłam w ręce zbrojnego lub sadysty, co zresztą na jedno wychodziło.

Podniosłam głowę najwyżej jak tylko mogłam i zbadałam wzrokiem ubranie. Nie wydawało się, że jest w nadmiernym nieładzie. Głęboko westchnęłam. Mój Boże! W jaką okropną pułapkę wpadłam! A jak musi się niecierpliwie Olivier! Co zrobi? Czy przyjdzie mu do głowy, że stało się coś niezwykłego? Że mogłam mieć awarię,

wypadek? Czy raczej pomyśli, że zdecydowałam się zostać w Paryżu i spędzić noc u Cecylii?

Przecież wiedział, że zatelefonowałabym. Więc od tego momentu zacznie się niepokoić i będzie działać. Będzie alarmować policję, żandarmerię. Znajdą porsche. Rozpoczną śledztwo. Ale... czy odnajdą mnie? Nikt nie widział, jak wsiadałam do ferrari. Jak odkryć mój ślad?

Inna niepokojąca myśl przyszła mi do głowy. Od jak dawna tu jestem? Jak długo mogło trwać działanie narkotyku? I kto wie, czy w czasie między utratą przytomności a momentem obudzenia, mężczyzna w jakimś haniebnym celu nie dał mi następnej dawki? Z tego, co wiem, mogę tu być od wieków. Nie wiedziałam nawet, czy jest dzień, czy noc.

Zamknęłam oczy, by się skupić i określić, czy mój żołądek skarży się na głód. To był doskonały sprawdzian. Jeśli byłam tu od wielu dni i w dodatku w warunkach, w których mój porywacz nie karmił mnie siłą, powinnam sprawdzić, czy jestem głodna, czy nie.

Chociaż skoncentrowałam resztkę energii, mój żołądek pozostał niemy. Zniechęcona, odprężyłam się zupełnie, rozluźniając mięśnie. Bolały mnie przeguby i kostki u nóg od zaciągniętego z nadmierną siłą sznura, którym byłam zawiązana.

Starłam się całą siłą woli powstrzymać płacz. Po co płakać? Co mogę zyskać? Lepiej pomyśleć o możliwości ucieczki stąd. Ale jak? Sznury były mocne i nie mogłam

zbliżyć przegubów do ust, by spróbować zębami przegryźć więzy. Co robić?

Daremnie zastanawiałam się zrozpaczona, nie widziałam żadnego rozwiązania. Moją jedyną nadzieją był Oli-vier. Ale jak może mnie tu odnaleźć? Zakrawałoby na cud, gdyby zdołał to zrobić! A cudów, jak dobrze wiadomo, nie ma!

Byłam pogrążona w myślach, gdy do moich uszu doszedł hałas z lewej strony. Odwróciłam głowę.

Zobaczyłam, że drzwi się otwierają. Były ukryte w ciemnym kącie, do którego nie docierał blask płonących polan. Dlatego ich nie zauważyłam.

Zjawił się mój porywacz.

Ubrany był w szlafrok z deseniem koloru granatowego. Jego poły powiewały na spodniach od piżamy z białego jedwabiu. Na stopach miał bambosze. Pochodził chyba ze Wschodu. Po papierosach o egipskim smaku - bambosze.

Powoli podszedł do łóżka. Poczulałam zapach tej samej wody kolońskiej, którą rozpoznałam w ferrari.

Zatrzymał się tuż przy łóżku i wpatrywał się we mnie nieruchomymi oczami, w których lśnił niepokojący blask nie wróżący nic dobrego.

Opanowała mnie wściekłość.

- Oszalał pan, czy co? Co panu przyjdzie z przetrzymywania mnie tutaj? Ostrzegam, że będzie to pana drogo kosztować. Mój mąż nie puści płazem czegoś podobnego.

Więc niech pan mi zrobi tę przyjemność, rozwiąże mnie natychmiast i wypuści, zanim nie będzie za późno!

Ale moje przemówienie nie poruszyło go w najmniejszym stopniu. Pozostał niewzruszony, zadowolając się oblizywaniem warg.

- Słyszysz pan, czy nie? Jeśli pan mnie natychmiast nie uwolni, nie dam złamanego grosza za resztę pańskich dni! Obiecuję, że spędzi je pan w mamrze! I nigdy nie wyjdzie!

Żaden mięsień nie drgnął na jego twarzy. Powoli obrócił głowę, spojrzął na ogień i odszedł, by dorzucić kilka polan na ruszt, po czym tym samym powolnym krokiem podszedł do łóżka.

- To wszystko nic panu nie da. Odnajdą mnie. Policja nie jest taka głupia, za jaką się ją zwykle uważa. A jak wpadnie im pan w łapy, mój mąż się panem zajmie, może mi pan wierzyć!

Niedbale sprawdził supły na krępujących mnie sznurach.

- A poza tym, jaki to ma sens? Proszę mi wytłumaczyć. Niech pan mówi! Niech pan nie milczy! Czego pan chce? No dobra, rozumiem. Chce pan okupu? O to chodzi? Okup! Nie myślę się, prawda? Powiedz pan, że się nie mylę! Mów pan, do cholery!

Patrzyłam na niego. Pozostał spokojny i tylko oblizywał wargi, nagle błysnęła mi straszna myśl. Jeśli jest tak pewny siebie, to musi być przekonany, że nic mu nie

grozi. Ale dlaczego jest o tym przekonany? Po prostu ma zamiar mnie zabić. To jasne, jak słońce.

Prawdzie, która mi się objawiła, towarzyszyła szalona trwoga. Wszystkie mięśnie skurczyły mi się jakby w oczekiwaniu śmiertelnego ciosu, który mężczyzna miał mi zadać. Poczułam burczenie w brzuchu i wiedziałam, że to nie z głodu. Głuchy, przenikliwy ból przeszył mi kiszki. Zabije mnie. Na pewno. Ale dlaczego? Co ja takiego zrobiłam? Z jakiego powodu chce mnie zabić? Musiałam się dowiedzieć.

- Dlaczego chce mnie pan zabić?

Musiał zobaczyć grozę w moich oczach. Nieostrzegalny uśmiech wykwitł mu na wargach, ale szybko zniknął, a we wzroku pozostało trochę zdziwienie. Tylko tyle. Żadnego słowa.

Ryknęłam:

- Chcę wiedzieć, słyszy pan? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Dla...

Wybuchnęłam płaczem. Napięcie nerwowe wreszcie dało o sobie znać. Choć to nie w moim stylu. Dlatego bardzo szybko przestałam płakać. Wzięłam się w garść. Czy to nie Alfred Vigny powiedział: *Jęk, płacz i modlitwa są oznaką tchórzostwa?*

To prawda. Płacz do niczego nie prowadzi.

Nagle pochylił się nade mną. Zadarł mi spódnice i położył rękę na rajstopach.

Zrozumiałam: chce mnie zgwałcić. W pewnym sensie, wołałam to. Przez kilka minut tak obawiałam się śmierci,

że poczułam, jakby mi ulżyło, gdy ukryłam, że ma całkiem inny zamiar. Może to jednak tylko odroczenie wyroku? Może. Ale, czy odroczenie to nie korzyść?

Bardzo powoli rozdarł rajstopy aż do kostek. Dalej nie mógł z powodu sznurów. Teraz dół ciała miałam obnażony. Zajął się górą. Pociągnął sweter aż po szyję i rozpiął biustonosz. Wszystkie moje mięśnie skurczyły się na myśl o bólu. Trzymał biustonosz w palcach i przyglądał mu się z zakłopotaniem i szacunkiem, jakby chodziło o stary, średniowieczny pergamin. W końcu puścił go na podłogę. Teraz jego język całkiem wysunął się z ust. Widziałam tylko to. Nie widziałam warg zasłoniętym tym grubym i różowym, poruszającym się tam i z powrotem jak wahadło zegara jęzorem. Rozwiązał pasek szlafroka i rozpiął spodnie. Odwróciłam oczy.

Usłyszałam, że wdrapuje się na łóżko. Poczulałam jego ciężar na udach. Z gardła wydobywał mu się pomruk. Jak psu, któremu rzuca się kość. Poczulałam, jak się we mnie wbija. Jego ręce pieściły mi piersi. Ręce wilgotne i niecierpliwe. Jego uścisk stał się ciężki i zaborczy. Twarz pochylał nad moją twarzą.

Odwróciłam wzrok, żeby nie widzieć jego oczu i żądy, która w nich błyszczała. To jednak nie przeszkadzało mi czuć jego cuchnącego oddechu, który omiatał mi twarz. Oddech u przesiąkniętego dymem kubańskich cygar i stęchłego czosnku, z którym mieszała się ta okropna woń wody toaletowej.

Czułam, że za chwilę zwymiotuję. Spróbowałam myśleć o czymś innym. Woda toaletowa... Woda toaletowa... Zaraz...

I nagle przypomniałam sobie... Znany skecz Guy Bedosa i Sophie Daumier! Wybuchnęłam konwulsyjnym śmiechem.

Trwało to długo. Jak długo? Nie wiem. Straciłam poczucie czasu. Zauważyłam, że w nogach łóżka rozłożona jest ogromna skóra polarnego niedźwiedzia. Mężczyzna rozciągał się na niej. Chrapał. Robił tak po każdym razie. Po każdym razie, gdy wchodził we mnie. Już trzy razy.

Trzy razy on... Mój Boże, co za okropność.

Zapinał szlafrok w granatowy deseń i przykrywał się kocem w szkocką kratę, który przyniósł po pierwszym razie... Razem z butelką whisky, dwiema szklankami, pudełkiem cygar hawańskich i zapalniczką. Przysunął stół do łóżka i postawił na nim butelkę, szklanki i zapalniczkę. Zapalił cygaro, głęboko, chciwie zaciągał się i nalał whisky Cutty Sark do szklanek. Szybko opróżnił swoją, a drugą przytknął mi do ust. Dobrze mi to zrobiło. Whisky była dobra. To mnie trochę pocieszyło w nieszczęściu.

Tak było po każdym razie. Kubańskie cygaro. Szklanka whisky dla niego. Szklanka dla mnie. Drzemka. Kręciło mi się teraz w głowie i miałam mdłości.

Odkąd wszedł do tego pomieszczenia, nie wymówił ani słowa. Wiedziała jednak, że nie jest niemową, bo rozmawiał ze mną na szosie. Ograniczał się do uzyskania swojej przyjemności lub patrzył na mnie wzrokiem zagadkowym i nieruchomym jak wąż, który chce zahipnotyzować swoją ofiarę. Co zrobi ze mną potem? Tego pytania nie przestałam sobie zadawać.

Kiedy wybuchnęłam śmiechem przypominając sobie skecz Guy Bedosa i Sophie Daumier, spojrzął na mnie tak wściekły, jakby miał zamiar mnie udusić. Myślałam, że da mi w twarz. Jestem pewna, że miał na to ochotę.

Kiedy będzie miał już dość mojego ciała, pozbędzie się mnie. Byłam pewna. Nie może zrobić inaczej. Byłoby to zbyt ryzykowne. Musiałam dowiedzieć się, ile potrzebuje czasu, zanim się mną znudzi. A tego dowiedzieć się w żaden sposób nie mogłam. Poczulałam nagle nieprzepartą chęć na papierosa. Odwróciłam głowę w kierunku stołu, gdzie leżało pudełko cygar, pragnąc ze wszystkich sił, aby jakaś dobra wróżka zamieniła je na paczkę papierosów. Ale co by z tego przeszło, skoro nie mogłam ruszyć ręką?

Tęsknie patrzyłam na pudełko cygar. Nigdy nie paliłam cygara. Jak to smakuje? Tak samo jak papieros? A jeśli poproszę go o cygaro, gdy się obudzi?

Słyszałam donośne chrapanie. Jak z rury organowej. Na palenisku kominka polano zsunęło się z rusztu i spadło, rozrzucając snop iskier. Wróciłam spojrzeniem do pudełka cygar. Coś mnie zaniepokoiło. Jakaś niejasna myśl zakołatała mi w głowie. Próbowалаm ją złapać, uświadomić ją sobie.

Co to mogło być? Szukałam rozpaczliwie. Odkryłam - zapalniczka! Zapalniczka, to było to.

Gdybym mogła ją chwycić!

Uniosłam się, na ile mogłam i patrzyłam na zapalniczkę. Była tam, leżała na stole. O dwadzieścia centymetrów od mojej twarzy. Tak, ale jak ją schwycić? Równie dobrze mogła być o trzy centymetry, gdyż bardziej nie mogłam już się zbliżyć. W wyobraźni szukałam jakiegoś sposobu rozwiązywania. Badałam wszystkie możliwości, ale żadna nie była zadawalająca. Chciało mi się płakać. To było takie głupie! Nawet pochylając głowę nie byłam w stanie złapać jej zębami. Jednak spróbowałam. Sztuka dla sztuki. W sumie daremny trud. Udało mi się tylko naciągnąć sobie ścięgna w ramionach i jeszcze bardziej naderwać skórę na przegubach.

Na skutek ruchu głową włosy spadły mi na twarz. Chciałem odrzucić je do tyłu, gdy przyszła mi pewna myśl. A jeżeli użyję włosów, żeby spróbować przyciągnąć zapalniczkę do siebie? Dzięki Bogu moje włosy były bardzo długie. Spadały mi aż do bioder, miałam nosa, że nie obciąłam ich krótko, jak radził Olivier.

Spróbujmy!

Najpierw, szarpiąc głową, zsunęłam wszystkie włosy na twarz tak, że nic nie widziałam. Następnie gwałtownym ruchem w bok przerzuciłam je na lewą stronę. Wisiały teraz na prawym ramieniu i na połowie twarzy

zakrywając prawe oko. Musiałam być podobna do Weroniki Lake, zapomnianej, dawnej gwiazdy z lat czterdziestych, która zwracała uwagę zakrywającą oko fryzurą. Teraz był najważniejszy moment.

Napięłam wszystkie mięśnie i rzuciłam ze wszystkich sił głowę do przodu w kierunku stołu, jakbym skakała do basenu. Ciężka fala włosów wylądowała na blacie stołu. Nie poruszyłam się. Słyszałam tylko bicie serca, które łomotało w piersi jak afrykański tam-tam. Kark mnie bardzo bolał, a naciągnięte ścięgna w okrutny sposób dawały znać o sobie. Przeguby paliły jak ogień. Miałam wrażenie, że w gryzają się w nie zęby piły. Nie poruszyłam się. Czekałam, aż ból minie. Zdawałam sobie jednak sprawę, że tracę drogocenny czas.

A jeśli się obudzi? Zobaczy mnie i udaremni wszystkie wysiłki? Spojrzałam na stół. Nie zobaczyłam zapalniczki. Częściowo już osiągnęłam cel. Musiała być przykryta włosami.

Bardzo delikatnie przesunęłam głowę do tyłu. Słyszałam ciche chrobotanie po blacie stołu.

Miałam szczęście, że zapalniczka była lekka. Jedna z tych za kilka franków, które wyrzuca się po zużyciu gazu. Zapalniczka, która nawiasem mówiąc, nie pasuje do człowieka jeżdżącego ferrari. Na szczęście ten parszywy rozpustnik nie zaopatrzył się w ciężką zapalniczkę ze złota ważącą tonę.

Chrobotanie ustało. Przełknęłam ślinę i słuchałam przyspieszonego rytmu bicia serca. Co się stało? Czy

zapalniczka gdzieś się zaklinowała? Dyszałam jak pies, który na próżno goni za kotem. Na skutek wysiłku, który podjęłam, wielkie krople potu spływały mi z czoła na policzki. Poruszyłam głową na prawo i lewo. Przez kilka sekund słychać było chrobotanie, które znowu ustało. Psiakrew! Co się dzieje? Czyżbym coś sknociła?

Walczyłam z ogarniającym mnie zniechęceniem. Ból w karku i ramionach stał się nie do zniesienia. Nie zważałam na to, w przeciwnym wypadku musiałabym zrezygnować. Szarpnęłam znowu głową do tyłu. Zachrobotało. Miałam wrażenie, że w tej pozycji jestem od wieków. Nie mogłam przyspieszyć, żeby niczego nie zepsuć. Przecież wszystko wisiało na włosku! Właściwa sytuacja pasująca do tego powiedzenia. Jednak gra słów nie rozśmieszyła mnie. Żeby oszukać strach, zaczęłam przypominać sobie wyrażenia pasujące do sytuacji. Na przykład: włosy stają dęba ze strachu. Rozwiązanie ciągnięte za włosy. I żeby zakończyć - jestem o włos od porażki, co zresztą jest świętą prawdą!... Twardy przedmiot musnął mnie w ramię i spadł na piersi. Niewiarygodne... Wygrałam!

Ostatnie poruszenie i reszta moich włosów wylądowała na biuście. Odchyliłam głowę do przodu i położyłam się na kilka chwil na poduszce. Mniejsza z tym, że facet się obudzi. Dłużej nie mogłam. Bardzo powoli zaczęłam oddychać. Bardzo powoli, żeby uniknąć unoszenia klatki piersiowej i nie spowodować upadku zapalniczki w takie miejsce, z którego jej nie odzyskam. Pozostałam tak kilkanaście minut. Mój oddech stał się regularny, ale ból w karku i ramionach nie ustał. Mniejsza z tym, muszę próbować dalej. Zapalniczka leżała teraz między piersiami. Uniosłam biodra powodując, że zsunęła się wzdłuż szyi. Upadła na łóżko. Wierząc się doprowadziłam, że przesunęła się

pod prawe ramię. Przyciskając ją do łóżka ramieniem, udało mi się zręcznymi ruchami posuwać ją w kierunku prawej ręki. Gładko doszła do łokcia. Teraz przyszła kolej na przedramię. Na gołej skórze czułam przyjemną twardość plastiku. Jego poślizg w kierunku przegubu był jak pieszczota i powodował w plecach dreszcz rozkoszy. Zapalniczka dotarła do sznura ściskającego nadgarstek. Zatrzymała się. Podniosłam przedramię starannie odmierzając ruchy i lekkim pchnięciem wrzuciłam ją do wnętrza dłoni.

Udało się! Tym razem wygrałam ostatecznie.

Rozdział X

Zdrętwiałe palce zacisnęły się aż do bólu na zapalnicze. Dokołałam swego. Trzymałam ją mocno w ciepłym wnętrzu dłoni. Popchnęłam jedną z poduszek w kierunku ręki. Przytrzymałam ją policzkiem, aby nie dopuścić, by wyslizgnęła się i spadła na podłogę. W końcu zapaliłam zapalniczkę.

Rozbłysł jasny i żywy płomień, jak przyjaciel zaznaczający swą obecność. Moje palce zbliżyły płomień do tkaniny pokrywającej poduszkę. Skwierczenie. Wykręcając do bólu szyję zobaczyłam czerniejący materiał, powstającą dziurę, która powiększała się otoczona szeroką ciemniejącą i poszarpaną obwódką. W spoczonej dłoni czułam ciepło zapalniczki, która grzała, grzała, a jednocześnie wydobywał się silny swąd płonącego materiału. Bęc!... Pierze ze środka poduszki zapaliło się! Nie tracąc czasu przytknęłam do płomienia sznur, który z całej siły napinałam między nadgarstkiem a szczytem łóżka. Skwierczało, jakby ktoś smażył jajka na patelni, ciągnęłam za sznur, ciągnęłam...

Drobne płomienie przegryzały jego włókna...
Całe szczęście, że mój porywacz nie przywiązał mnie
liną okrętową! Jej splotom ogień nigdy by nie dał rady.

Nagle sznur pękł...

Nie traciłam czasu, żeby cieszyć się z sukcesu.
Szybko zrzuciłam poduszkę na płyty podłogi, by nie
dopuścić do zapalenia się pozostałych poduszek.

Nie zwracając uwagi na dopalającą się
poduszkę ponownie zapaliłam zapalniczkę i zajęłam się
teraz częścią sznura krępującego mój lewy nadgarstek.
Tak samo jak przed chwilą sznur trzasnął bardzo
szybko. Następnie uwolniłam kostki i przeguby od
sznura, którym były owinięte. Jednak gdy postawiłam
nogi na podłodze, omal nie upadłam, tak były
zdrętwiałe. Szybko wykonałam kilka ćwiczeń rąk i nóg,
żeby przywrócić krążenie krwi. Po chwili było już
lepiej. Mogłam wstać i utrzymać się na nogach.
Uporządkowałam ubranie, założyłam to co ten
zbocheniec ze mnie ściągał, oprócz podartych rajstop,
które wrzuciłam do ognia. Całe szczęście, że ten
potwór spał tak mocno!

Właśnie tę chwilę wybrał sobie, żeby odwrócić
się przez sen wydając niewyraźne pomruki, co
wprawilo mnie w panikę. Miałam nadzieję, że się nie
obudzi. Z gardłem ściśniętym aż do bólu nie drgnęłam
ani o włos.

Poruszył się. Zobaczyłam, jak jego palce
chwytają brzeg szkockiego koca i naciągają na
ramiona. Po chwili chrapanie rozległo się znowu.
Poczułam ulgę. Pokręciłam głową na wszystkie strony,
próbując zmniejszyć ból

w karku i rozluźnić ścięgna. Zabrałam torebkę, którą zauważyłam w kącie pomieszczenia. Odnalazłam także położoną z boku plastikową torbę zawierającą sprawunki, które zrobiłam, zanim samochód się zepsuł.

Trzymając buty w ręku, żeby uniknąć stukania obcasami po kamiennych płytkach, skierowałam się do drzwi, którymi ten człowiek wchodził. Otworzyłam je i znalazłam się u dołu schodów, których kamienne stopnie były wyszlifowane przez wieloletnie używanie. Ze sklepienia zwisała goła żarówka, słabo oświetlająca stopnie schodów. Wbiegłam przeskakując po kilka stopni i stanęłam na galerii wyłożonej kamiennymi płytami, takimi jak pomieszczenie z którego wyszłam. Przede mną znajdowały się drewniane drzwi. Pchnęłam je i zobaczyłam szeroki średniowieczny hol, jakich się już dzisiaj nie spotyka. Miał wysoki sufit i ściany z ciosanego kamienia. Wielkie pochodnie były wciśnięte w pierścienie wmurowane w ściany. Paliły się dając czerwone światło i rzucając wkoło widmowe błyski, zostawiając strefy niepokojącej ciemności. Zadrżałam cała wkładając buty.

Mój Boże, od kogo ja uciekam? Jedno jest pewne - znajdowałam się w którymś ze starych, odrestaurowanych zamków, zamieszkałym przez szaleńca. Drakulę lub Sinobrodego XX wieku.

Nie wolno mi tu zostać! Na drugim końcu holu były olbrzymie drewniane drzwi, zamknięte na duże zasuwę, powstrzymywane przez żelazne dźwignie, spuszczone i zablokowane w obudowie. Zbliżyłam się do nich szybkimi krokami. Bez trudu podciągnęłam dźwignię i szarpnęłam zasuwę do siebie. Natychmiast poczułam na twarzy zimny powiew. Jeszcze kilka kroków i oto znalazłam się na szczycie okazałych schodów pograżonych w mroku. Ostrożnie zeszłam po stopniach. Wylądowałam w wysokiej trawie, kojącej

moje zbolale nogi. Gdzie moze byc ferrari?

Nie zdazyłam do końca sformułować w głowie pytania, gdy spostrzegłam metaliczny odbłysek po lewej stronie. Serce mi załomotało. Czy to był ferrari?

Był. Z przyjemnością dotykałam zimnej maski. Otworzyłam drzwi, zbadalam deskę rozdzielczą. Kluczyki wisiały! Siadając za kierownicą odmówiłam w myślach modlitwę dziękczynną do niebios. Rzuciłam obie torby na boczne siedzenie. Nigdy w życiu nie prowadziłam ferrari, ale miałam nadzieję, że pomoże mi doświadczenie w kierowaniu. Zapaliłam reflektory, żeby zorientować się w położeniu. Samochód stał na pokrytym żwirem nasypie, po prawej stronie otwierała się dość szeroka droga obsadzona gęstym szpalerem drzew. Z powodu ciemności wydawały mi się groźną zaporą.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce. Silnik zamruczał przyjaźnie. Nacisnęłam na gaz. Silnik ryknął. Wrzuciłam pierwszy bieg i odjechałam. Spojrzałam we wsteczne lusterko. Z tyłu nic się nie działo. Facet musiał być wciąż pogrążony w głębokim śnie!

Ferrari reagował jak posłuszny kucyk. Odprężyłam się. Podskakując na nierównościach wyjechałam na drogę i lawirowałam ponad kilometr między drzewami. W końcu osiągnęłam główną drogę w miejscu, gdzie stał słup z tablicą, na której widniał napis:

WŁASNOŚĆ PRYWATNA WEJŚCIE
SUROWO WZBRONIONE

Właściciel posiadłości nie przejawiał żadnych chęci spotkania intruzów wtykających nos w jego łajdactwa.

Zdając się na łut szczęścia skręciłam w prawo. Przyspieszyłam i wrzuciłam drugi bieg. Po kilkunastu

kilometrach dojechałam do skrzyżowania. Zauważyłam, że jestem na drodze państwowej.

Podskoczyłam, gdy przeczytałam napis na tablicy drogowskazu. Byłam tylko o szesnaście kilometrów od zamku. Ożywiona tym odkryciem i perspektywą znalezienia się w domowym zaciszu, nacisnęłam jak szalona na gaz. Ferrari wystrzelił do przodu jak pantera skacząca na zdobycz i omal nie wylądowała w rowie. Teraz jechałam ostrożnie. Skupiłam się na prowadzeniu i bez żadnych przeszkód po dziesięciu minutach dojechałam do zamku. Fasada była oświetlona. Zatrąbiłam. Olivier i Eleonora ukazali się w świetle reflektorów. Zeszli po stopniach na spotkanie.

- Nareszcie - wykrzyknął Olivier. - Ale... co to za samochód?

- Ferrari.

- Widzę - powiedział z nutą rozdrażnienia w głosie - nie to chciałem powiedzieć. Jak to się stało, że prowadzisz ten samochód?

- Wejdźmy, wytłumaczę wam obojgu.

Wyciągnęłam obie torby i wysiadłam z samochodu. Kiedy znalazłam się w środku, rzuciłam się na sofę, a Olivier dał mi dużą szklanę whisky Cutty Sark. Skutkiem tego natychmiast przypomniałam sobie obrzydliwą przygodę, jaka mnie spotkała. Cutty Sark, którą „tamten” mnie poił. Ponieważ jednak potrzebowałam wzmocnienia, wypiałam.

- Czy możesz wytłumaczyć... - zaczął Olivier niecierpliwie.

Uchyliłam się od odpowiedzi, pytając:

- Czy nie zaniepokoiło cię to, że nie wracam?

Wzruszył ramionami.

- Myślałem, że zostałeś w Paryżu z Cecylią.

- Nie dziwiłeś się, że nie telefonuję? Po raz drugi wzruszył ramionami.

- Byłem trochę zdziwiony, ale przypuszczałem, że coś ci przeszkodziło.

Miałam więc rację. Było tak jak myślałam. Gdybym sama sobie nie poradziła, Olivier nie by nie zrobił i zapewne teraz już bym nie żyła.

- Ja to się stało, że oboje zostaliście do tak późna? Spojrzał na ścienny zegar.

- Przecież dopiero północ - zaprotestował. Północ. Cały ten koszmar trwał tylko kilka godzin.

- Może byś nam jednak wytłumaczyła? - podjął. Wypiałam łyk whisky i zaczęłam opowiadać.

Rozdział XI

Eleonora, Olivier i ja wsiedliśmy do ferrari. Olivier prowadził jak szalony. Nie przemówił ani słowa. Ograniczyłam się do wskazania mu drogi.

- Zaraz za zakrętem.

Pokonał wiraż z prędkością 100 km/h i reflektory nagle oświetliły porsche zaparkowanego na poboczu drogi, tam gdzie ten sadysta i ja zepchnęliśmy go.

Olivier zatrzymał ferrari, chwycił torbę z narzędziami, szybkim krokiem podszedł do porsche i podniósł maskę.

Pozostałam z Eleonorą w miłym cieple ferrari. Nie było sensu marznąć na zewnątrz. Na co mogłyśmy się tam przydać?

- Nie jestem zdumiona - wyznała Eleonora. – Miałam coś w rodzaju przeczucia.

Żachnęłam się.

- Nie chcę w to wierzyć.

- Zapewniam cię - obstawała. Znużona wzruszyłam ramionami.

- Tego wieczoru nie jestem w nastroju, by wierzyć w twoje historie.

- Mylisz się. Poza tym...

- Co jeszcze?

- Śmierć tu krążyła.

- No dobrze, sama widzisz, że się jej wymknęłam!

- Może to nie w ciebie mierzyła?

- A w kogo?

- Nie wiem. Wiem tylko, że nigdy nie powinnaś wychodzić za mąż.

Odwieczny refren Eleonory!

- Co ma wspólnego małżeństwo z tym, co mi się przydarzyło tej nocy?

- Twój horoskop wskazywał, że poważne kłopoty spotkają cię po ślubie. I tak się dzieje. Czyż nie byliśmy szczęśliwe obie razem?

Nie odpowiedziałam. Patrzyłam przez szybę na krzającego się Oliviera. Moja pamięć wróciła do sceny sprzed godziny. Kiedy Olivier usłyszał opowieść o moich wieczornych i nocnych przygodach, dostał szału. Myślałam, że przewróci dom do góry nogami. Na próżno starałam się go uspokoić. Próbowалаm go namówić, aby zatelefonował na policję, która mogłaby aresztować drania. W rezultacie ta propozycja go uspokoiła. Tak nagle jakby mu ktoś głowę oblał zimną wodą.

Popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem.

- Zwariowałaś, czy co? - powiedział. Zdumiona szeroko otworzyłam oczy.

- Czemuż to? To całkiem normalne, że wzywa się policję, by wpakowała do więzienia takiego drania, takiego odrażającego sadystę.

Potrząsnął głową. Zerwałam się.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że masz zamiar tak to zostawić? Że darujesz draniowi?

- O tym nie ma mowy.

- Sam widzisz! - triumfowałam.

- Ale o zawiadomianiu policji też nie ma mowy!

- Dlaczego?

- Wszyscy będą kpić z ciebie. Życie stanie się nieznośne. Wszędzie, gdzie się pojawisz, spotkasz się tylko z szyderczymi uśmiezkami, dwuznacznymi spojrzeniami, niedomówieniami, kpiącym śmiechem...

- Policja mogłaby zachować dyskrecję - zaoponowałam.

- Oczywiście, ale niedyskrecja jest zawsze możliwa. Czy wyobrażasz sobie prasę, a zwłaszcza brukowe gazety opisujące na pierwszych stronach zgwałcenie? Z sensacyjnymi tytułami i zmyślonymi szczegółami? I wreszcie, pytania ciekawskich?

Zadrżałam na samą myśl.

- Więc, co proponujesz?

- Ja sam wymierzę karę. Rzuciłam mu przestraszone spojrzenie.

- IV?

- Tak, ja! Czy uważasz mnie za niedorajdę?

- Nie. Ale co chcesz zrobić? Jaką karę mu wymierzysz?

- Zobaczysz na miejscu. Eleonora gorąco go pochwaliła.

-To jedyna rozsądna rzecz, jaką można zrobić Katarzyno. Olivier ma całkowitą rację.

Ustałam.

Siostra opatrzyła mi rany, jakie pozostawił sznur na kostkach i przegubach, owinęła je wąskim bandażem w miejsce plastra, a Olivier dał drugą szklanekę whisky. Wcześniej, jeszcze w domu wzięłam kąpiel, aby pozbyć się wrażenia brudu.

- A więc jedźmy - stwierdził Olivier.

- Weźmiesz swój samochód, a ja pojedę ferrari? Mimo wszystko, trzeba mu ferrari zwrócić.

- Weźmiemy tylko ferrari. Najpierw trzeba rzucić okiem na twój porsche i spróbować go naprawić.

- Ale ten drań zdąży się obudzić i zobaczy, że uciekłam. Nie myślisz chyba, że zostanie tam, żeby na nas czekać?

- Zaryzykujemy. Ale nie wydaje mi się, żeby jakiś patrol żandarmerii natrafił na porsche i zadał sobie pytanie, co się stało. Żeby zaczął szukać właściciela, rozpoczął śledztwo i kiedy... kiedy...

Zawahał się, coś wybełkotał, w końcu ujął mnie za rękę i poprowadził do drzwi. Zwróciłam głowę w jego kierunku, niezbyt gwałtownie, gdyż ból w szyi i ramionach jeszcze nie minął.

- Kiedy co?

Uchylił się od odpowiedzi i zapytał:

- Ubrałaś się ciepło? Nie zmarzniesz?

Olivier zamknął maskę, wsiadł do porscha i natychmiast usłyszałam warkot silnika. Wsiadł i podbiegł do ferrari.

Kiedy otworzył drzwiczki, zimny przeciąg przyprawił mnie o dreszcz.

- Psiakrew! Tak jak myślałem. - Ten łobuz zakpił z ciebie. Nic nie trzeba naprawiać. To był blef. Co innego miał na myśli.

- Nie wątpisz już?

- Dobra, weź porscha. Poprowadzisz, a ja pojedę za tobą.

Posłuchałam i z przyjemnością wsiadłam do odzyskanego samochodu. Eleonora została w ferrari. OlMer włączył silnik. Ruszyłam pierwsza i gładko zjechałam z pobocza. Nie byłam pewna, jaka jest najkrótsza droga do skrzyżowania z drogowskazem, który uświadomił mi, gdzie się znalazłam. Pomyślałam jednak, że chyba tam trafię.

Olivier włączył światła pozycyjne ferrari i widziałam we wstecznym lusterku dwoje błyszczących oczu, które wpatrywały się we mnie niczym kot w pogoni za zdobyczą.

Nie pomyliłam się. Prawidłowo wybrałam kierunek i bez dłuższego szukania znalazłam się nagle na skrzyżowaniu dwóch dróg. Stała przede mną niebiesko-biała tablica drogowskazu. Światła reflektorów zahaczyły o stojący dalej przydrożny krzyż i przypomniałam sobie, że mijałam go dojeżdżając do skrzyżowania. Zakręciłam, a Olivier zrobił to samo, piszcząc oponami na wysypanym żwirze asfalcie. Po kilkunastu kilometrach zwolniłam, bez trudności odnajdując tablicę:

WŁASNOŚĆ PRYWATNA WEJŚCIE
SUROWO WZBRONIONE

Skręciłam w lewo i zapuściłam się w wąską

drogę obsadzoną gęstym szpalerem drzew. W pięć minut później zahamowałam przed domem. Wysiadłam z samochodu. Olivier był już przy mnie. Ścisnął mi rękę i szepnął do ucha niecierpliwym głosem: - Szybko! Prowadź!

Przebyliśmy stopnie schodów poprzedzani przez Eleonorę, przeszliśmy przez wielki hol. Pochodnie tkwiące we wmurowanych w ściany pierścieniach teraz były w połowie wypalone. Przekroczyliśmy ciężkie drzwi, przeszliśmy po kamiennych płytach podłogi i zeszliśmy po stopniach schodów.

Ostatnie drzwi. Drzwi pokoju, w którym byłam uwięziona. Mężczyzna był w tym miejscu. Wyciągnięty na skórze białego niedźwiedzia, leżał na plecach. Koc w szkocką kratę miał podciągnięty pod samą szyję, a obie ręce przykryte i złożone na piersiach. Z miejsca, w którym stałam, widziałam bardzo dobrze, mimo królującego półmroku, gdyż na kominku z płonących polan zostały żarzące się szczątki, dające skąpe czerwone światło. Jego prawe oko było otwarte. Nieruchome. Wpatrzony w sufit, jakby w kryjących go ciemnościach odkrył rozwiązanie ważnego problemu. Podczas gdy lewe oko...

Olivier wściekle kopnął ciało wyciągnięte przed nim.

- Wstać! - ryknął.

Żadnej reakcji. Olivier szalał. Ciągłe kopał leżące bez ruchu ciało. Obserwowałam tę scenę obojętnie. Coś mi mówiło, że...

Olivier przyklęknął. Nachylił się nad głowę mojego oprawcy i badał z bliska. Widziałam jego ręce, które położył na twarzy mężczyzny obmacując ją. Nagle zerwał się gwałtownie, jak ukąszony przez węża. Odwrócił się do mnie przerażony.

- On nie żyje! - wykrzyknął.

- Co?

- Tak, jest martwy.

Przyklęknął znowu i poszukał palcem pulsu mężczyzny. Podniósł się.

- Nie ma żadnych wątpliwości. Jest martwy.

- W takim razie, wymierzenie sprawiedliwości jest spóźnione - rzuciłam ironicznie.

- Katarzyno, nie żartuj!

- Tak czy owak, chciałeś go zabić, prawda?

- Ależ nie!... skąd ci to przyszło do głowy?

- Twój dziki wygląd...

- Ależ nie!

- Dobra, pomyliłam się - odpowiedziałam pojednawczo. Zrobił podejrzliwą minę.

- Powiedz mi, Katarzyno...

- Tak?

- Jesteś zupełnie pewna, że gdy uciekałaś, jeszcze żył?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Czy nie ty go zabiłaś?

- Szalony jesteś, czy co?

- Zwłoki są już zimne. Co oznacza, że ten typ nie żyje już od pewnego czasu. Nie próbowałaś się zemścić przed odjazdem?

- Przede wszystkim powiedz, jak zginął?

- Wbito mu coś w lewe oko... prawdopodobnie to coś przeszło przez gałkę dosięgając mózgu... Nie, nie! Nie zbliżaj się. Przysięgam, to nie jest piękny widok! Nie spostrzegłem tego, zanim się nie nachyliłem nad nim. Myślałem, że kpi ze mnie, z tym jednym okiem otwartym i drugim zamkniętym.

- Wbito mu coś w oko?

- Tak.

- Co?

- Nie wiem. Zmarszczył brwi.

- Jesteś pewna, Katarzyno, że to nie ty...

Nagle sobie przypomniałam. Poruszył się przez sen wydając niewyraźne pomruki. Bałam się. Odwrócił się na niedźwiedziej skórze. Jego palce zaczepiły brzeg koca w szkocką kratę, naciągając go na ramiona. Znow zaczął chrapać.

Uspokoiliam się.

Podniosłam się, chcąc odzyskać moją torebkę i torbę zawierającą zakupy dokonane w Paryżu i nagle zakręciło mi się w głowie. Nogi się pode mną ugięły, potknęłam się o stół i potoczyłam się na ziemię. Podczas upadku złamałam sobie paznokiec.

Ale zawrót głowy nie trwał długo. Szybko odzyskałam zmysły i podniosłam się. Lecz gdy stanęłam na nogach, spostrzegłam, że się obudził. Niewątpliwie przyczyną było uderzenie o stół. Tak czy inaczej wpatrywał się we mnie osłupiałym wzrokiem.

Przerażona, rozglądałam się wokół w nadziei odkrycia jakiejś broni. Spostrzegłam pogrzebacz, który leżał na palenisku. Podbiegłam i schwyciłam go. Reakcje mężczyzny musiały być skrajnie zwolnione, gdyż nie zrobił żadnego ruchu. Znowu podbiegłam i zatrzymałam się tuż obok jego legowiska. Podniosłam pogrzebacz, ściskając mocno rękęjeść obiema rękami. W jego wzroku była groza. Zamknęłam oczy i opuściłam pogrzebacz krótkim uderzeniem. Usłyszałam syczenie, jakie wydaje rozgrzane do czerwoności żelazo, które zanurzy się w naczyniu napelnionym wodą.

Uświadomiłam sobie, że koniec pogrzebacza był rozgrzany płomieniem palących się na kominku polan.

Uchyliłam powieki. Niewyraźne drgawki wstrząsnęły jeszcze jego ciałem, które w kilka sekund całkowicie znieruchomiało.

Rzuciłam pogrzebacz między polana (powinien jeszcze tam być) i nagle dostałam skurczu żołądka. Wymiotowałam klęcząc przed paleniskiem kominka, gdy przyszedł kolejny zawrót głowy. Tym razem zemdlałam.

Kiedy się ocknęłam, pamięć o tym, co zrobiłam, opuściła mnie. Wzięłam obie torby i trzymając pantofle w ręku, by nie robić hałasu, jakby ten człowiek był wciąż żywy, wyszłam.

Ale czy to jest normalne? Czy jest normalne, że nie pamiętam o zabiciu człowieka? Czy to, co musiałam wytrzymać w ciągu minionej nocy, spowodowało utratę pamięci? Czy wszystkie te doświadczenia, wszystkie cierpienia, spowodowały moje szaleństwo? A co sobie myśli Olivier? A Eleonora? Czy powinnam im powiedzieć prawdę? A jeśli powiem im prawdę, jak zareagują? Jak będą mnie traktować po tym wyznaniu? Czy mogę wierzyć, że podobny wypadek nie wydarzył się w przeszłości? Skoro mogłam również nie pamiętać o śmierci Edyty, do czasu, kiedy okropny koszmar przed dwudziestoma miesiącami wydobyl go z pamięci? Zapomniałam o tylu rzeczach.

Olivier patrzył na mnie dziwnie.

- To ty, prawda? Zawahałam się przez sekundę.

- Tak.

Skinął głową, jakby wiedział od początku.

Natychmiast potem zatroskany grymas wykrzywił mu wargi.

-Nie ma tu nic do roboty. W gruncie rzeczy nie miałaś chyba wyboru. Na twoim miejscu bez wątpienia zrobił

bym tak samo. Ale dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

Nie odpowiedziałam robiąc nadąsaną minę, by ukryć zakłopotanie. Wziął mnie za rękę.

- Chodź, nie ma tu nic do roboty. Eleonora zatrzymała go.

- Musimy zatrzeć ślady pobytu Katarzyny. Z pewnością zostawiła odciski swoich palców na prawo i lewo.

Katarzyno, czy to ten pogrzebacz, którego użyłaś?

Przełknęłam ślinę.

- Tak.

Schwyciła koc w szkocką kratę i zaczęła wycierać rękojeść, podczas gdy Olivier zajął się otoczeniem. Trochę później trafnie zauważyła:

- Przepowiadałam ci to, Katarzyno. Śmierć krążyła wokół ciebie. Gwiazdy nie kłamią nigdy, zapamiętaj to sobie...

Rozdział XII

Od kiedy zostałam zgwałcona, nie mogłam już kochać się z Olivierem. Rozumiał to chyba i tej nocy. Podobnie jak i poprzedniej odwrócił się na drugi bok pomrukując nieprzyjemnie z powodu mojej odmowy. Nic mnie to nie obchodziło. Podparłam plecy poduszką, złapałam papierosa i zapaliłam. Nie miał na szczęście smaku tytoniu egipskiego, lecz natychmiast pojawiły się w mojej głowie nieznośne myśli. Los od tak dawna drwił ze mnie.

Zróbmy przegląd wydarzeń.

Po pierwsze - upłynął tydzień, od kiedy przydarzyła mi się ta ohydna przygoda. Ostatecznie, zwłoki odkryła policja, lecz nie znalazła żadnego związku ze mną, a komisarz Dorval nie pokazał się w zamku. Zresztą, czy mógł mnie łączyć z nieboszczykiem? Chociaż... nic nie wiadomo.

Po drugie - dziura w pamięci. Zupełnie zapomniałam, że wbiłam mu pogrzebacz w oko. Te wszystkie dziury w pamięci stawały się niepokojące... W Managui... Teraz ta... Podczas, gdy inne wspomnienia tkwią tak żywo

w umyśle. Między innymi epizod z ojcem i doktorem Levasseur, czy też mój pobyt w klinice psychiatrycznej.

Po trzecie - zakład zawarty między nami i komisarzem Dorvałem i ustalony termin - jeden rok.

Dreszcz przeszedł mi po plecach. A jeśli ktoś z nas zniknie? Ponadto, jeśli jego intuicja nie wprowadziła go w błąd i ten „wypadek”, o którym mówił, nie był po prostu śmiercią drania, który mnie zgwałcił? Faceta, o którym pisano w gazetach, że nazywał się Vincent Legard, był niezmiernie bogatym, półobłąkanym właścicielem średniowiecznego zamku (on też!...) i o którym nikt nie wiedział, skąd przybył.

I po czwarte, *the last but not the least*, jak mówi „Najmilsza Bibi” podczas kursów języka angielskiego - osławiony zeszyt ojca zniknął Bóg wie gdzie i na jego zawartość *nikt* się nie powoływał, co było wielce niepokojące.

A jeśli znalazł się w rękach Dorwała? A jeśli to państwo LaTrilliere go zwędzili i oddali komisarzowi? Naturalnie, to wyjaśniałoby insynuacje policjanta. Ale jak się tego dowiedzieć? Oczywiście, nie mogłam zapytać Dorwała! Od tych rozważań rozboleła mnie głowa.

Zadzwonił telefon. Gwałtownie podniosłam słuchawkę. Jak każdego wieczoru, dzwoniła Eleonora. Wiedziała, że OHvier ma mocny sen i dzwonek go nie obudzi. Wiedziała też, że ja, przeciwnie, często jestem ofiarą bezsenności.

- Zostawił cię w spokoju?

- Tak.
- Masz zmęczony głos...
- Mam migrenę.
- Weź aspirynę.
- Dobry pomysł. Wezmę, jak skończymy

rozmawiać.

- Zgadnij, czym się właśnie zajęłam.
- Astrologią?
- Zgadza się. Wspaniałe dzieło prosto ze

Stanów. Amerykanie są w rym bardzo dobrzy.

- Więc weź z nich przykład. Jakoś nie przewidziałam, że zostanę zgwałcona. Byłabym ostrożniejsza.

Poczułam się nagle zmęczona i zakończyłam rozmowę.

- Dobra, biorę aspirynę i' śpię. Życzę ci dobrej nocy.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku?
- Tak.
- Dobranoc.

Musiałam dodać „po piąte” do listy spraw, które mnie dręczyły. „Po piąte”, miało na imię Olivier. Od czasu gwałtu zmienił się bardzo.

Zazdrość? Zazdrość, bo wiedział, że inny mężczyzna mnie posiadał?

Niepokój? Niepokój, bo odkrył, że jestem zdolna zabić człowieka?

Strach? Strach przed swoją żoną, która zabiła człowieka?

Nie wiedziałam. Zmiana dokonała się w delikatny sposób.

Posyłał mi niecierpliwe uśmiechy. Spuszczał wzrok, gdy patrzyłam mu prosto w oczy. Unikał sytuacji, w których zostawał ze mną sam na sam. Miałam wrażenie, że w głębi duszy wzdycha z ulgą, gdy Eleonora przyłączyła się do nas. Rozmowy podczas posiłków stały się mniej wesołe, jego uwagi rzadsze i bezbarwne. Nie wyskakiwał też ze swoimi okropnymi kalamburami. Jadł mniej, a pił więcej. Jedną whisky za drugą. Wracał później. Całkiem, jakby unikał dłuższego pobytu w zamku. On, który nigdy nie czytał kryminałów, kupił ich całą serię. Nie mam nic przeciwko kryminałom. Wręcz przeciwnie! To jest również moja ulubiona lektura. Ale nie Oliviera! Więc czemu nagle odkrył u siebie pasję do takiej literatury, skoro dotychczas była mu obojętna?

Za to dotychczas główny temat jego rozmów, jakim były samochody, wydawał się być mu teraz obojętny.

Pewnego dnia rozpoczął rozmowę i wypłynęła w niej sprawa jakiegoś ferrari. Gwałtownie przerwał, poczerwieniał i zmienił temat. Niepokojące. Również dziwaczne. Istniała tylko jedna dziedzina, w której się nie zmieniał: seks. Ponawiał ciągle te same pytania! W końcu dawał mi spokój. Wydawał się, że rozumie mój wstręt do mężczyzn po gwałcie, który przeżyłam!

Ci mężczyźni! Czasem mam wrażenie, że jak bąki kręcą się dookoła środka ciężenia, którym jest ich członek!

Taka sytuacja była jednak niepokojąca... Czy nie powinnam zmusić się i pozwolić Olivierowi zaspokoić jego

niskie instynkty? Może pozwoliłoby mu to zapomnieć o całej reszcie. Tak, ale przyrzekłam Eleonorze, że...

Przecież ona nie wiedziałaby nic. Nie sypia w naszym pokoju.

A co będzie jeśli to Olivierowi nie wystarczy i wciąż będą mu chodziły po głowie różne pomysły? Okropna myśl przyszła mi nagle do głowy. Wyobrażam sobie, że państwo La Trilliere zagrabili zeszyt i dali przeczytać Olivierowi. Prawdopodobnie w pierwszej chwili roześmiał się. Lecz później? Odkrycie, że jestem zdolna zabić człowieka zestawiał z zeszytem, co tłumaczyłoby jego obecną postawę. Niebezpieczne. A jeśli przyjdzie mu fantazja szepnąć słówko komisarzowi Dorvalowi? Komisarzowi obdarzonemu wspaniałą intuicją, który ma tylko jeden cel: wygrać chińską wazę... Hm!

Bardzo niebezpieczne!... Ale co robić.

Aby się zastanowić umknęłam na naszą wieżę. Eleonora, która skończyła kurs angielskiego z „Najmilszą Bibi”, wspięła się, by mnie odwiedzić. W samej rzeczy miała teraz do pokonania jedno piętro, gdyż odbywała lekcje dokładnie pod moją siedzibą.

Zmarszczyła brwi widząc mój stroskany wygląd.

- Czy coś jest nie tak, Katarzyno? Wzruszyłam ramionami.

- Wszystko jest w porządku. Nie zmieszała się nic a nic.

- Wciąż cię dręczy sprawa gwałtu?

- Toteż.

-Nie myśl o tym. Nie masz się czego obawiać. W gazetach nic już nie piszą, jeśli tak można powiedzieć.

Udałam, że nie rozumiem, tylko po to, by wnieść nutkę wesołości do naszej rozmowy.

- O gwałcie?

- Nie wygłupiaj się! O śmierci tego bydlaka Policja powinna zająć się innymi sprawami. Zbrodnia goni zbrodnię. W każdym razie nie widać tego okropnego komisarza Dorwała. Czy wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby znalazł związek między tobą a śmiercią tego Vincenta Leparda? Chciałby oskarżyć cię o całe zło na tej ziemi, między innymi o spowodowanie wszystkich wypadków, o których mówił. O śmierć Denisa, Fryderyki... może nawet o wypadek ojca... A już z pewnością oskarżyłby cię o śmierć Weroniki...

Przyglądałam się jej uważnie, ale widziałam tylko niewinny uśmiech kwitnący na jej ustach. Lodowaty dreszcz przeszedł mi po plecach, choć nie spowodował go dmący od lasu wiatr.

- Eleonoro, nie mogłabyś zmienić tematu? Teraz z kolei ona wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz. O czym życzysz sobie rozmawiać? O astrologii? O Olivierze?

- Niepokoi mnie. Jest nie ten sam... To z powodu tej koszarnej historii.

Wybuchnęła śmiechem.

- Postaw się na jego miejscu...

- Na jego miejscu?

Parsknęła śmiechem.

- Uważasz, że to przyjemne dla męża wiedzieć, że jego żona została zgwałcona? Zobaczyć faceta, który ją zgwałcił, choćby nawet był w tym momencie martwy i wyobrażać go sobie tarzającego się na jego własnej żonie? Olivier powinien mieć koszmary każdej nocy.

Czy to zajmowanie się astrologią natchnęło Eleonorę darem przewidywania? W samej rzeczy, tego samego wieczoru po kolacji Olivier wziął mnie na stronę.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, Katarzyno. Chodźmy do naszego pokoju.

Przytaknęłam lekkim skinieniem głowy. Znalazłszy się w pokoju, natychmiast poruszył temat, który miał na sercu: gwałt i mój stan po nim.

- Zmieniłaś się - poskarżył się.

- Ty też.

- Przyznaj, że... Przerwałam mu.

- A ty przyznaj, że jest normalną rzeczą, że kobieta jest wstrząśnięta po takim doświadczeniu. Daj mi czas, żebym się pozbierała.

Zacisnął wargi.

- Mówisz oczywiście o gwałcie?

- Chcesz, żebym o czym mówiła?

- Jesteś inna, Katarzyno.

- Co znowu?

Skryty błysk pojawił się w jego spojrzeniu.

- Śmierć twojego napastnika... Zesztywniałam.

- A więc? Chrząknął.

- Jestem niespokojny.

- Boisz się, że spotka cię to samo? - spytałam
drażniąc

go-Jego oczy zwięzły się.

- Do tego jeszcze nie doszedłem, ale...

- Ale co?

Był straszliwie zakłopotany.

- Sposób, łatwość z jaką zabiłaś tego
człowieka... Jestem zdumiony, to wszystko.

- W takich okolicznościach każda kobieta
postąpiłaby tak samo!

- Tak uważasz?

- Jestem o tym przekonana.

Od tej historii gwałtu umieścił butelkę whisky
w ściennej szafce w łazience i każdego wieczoru pod
pretekstem mycia zębów chodził tam, aby wypijać
kolejne szklanki, nie zważając, że oddech ma
przesycony alkoholem. Tego wieczoru też nie
zapomniał o swoim zwyczaju. Kiedy wrócił, prawie
pustą szklankę postawił na nocnym stoliku i
obserwował mnie wilgotnym spojrzeniem.

- Jeszcze coś mnie niepokoi, Katarzyno.

- Co?

-Jak mogłaś zapomnieć, że zabiłaś swojego napastnika?

Słowo „napastnik” wymówił półgębkiem, jakby ten termin był niesłychanie grubiański.

Zaczęłam się rozbierać, ale bałam się, że w oczach zapali mu się ten lubieżny błysk, który dobrze znałam. OImier podniecał się, gdy tylko zobaczył, jak się rozbieram. Miłośnik striptizu! Zaczęłam więc chodzić wzdłuż i wszerz, zanim zareagowałam na jego uwagę.

- Dziura w pamięci, zdarza się, nie? Tobie nie zdarzyło się nigdy?

- W tak poważnej sprawie, nigdy. Odchrząknął.

- Chcesz, żebym ci coś powiedział?

- Usycham z ciekawości!

Rzuciłam to obraźliwym tonem. Zadrzał.

- Nie wierzę ci.

- Wytłumacz mi!

- Kiedy wróciłaś tu jego ferrari, wiedziałaś, że go zabiłaś, ale nie chciałaś mi nic powiedzieć. Dlaczego?

Pochyliłam głowę.

- Przysięgam, że nie pamiętam!

- Chcę ci powiedzieć, co myślałaś i pasuje to do twojego zachowania tego wieczoru. Myślałaś, że nigdy nie znajdę się na miejscu zbrodni, nie spotkam twego napastnika i w rezultacie nie odkryję, że zabiłaś! Ale czemu nie chciałaś, żeby znaleziono go martwego?

Rozdział XIII

Kończył się niedzielny poranek, drugi weekend po siedemnastych urodzinach Eleonory, które świętowaliśmy godnie, jak należy.

Osiadłam Jemena i puściłam się galopem do lasu. Przecinałam polany porośnięte trawą, zagajniki poprzecinane drózkami wydeptanymi przez łanie. Twarz smagały mi nisko rosnące gałęzie. Las milczał tłumiąc uderzenia kopyt Jemena.

Przybyłam w końcu na brzeg stawu o nieregularnym kształcie. Miejsce to szczególnie lubiłam. Woda pod jesiennym niebem była całkiem szara. Zeskoczyłam na ziemię, zobaczyłam głuszcze i dzikie kaczki podrywające się do lotu, dudki i żurawie próbujące się ukryć w zasłonie gęstych trzcin. Grunt nosił głębokie blizny odcisków racic dzików, które przychodziły tu do wodopoju. Stary kamień graniczny wylaniał się z ziemi na skraju lasu. Przywiązałam Jemena do pnia drzewa i usiadłam. Uwielbiam ten odludny zakątek, idealny, by spojrzeć w głąb siebie. Pstryknięciem wyrzuciłam z paczki papierosa i zapaliłam go z trudem z powodu wiatru, którego pory-

wy marszczyły całą powierzchnię wody. Powiodłam wzrokiem dokoła. Wszędzie było cicho i spokojnie. Dokładnie na odwrót, niż w moim umyśle. Olivier niepokoił mnie coraz bardziej. Prawdopodobnie bardzo źle zniósł tę historię gwałtu, a i śmierć Viktora Legara zabitego wbitym w oko pogrzebaczem zrobiła swoje. Codziennie obnosił pochmurną, zmarszczoną twarz, całkiem jak karawaniarz, który przeczytał w gazecie, że wynaleziono serum zapewniające ludziom nieśmiertelność. Brakowało mu tylko kapelusza w kształcie pieroga, żeby wyglądał lepiej niż prawdziwy mistrz ceremonii pogrzebowej.

Natychmiast po Olivierze przyszedł mi do głowy zeszyt ojca. Psiakrew, gdzie się on mógł zapodziać? Kto go przetrzymuje? Państwo La Trilliere, czy Olivier? A może komisarz Dorval, jeśli ktoś z nich mu go przekazał? Co za miecz Demoklesa wiszący nad moją głową!

A jeśli ojciec zniszczył zeszyt po przeczytaniu go przeze mnie? To tłumaczyłoby nagłe zniknięcie rękopisu. Na tę myśl opanowała mnie szalona radość, ale nie trwała długo, zastąpiona przez bezlitosną prawdę. Dlaczego ojciec miałby go zniszczyć? Mało prawdopodobne. Nie miał w tym żadnego interesu.

Niedopałek papierosa sparzył mi palce. Szerokim ruchem ręki posłałam go do stawu. Aby to zrobić, odwróciłam głowę i spostrzegłam lochę, która wynurzyła się z trzciny prowadząc swoje warchlaki. Była bardzo daleko ode mnie i wiedziała, że nie ma się czego obawiać, lecz to nie przeszkadzało jej groźnie chrząkać. Zatrzymała się w miejscu, jej racice głęboko zapadły się w błoto, a imponujący łeb odwróciła w moim kierunku. Z tyłu warchlaki znieruchomiały i fukały żałośnie. Jeden po drugim chowały się wokół niej, szukając ochrony.

Jemen również zobaczył lochę z warchlakami i zaczął rzeć, jakby się bał, że mu wypruje wnętrzności. Potem kopytami zaczął wściekle młócić ziemię wokoło. W tej właśnie chwili, gdy wstawałam z granicznego kamienia, by go pogłaskać i uspokoić, kula świsnęła mi koło głowy.

Serce załomotało mi w piersiach. Druga kula wyrwała mi kosmyk włosów i tym razem rzuciłam się płasko na ziemię w prostokąt mchu otaczający kamień. Serce biło mi tak szybko, że miałam wrażenie, iż za chwilę wyskoczy z piersi, nie trafi na miejsce i umrę z wyroku Najwyższego. Nie słyszałam jednak huku wystrzałów. Należało przypuszczać, że gwałtowny wiatr, który wznosił fale na stawie prznosił ich dźwięk w przeciwną stronę.

Leżałam bez ruchu. Jak długo? Nie wiem. Wydawało mi się, że wieczność. Mój umysł był pusty. Czułam jedynie zimno, które pomału opanowywało moje członki.

Podniosłam się w końcu. Miałam zeszywniałe mięśnie, cała dygotałam na myśl, że dostanę kulą w głowę. Nie mogłam jednak spędzić życia wyciągnięta na mchu. Nogi pode mną drżały, ale nic się nie wydarzyło. Rozejrzałam się dookoła. Lochy i warchlaki zniknęły. Odwiązałam Jemena, wskoczyłam na siodło i pogalopowałam w kierunku zamku. Nie czułam teraz zimna. Miałam zamiar pojechać skrótem używanym dla osiągnięcia

brzegu stawu. Ta trasa zmuszała do przecięcia w poprzek przesieki wydeptanej przez łanie. Nisko rosnące gałęzie smagały mi twarz, ale nie dbałam o to, gdyż pewna myśl tak zaprzętała mi umysł, że czułam żar ogarniający moje ciało. I nieustannie bodłam niecierpliwie boki Jemena.

Nie omyliłam się w przewidywaniach. Dwieście metrów od zamku dokładnie przecięłam drogę OlMerowi. On również galopował, lecz zobaczywszy mnie zbliżył się i jechał obok.

- Spacerujesz - rzucił zdyszczanym głosem.

Moje spojrzenie prześlizgnęło się po uprzęży czystej krwi wierzchowca, którego nazwał Bugatti. Nawet w imieniu konia mieściła się jego namiętność do samochodów.

Moje spojrzenie prześlizgnęło się po uprzęży czystej krwi wierzchowca i... napotkało kolbę fuzji na grubego zwierza wsuniętej do olstra przyczepionego do łęku siodła.

- Spacerujesz? - powtórzył.

- A ty co, polujesz?

Mój głos zabrzmiał sucho.

- Co chcesz powiedzieć?

- Że omal mnie nie zabiłeś! Próbowałam grać komedię.

- Ja?

- Oczywiście, że ty!

Pochyliłam się gwałtownie, tak, że nie zdążyłam uprzedzić mojego ruchu. Złapałam kolbę fuzji i wciągnęłam ją

z olstra. Wyciągnął rękę, lecz zdążyłam powąchać lufę. Cuchnęła prochem. Zwróciłam mu ją.

- Będziesz jeszcze zaprzeczał? Zwłaszcza, że odkryłam ślady kopyt Bugattfego!

Silny rumieniec oblał mu twarz.

- Wybacz mi. Nie do ciebie strzelałem, lecz do lochy. Siedziałaś na kamieniu, dokładnie na torze pocisku. Kula powinna przejść ci nad głową, ale gwałtownie poderwałaś się i omal nie dostałaś...

- A druga kula, którą wystrzeliłeś?

- Zamierzałem strzelić dwukrotnie do lochy. Powinnaś wiedzieć, że nie łatwo jest zabić dzika. Nacisnąłem spust tak szybko po pierwszym strzale, bo byłem zaskoczony twoim ruchem! Ja... ja...

Tłumaczenie było zręczne, lecz nie uznałam się za pokonaną.

- Dlaczego nie przyszedłeś się wytłumaczyć, tylko uciekłeś?

Jego twarz była równie wyrazista jak pośmiertna maska.

- Wstyd mi było. Wiesz, jakim kiepskim jestem strzelcem i bałem się, że będziesz się ze mnie wyśmiewać. Co chcesz, ja nie urodziłem się w zamku. I nie miałem od zawsze możliwości polowania.

I tak to znów się użalał tym samym jęczącym głosem, który mnie drażnił. Obserwowałam go lodowatym wzrokiem.

- Co się stało z lochą?

- Chybiłem.

- Tak jak i we mnie. Uniósł brwi.

- Jak w ciebie?

- Przypuśćmy, że celowałeś we mnie, co oznacza, że chybiłeś.

I korzystając z przewagi, uderzyłam natychmiast jak maczugą:

- Komisarz Dorval będzie się chciał z tobą zobaczyć. Chybając przegrałeś chińską wagę.

Jego twarz przybrała nieprzyjemny, ziemisty odcień.

- Oszalałeś, Katarzyno? Nawet przez sekundę nie wyobrażaj sobie, że celowałem w ciebie! Do lochy, mówiłem ci! To nieszczęśliwy zbieg okoliczności! Jestem winny, zgoda, ale przypuszczenie, że strzelałem do ciebie to czyste szaleństwo! Posłuchaj, Katarzyno! Zaczekaj!...

Wściekle uderzyłam boki Jemena obcasami i krzyknęłam przez ramię:

- Jeszcze porozmawiamy!

Kowale są obecnie rzadkością we wioskach francuskich. Dlatego Eleonora, Olivier i ja byliśmy szczęśliwi mając kuźnię około piętnastu kilometrów od zamku. Od czasu do czasu bywaliśmy tam, by podkuć konie. Kowal nazywał się Lavergne i znał się na swoim fachu.

Najpierw podkuwany był Hedjaz, wierzchowiec Eleonory. Nie trzeba bać się Hedjaza; jest tak spokojny, jakby go uspioło morfiną. Lavergne celebrował swoją pracę ruchami namaszczonymi, rozważnymi, pewny swych umiejętności i lat doświadczenia. Dobry rzemieślnik, jakiego dziś trudno znaleźć. Od czasu do czasu przemawiał pieszczotliwie do zwierzęcia, by je uspokoić, gdy wyczuwał jego niepokój.

Zawsze lubiłam być obecna przy podkuwaniu koni. Lubię zapach przypalonego rogu, mimo że dla wielu osób jest przykry. Lubię patrzeć, jak od mocno sapiącego miecha kowalskiego, węgiel w palenisku rozżarza się do czerwoności.

Hedjaz zarzął ostatni raz i Eleonora wprowadziła go do boksu.

Teraz kolej na Bugattfego.

Olivier przyprowadził go pewną ręką i przywiązał do kółka wmurowanego w ścianę.

Lavergne chwycił miech i mięśnie mu nabrzmiały, gdy dmuchał w palenisko. Jak urzeczona przyglądałam się bryłkom węgla, które czerwieniały, czerwieniały, czerwieniały...

Z pomocą Oliviera chwycił tylną nogę Bugattfego i ustawił ją na trójkątnych widłach z twardego drewna głęboko wbitych w ziemię tak, by mieć dostęp do kopyta. Następnie szczypcami oderwał zupełnie zdartą podkowę, która była przybita do kopyta. Nowa podkowa w niezrównany sposób rozgrzewała się na żarzących węglach.

Nie odkładając szczypiec zajął się wkrótce czyszczeniem kopyta. Przywracał mu blask w tym niezwykłym śwądzie spalenizny i w obłoku dymu. Z zachwytem słuchałam skwierczenia kopyta.

Po zakończeniu operacji z jednym kopytem powtórzył ją z drugim tylnej nogi, następnie z lewym przedniej. Zostało do podkucia kopyto przedniej prawej nogi. Lavergne znów wziął miech i zaczął dmuchać w palenisko. Podeszłam bliżej, aby nieco się ogrzać, gdyż było bardzo zimno. W tym momencie Lavergne odłożył miech, by wziąć szczypcę. Zostałam sama przy palenisku odwrócona plecami do Bugattfego.

Nagle dostałam straszliwy cios w plecy, a jednocześnie przeraźliwe rzenie wypełniło mi uszy. Niebo zakotłosało mi się przed oczami, a jego miejsce zastąpił przerażający widok rozpalonych węgli w palenisku, które gnały mi na spotkanie, jakby to były ognie piekielne. Wrzasnęłam, ile miałam sił w płucach, zamknęłam oczy... I twardo zetknęłam się z podłogą.

Oszołomiona rozglądałam się wokół. Zrozumiałam. Lavergne zadziałał z szybkością meteoru. Jednym kopnięciem odepchnął palenisko daleko ode mnie. Kątem oka widziałam rozpalone węgle rozsypane wokół. Podniósł mnie prawą ręką. Uwolniłam się łagodnie i usiadłam na tyłku, chowając głowę w ramionach. Przypomniałam sobie...

Miałam dwanaście lat. Matka jeszcze żyła. Ten sam kowal miał podkuć Jasmień i Chikaję, dwie klacze. Wierzchowce ojca i matki. Jasmina należała do ojca. Właśnie ją podkuwano. Ojciec stał w tym samym miejscu, w którym teraz był Olivier. Przy kółku wmurowanym w ścianę.

Tamtego dnia też było zimno. Matka, by się ogrzać, zbliżyła się do paleniska, całkiem jak ja, przed chwilą. Trzymała ręce nad rozpalonymi węglami,

podczas gdy ja przyglądałam się Lavergneowi, który szukał szczypiec. Jasmina była klaczą podstępna i złośliwą, więc ojciec pozbył się jej zaraz po wypadku. Nagle wierzgnęła, wydając długie rżenie.

Lavergne uniknął kopnięcia, matka, niestety nie. Została pchnięta do przodu, a jej ręce wpadły w rozpalone węgle. Bilans: trzy żebra złamane i oparzenia rąk trzeciego stopnia. Paznokcie zeszczyły i nigdy nie odrosły. Palce, zaczerwienione i obrzmiałe, przypominały surowe mięso. Ojciec wtedy mówił, że chirurdzy odradzili przeszczep skóry. Dlaczego? Nie wiem. Później matka zginęła w wypadku samochodowym.

Poczułam ręce odchylające mi ramiona i podnoszące głowę. To był Olivier. Popatrzyłam na niego uważnie.

- Udało ci się wymknąć - próbował żartować, unikając jego wzroku.

- Gdyby nie Lavergne, urządziłabym się.

Pochylił głowę na bok jak sowa, która gładzi sobie piórka.

- To zadziwiające. Trzeba przyznać, że refleks ma nadzwyczajny. Refleks judoki. Refleks kierowcy wyścigowego. Refleks...

Przerwałam to wyliczanie.

- Co się dokładnie wydarzyło? Odchrząknął.

- Bugatti...

- Niewątpliwie, ale co jeszcze?

W jego szeroko otwartych oczach pojawił się wyraz osłupienia. Nagle się zdenerwował. Nie wiem dlaczego. To prawda, że zawsze był nerwowy i pobudliwy. Jedna noga, dwie nogi, trzy nogi, to go zmęczyło. No więc, przy czwartej nodze wybuchnął złością. Stąd to przykre wierzgnięcie.

- Przykre? Piękny eufemizm! Mogłam tu zginąć. Nie pilnowałeś go?

- Tak, oczywiście. Ale to się stało tak nagle!

- Jak kiedyś twój palec na spuście strzelby.

Ostatnie zdanie powiedziałam ciszej, aby Lavergne nas nie słyszał. Brudy należy pracować w rodzinie.

Podskoczył, otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz Eleonora przerwała mu gwałtownie stając obok mnie.

- No, no. Pięknie ci się udało!

Jowialnemu głosowi przeczyło spojrzenie. Obserwowała mnie badawczo, jakby obawiała się, że stracę przytomność. To nie było w moim stylu, powinna znać mnie lepiej.

Nie odpowiedziałam i skierowałam się do Lavergne'a. Nie podziękowałam mu jeszcze. Co sobie pomyśli?

Spojrzał na mnie kątem oka, niewyraźnym uśmiechem przyjął podziękowania, które mu złożyłam, a w momencie, gdy chciałam odejść, zatrzymał mnie ruchem ręki.

-Powinna pani uważać - wymamrotał. - Ma pani naprawdę krótką pamięć.

Wiedziałałam niestety, że ma rację.

- Krótką pamięć? Dlaczego?

Pytanie niemal wyskoczyło z ust Oliviera. Minę miał zażenowaną.

- No więc... pani biedna matka... kiedyś... To samo jej się przytrafiło, prawda?

I nagle, olśnienie. Pamięć mam może krótką, ale przypomniałam sobie, że opowiadałam Olivierowi o wypadku matki.

Rozdział XIV

- Uważasz, że chciał cię zabić?

Eleonora spoglądała na mnie zaniepokojona. Skinęłam głową.

- To pewne.

- Aż dwa razy? - zapytała z naciskiem.

Potwierdziłam ruchem głowy.

- Masz rację, dwa razy. Pierwszy raz strzelał, a później wmawiał mi, że celował do lochy i jest tak kiepskim strzelcem, że spudłował dwa razy, ale za to o mało mnie nie zabił.

- A drugi raz w palenisku... W nadziei, że wpadniesz głową w węgiel... Ale jest w tym jedna trudność.

- Jaka?

- Jak mógł uważać, że zginiesz, gdy uciekniesz do tego sposobu? Mogłaś zostać oszpecona, ale z pewnością nie zginęłabyś. Lavergne znajdował się o dwa kroki od ciebie, a ja też nie byłam daleko. Więc?

- To, co mówisz, jest logiczne, ale mógł pomyśleć, że nic się nie stanie, jeśli spróbuje.

- Jesteś pewna, że mówiłaś mu przedtem o wypadku, który w tych samych okolicznościach przydarzył się matce?

- Całkowicie pewna.

Teraz z kolei ona skinęła głową.

- W gruncie rzeczy, to mnie nie dziwi.

- Jak to? Nie chcesz chyba powiedzieć, że oczekiwałaś tych wszystkich tragicznych wypadków? Tym razem nie nabierzesz mnie Eleonoro! Uważasz się za Kasandrę?

Wydeła policzki i wydała dźwięczny odgłos.

- Jest parę spraw, o których nie wiesz, Katarzyno. Spraw, o których ci nigdy nie mówiłam.

- Chciałabym wiedzieć, o jakich! Zmrużyła oczy.

- Nie bój się, poznasz je. Zacznijmy od początku.

- Zamieniam się w słuch.

Udała, że nie słyszy ironii i wyprostowała się.

- W lesie znaleziono zwłoki Weroniki. Była uduszona szalikiem. Komisarz Dorval odnalazł ten szalik, wszystkich nas o niego wypytywał i starał się ustalić jego pochodzenie.

Przerwałam jej.

- I nic nie wskórał.

- Właśnie.

- A ty byłaś lepsza od niego?

- W pewnym sensie, tak.

- Wytlumacz to!

- Szalik kupił Olivier. Omal nie podskoczyłam.

-Jak się tego dowiedziałas?

Słaby uśmiech zakwitł na jej wargach.

- Przypominasz sobie tę płytę z muzyką pop, od której pękały ci bębny? „*Laugh your worries away, Baby*”

grupy Fascinating Bellringes?

Wykrzywiłam się.

- Tak, przypominam sobie.

- Prosiłam Oliviera, żeby mi kupił tę płytę w mieście. Przywiózł mi, ale zostawił ją w samochodzie. Kiedy poszłam jej poszukać, na tylnym siedzeniu leżało parę paczek. Szperałam między nimi, żeby znaleźć torbę z płytą. Znalazłam szalik...

Serce mi załomotało.

Słabym głosem spróbowałam się sprzeciwić:

- Nic nie jest bardziej podobne, niż jeden szalik do drugiego szalika...

- Nie ten.

- Dlaczego?

- Przede wszystkim to był szalik damski.

Dlaczego Olivier kupił damski szalik? Na prezent?

- Wygląda to prawdopodobnie.

- Tyle tylko, że był tak kiepskiego gatunku, iż niemożliwe, by Olivier kupił go w tym celu. Zapewniam cię, że ku mojemu zdumieniu był to naprawdę najgorszy gatunek, jaki można znaleźć.

- Najgorszy gatunek, jaki można znaleźć - powtórzyłam w zamyśleniu jej słowa. - Całkiem, jak szalik znaleziony wokół szyi Weroniki.

Westchnęła.

- Właśnie. I tego samego koloru...

- Miał znak firmowy?

- Nie.

- A torba, w której się znajdował?

- Żadnego znaku. Zwykła papierowa torba równie tandetna jak szalik.

- I co potem?

- Kiedy komisarz Dorval pokazał mi szalik znaleziony, jak powiedział, na szyi Weroniki, poznałam go natychmiast. To był szalik, który znalazłam na tylnym siedzeniu samochodu Oliviera.

- Skąd takie kategoryczne stwierdzenie?

Zachichotała.

- Bo gdy przeszukiwałam samochód, papieros mi wypadł z ust i spadł na szalik. Przypalił go. Och, nic takiego! Tylko małą dziurkę, ale odnalazłam ją, gdy komisarz Dorval pokazał mi ten szal, którym zamordowano Weronikę.

Wzburzona patrzyłam na nią wytrzeszczonymi oczami.

- To jeszcze nie wszystko - ciągnęła Eleonora niewzruszenie.

- Nie dosyć ci już?

- Zaczekaj. W dniu wypadku Denisa... W dniu, kiedy ta rozchwiana belka spod dachu spadła mu na głowę...

- Ach, tak?

Przerwałam niecierpliwie, a ona uśmiechnęła się wyrozumiale.

- ...Widziałam Oliviera schodzącego z poddasza. Zwykle tam nie chodził.

Nie odzywałam się.

- A trochę później - ciągnęła tym samym tonem - odkryto Denisa... martwego...

Patrzyłam na nią, zmieszana.

- Dlaczego nic o tym nie powiedziałaś komisarzowi Dorwalowi?

Wydeła wargi.

- Bo nie chciałam się niezgody i być oskarżona o chęć rozbicia waszego małżeństwa.

- To miło z twojej strony! - Rzuciłam to kwaśnym tonem. - A... jakie wyciągasz wnioski z dziwnego zachowania OIMera?

Potarła brodę z miną wyrażającą powątpiewanie.

- Chcesz, żebym ci powiedziała?

- Czekam na to.

- Weronika była dziewczyną łatwą, nimfomanką. Olivier skorzystał z okazji. Spał z nią. Uważam to w końcu za dosyć normalne. Ty go zawiodłaś. Mówię oczywiście o łóżku. Dobrze wiesz, że nie jesteś stworzona dla mężczyzny. Mówiłam ci to przed ślubem, ale mnie nie słuchałaś. Szkoda. We dwie było tak dobrze. W końcu... Uczyniłaś szlachetny wysiłek, by zobaczyć, co to znaczy oddać się mężczyźnie i masz rezultat. Olivier też! No, więc całkiem normalne, że szukał innej. A że Weronika była pod ręką. Weronika, która puszczała się ze wszystkimi portugalskimi drwalami w lesie. Czemu miał nie skorzystać? Zagryzłam wargi.

- Może próbowała go szantażować tym, że o wszystkim opowie tobie. Kto wie... Nie zapominaj, że była dziwką.

- A Denis? - odparłam sarkastycznie. - Nie

chcesz chyba mi powiedzieć, że Olivier też z nim sypiał?

- Może widział Oliviera mordującego Weronikę, albo coś wiedział?

Nie byłam całkiem przekonana.

- A Fryderyka?

- Ależ Fryderyka popełniła samobójstwo tym swoim kompotem!

- Jesteś o tym przekonana? Weronika, Denis i Fryderyka zginęli w miesięcznych odstępach. Wiadomo, że Weronika została zamordowana, ale jeśli, tak jak przypuszczasz, Denis został też zamordowany, to dlaczego nie Fryderyka?

- Ale jaki mógł być motyw? - zaproponowała. - Składać śmierć Fryderyki na barki Oliviera to chyba trochę za wiele!

- Skoro jednak do tego doszliśmy...

- Przecież Olivier nie jest typem kryminalisty! Okropny, lodowaty dreszcz przeszedł mi po plecach.

Niechący Eleonora dotknęła wrażliwego miejsca.

- W każdym razie jest to niepokojące.

- I nie zapomnij - podjęła Eleonora - o strzale do lochy i o palenisku. Uwzględniając to, co już powiedziałam, wypadki te stanowią poważny argument na poparcie mojego twierdzenia.

- Tylko, że temu, co stwierdziłaś przed chwilą, przeczy śmierć Fryderyki.

- Jak to?

- Jeśli masz rację, że to Olivier zamordował Weronikę i Denisa oraz próbował to samo zrobić ze mną, dlaczego nie miałby też zamordować Fryderyki?

Zmarszczyła brwi zastanawiając się głęboko.

- Może mimo wszystko, nie mylisz się - zgodziła się uprzejmym głosem. - Tylko... Dlaczego zamordował Fryderykę?

Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Wiesz dobrze.

- Dobra, co masz na myśli? Spojrzała nieprzeniknionym wzrokiem.

- To twój mąż, nie mój.

Rzuciłam jej wściekłe spojrzenie, ale nie pohamowałam.

- Może należałoby przestrzec komisarza Dorvala, żeby się zabezpieczyć? Jeśli OI Mer ponowi próbę, moje życie będzie w niebezpieczeństwie.

- Komisarz Dorval potrzebuje konkretnych dowodów - zaproponowała. - Co mamy?

- Szalik.

- Szalik?

- Musisz go tylko poprosić, żeby ci go przedstawił w celu formalnej identyfikacji.

Przełknęła ślinę.

- Czy nie grożą mi kłopoty, bo nie zrobiłam tego za pierwszym razem?

- Będzie zbyt zadowolony, bo zdobędzie chińską wazę. Skinęła głową.

- Zgoda, Katarzyno, zrobię, jak sobie życzysz.

Poczułam długi lodowaty dreszcz przechodzący po plecach. A jeśli to Olivier ma zeszyt? Jeśli to państwo La Trilliere przejęli go i oddali mu po prostu dlatego, że jest moim mężem? A jeśli został przekazany komisarzowi Dorvalowi?

I natychmiast potem stanęło przede mną inne pytanie: *Dlaczego Olivier chciał zabić mnie?* Pytanie sformułowane w głowie paliło mi wargi.

- Eleonoro, dlaczego Olivier chciał mnie zabić? Otworzyła szeroko oczy.

- Bo miał cię dosyć. Odmawiasz mu i to go rozwściecza.

- Przecież można się rozwieść. Nie trzeba uciekać się do morderstwa!

- A jeśli jego sytuacja materialna nie jest tak kwitnąca, jak opowiada? A jeśli chciałby położyć rękę na twoich pieniądzach i części zamku? Jestem jeszcze nieletnia, państwo La Trilliere są moimi prawnymi opiekunami. A jeśli Olivier ułożył się z nimi, żeby położyć łapę na

naszej własności? Nie zauważyłaś, że od pewnego czasu ktoś dzwoni do niego dosyć późno wieczorem? To się nie zdarzyło przedtem. Rozmowy telefoniczne związane z jego interesami.

- Słuchałaś o czym mówią? Uśmiechnęła się niewinnie.

- Naturalnie!

- A więc?

- Mogę ci tylko powiedzieć, że jego interesy kiepsko idą.

- Naprawdę?

- Tak.

Przez jej lewy policzek przebiegł skurcz.

- No i Katarzyno...

- Co jeszcze?

- Jeśli postanowił przy udziale państwa La Trilliere położyć łapę na naszej własności, powinien mnie też zabić!

Widziałam, że drżała. Objęłam ją za ramiona i czule uścisnęłam.

- Nie!

Mój ton był kategoryczny.

- Dlaczego nie? - sprzeciwiła się.

- Dlatego, że powinien zacząć od ciebie. Gdyby cię zabił po mnie, nie dziedziczyłby po tobie. Powinien zabić cię pierwszą, żebym ja dziedziczyła po tobie, wtedy wystarczyłoby mu zabić mnie i położyłby rękę na wszystkim, co należy do nas obu.

To ją pocieszyło.

- Chyba masz rację.

- Na pewno mam rację!

Cmoknęłam ją w policzek i odsunęłam się.

- Jeśli się dobrze zastanowić, Eleonoro, nie jestem pewna, czy warto niepokoić komisarza Dorwała
- powiedziałam ostrożnie.

- Dlaczego?

Zdumiona wytrzeszczyła oczy.

- Musimy być najzupełniej pewne, że ma wobec nas złe zamiary, zwłaszcza wobec mnie.

Wiedziałam, że to była kiepska wymówka, ale oczywiście nie mogłam jej powiedzieć o zeszycie. Zareagowała gwałtownie.

- Więc to ci nie wystarcza? Dwa razy usiłował cię zabić: strzał do lochy, palenisko. A szalik? Zapomniałaś o szaliku?

- Nie zapomniałam, ale chcę jeszcze zaryzykować. Ja podejmuję ryzyko, nie ty. Nie martw się, będę bardzo uważać. Nawet, jeśli czegoś spróbuje, nie dostanie mnie.

- Nie rozumiem cię. Jesteś szalona.

- Tak to widzę. A Olivier jest moim mężem, nawet jeśli nie spiamy ze sobą.

- Jak chcesz!

Jej ponura mina wywołała u mnie wesoły uśmiech. Podniosła z podłogi swój przenośny magnetofon i przełożyła pasek przez ramię. Musnęła w roztertargnieniu klawisze i ku mojej wielkiej uldze oszczędziła mi wysłuchania

koncertu muzyki pop, za którą szalała. Naprawdę, nie byłam teraz w nastroju do słuchania tego.

- Chciałam cię jeszcze o coś zapytać, Eleonoro.

- Nie krępuj się.

- Nie przestałaś zajmować się astrologią?

Rzuciła mi przerażone spojrzenie.

- Oczywiście, że nie! Przełknęłam ślinę.

- Eleonoro, jaki jest horoskop Oliviera na przyszły tydzień?

Rozdział XV

Sporządzony przez Eleonorę horoskop Oliviera był wręcz przerażający z powodu koniunkcji Marsa z Uranem w zbliżeniu ze Słońcem, lecz kulminacja miała nastąpić nazajutrz, gdy Uran i Saturn znajdą się w opozycji wobec Słońca.

- Saturn będzie dla niego w bardzo złym aspekcie - uściśliła Eleonora.

Nazajutrz Olivier zginął.

Kiedy Eleonora i ja przybyliśmy na miejsce wypadku, ciało Oliviera zostało już zabrane.

Żandarm w hełmie chciał nas odpędzić, ale szybko mnie poznał i pozwolił się nam zbliżyć, wzywając swojego przełożonego do pomocy.

- To żona - wymamrotał do niego zakłopotany.

Natychmiast uzyskaliśmy prawo do jego względów, on sam zaś przybrał pogrzebową minę karawaniarza.

- Okropny wypadek, proszę pani.

Spoczęły na nas ciekawskie spojrzenia gapiów, więc zmusiłam się do przyjęcia zboląłego wyrazu twarzy, który byłby odpowiedni do wdowieństwa świeżego i... nagłego.

- Gdzie on jest? - zapytała stojąca za mną Eleonora. Żandarm potrząsnął głową.

- Cieszę się, że panie przyjechały dopiero teraz. Zwłoki odwieziono do kost... przepraszam, do szpitala. Trzeba było ciąć palnikiem blachy, żeby go wyciągnąć. Pas bezpieczeństwa zablokował się i mąż został uwięziony wewnątrz samochodu. Spalił się na węgiel. Ciało było bardzo poharatane... Dlatego cieszę się, że panie przyjechały dopiero teraz. To nie jest przyjemny widok.

Stłumiłam szloch.

- Gdyby mógł odpiąć pas, możliwe, że wyszedłby z tego cało... albo prawie. Pożar wybuchł chyba z tyłu. Trudno to dostrzec, wszystko jest spalone. Ale śledztwo to ustali... Przewoził jakieś łatwopalne materiały?

Zdołałam wreszcie opanować drżenie warg.

- Części zestawu stereo zapakowane w wielkie pudła. Poskrobał włosy pod hełmem

- Rozumiem.

Odsunął się nieco i zobaczyłam poprzemieszczane, poskręcane i wypalone blachy porscha Oliviera, tego porscha, z którego był tak dumny, chociaż ja miałam takiego samego. Tego, który zepsuł się tej okropnej nocy, gdy zostałam zgwałcona.

Zrobiłam krok do tyłu, Eleonora również. Żandarm opuścił nas. Kilku innych krzątało się wokół

wraku, podczas gdy inni utrzymywali gapiów w oddali lub regulowali ruch.

Poczułam, że Eleonora wzięła mnie za rękę i mocno ścisnęła, jakby chciała mnie uspokoić.

Długo przypatrywałam się wrakowi porscha, po czym odwróciłam się do żandarma.

- Naprawdę nie wiadomo, jak doszło do wypadku?

- Nie, proszę pani - odpowiedział zmartwiony, ale natychmiast się poprawił. - Dowiemy się. Jak przed chwilą pani powiedziałem, wdrożyliśmy śledztwo. Nasi eksperci zbadają wrak i ustalimy przyczyny wypadku.

- Ale... pan mówił o pożarze? Nadał się.

- Jestem prawie pewien, że pożar wybuchł w pojeździe, zanim uderzył w drzewo.

Patrzyłam na platan, dookoła którego owinięty był szkielet porscha.

- Jest pan pewien?

- Proszę pani, jestem dwadzieścia dwa lata żandarmem!

Kora drzewa była całkiem spalona, a zwęglone gałęzie robiły wrażenie, że powyginały się z rozpacz i rzucają przekleństwa w niebo szare i ołowiane.

- Pani mąż opuścił szybę po swojej stronie, ale to spowodowało tylko napływ powietrza, które podsyciło pożar.

- Oczywiście.

- Żałuję...

Jakby to była jego wina!

Rzucił mi współczujące spojrzenie.

- Niech pani tu nie stoi.

Eleonora skorzystała z tej rady, by wtrącić się:

- On ma rację, Katarzyno, nie stójmy tu. To na nic.

Ostatni raz objęłam wzrokiem otoczenie. Koła samochodu, czy raczej piasty kół, bo guma spaliła się całkowicie, zostawiając szczerniałe ślady na poboczu drogi, poskręcane i porozbijane blachy wyglądające jak szkielec, stłuczoną szybę, maskę otwartą, jak sekretna szkatułka i platan - widmo, jak przydrożny krzyż.

Eleonora pociągnęła mnie.

- Chodź, Katarzyno.

Czy żandarm przypuszczał, że zemdleję? W każdym razie złapał mnie pospiesznie za ramię i poprowadził do naszego samochodu, którego pilnował pierwszy żandarm, trzymający ciekawskich z dala. Podeszliśmy do niego.

- Czy jest pani w stanie prowadzić? - zapytał troskliwie.

Za kogo mnie brał? Za chucherko? Uśmiechając się upewniłam go, że nie jestem w szoku.

- Widziałam gorsze rzeczy!

Gdyby wiedział, że w Managui w Hondurasie popchnęłam Edytę w ziejącą otchłań, że byłam świadkiem straszliwych scen na seansie czarnej magii, w którym brał udział ojciec i doktor Levasseur, że zostałam zgwałcona przez sadystę...

Gdyby też wiedział, że w moim otoczeniu i to w ciągu dwóch lat zmarli gwałtowną śmiercią doktor Levasseur, ojciec, Weronika, Denis i Fryderyka La Trilliere, domyśliłby się, że śmierć Oliviera, jak by nie była straszna, nie jest w stanie sprawić, bym straciła nad sobą kontrolę. Ale oczywiście on tego nie wiedział i dlatego zadał to głupie pytanie.

Obie z Eleonorą wsiadłyśmy do samochodu i pożegnawszy żandarma, odjechałyśmy.

Byłyśmy same w małej salce kostnicy. Same z inspektorem policji i pracownikiem kostnicy o niezmiernie długich włosach i pożółkłych od tytoniu okropnych wąsach, który wyglądał na równie zadowolonego, co leżące w szufladach zwłoki.

Wcisnął ręce do kieszeni fartucha i przestępował z nogi na nogę, jakby miał mrówki na łydkach. Inspektor policji z miną podejrzliwą i pełną niesmaku ostrożnie oddychał panującą tu atmosferą.

Przed wejściem do szpitala weszłyśmy do piwiarni wypić podwójną whisky - każda przed zmierzeniem się

ze spodziewanym zaduchem. W szpitalu stawiano nam tysiące przeszkód utrudniając obejrzenie ciała Oliviera. Uparłam się. W rezultacie przydzielono nam inspektora policji i udzielono zezwolenia.

- Idziemy wreszcie? - rzucił niecierpliwie inspektor pracownikowi kostnicy.

Ten obojętnie wzruszył ramionami i odwrócił się do szuflad, które zajmowały całe ścianę, spiętrzone do sufitu. Pochylił się, złapał uchwyt i pociągnął gwałtownie. Metalowa płyta potoczyła się na rolkach, wyskakując jak diabeł z pudełka z okropnym zgrzytem źle naoliwionego mechanizmu. Mimo panującego tu zimna, cały czas czułam spływające strużki potu.

Pracownik pogwizdując ściągnął pokrowiec wykonany z szorstkiego i sztywnego płótna w okropnym, brązowym kolorze.

Wstrzymałam oddech, a Eleonora przytuliła się do mnie. Z lewej strony usłyszałam chrząknięcie inspektora.

- Czy pani zechciałaby podejść? - poprosił głosem kruka.

Zbliżyłam się, a Eleonora za mną. Spostrzegłam woskową twarz ze smugami krwi, której nikt nie stał. Długie, fioletowe zadrapanie wiło się od czoła do miejsca uderzenia między szczęką a uchem. Szczęka opadła, wciśnięto wielki kłęb waty w usta i mniejsze tampony w nozdrza, by złagodzić grozę widowiska. Wargi były

obrzmięte i zsiniałe, a długie blond włosy posklejane suchym teraz błotem.

Była to twarz kobiety. Kobiety, której nigdy w życiu nie widziałam!

Wrzasnęłam:

- Przecież to nie jest Olivier! Eleonora powtórzyła jak echo:

- Nie, to nie jest Olivier! Inspektor i pracownik podskoczyli.

- Co? Powtórzyłam uparcie:

- To nie jest Olivier! To jakaś kobieta!

- Ależ oczywiście, że to jest kobieta! - krzyknął inspektor.

Pracownikowi ze zdziwienia opadła szczeka.

- Cholera - wymamrotał - rąbnąłem się.

Szybko narzucił pokrowiec, zasunął płytę szuflady, zastanowił się chwilę i w końcu złapał inny uchwyt i gwałtownie pociągnął.

- Nie mógłby pan umieszczać nazwisk na szufladach? - wrzasnął inspektor.

- Nie ma na to kredytów - jęczącym głosem odparł pracownik.

- Kredy też nie ma?

Następne wzruszenie ramion zamiast odpowiedzi i zdjęcie zasłony.

Tym razem był to Olivier wyciągnięty na metalowej Płycie. Żałowałam teraz, że wypiałam podwójną whisky.

Podeszła mi do gardła i przelykałam, by posłać ją z powrotem do żołądka. Paznokcie Eleonory wpiły mi się w rękę. Odwróciłam głowę i spojrzałam na nią. Była zielonkawa, a ja pewnie nie wyglądałam lepiej. OlMer skurczył się do rozmiarów karła. Był całkiem czarny i... zmieniony nie do poznania. Miałam wrażenie, że zapadam się w koszmar... Ja... Chwiałam się na nogach, a ta ohydna whisky podchodząca mi do gardła...

- Dobrze, starczy - mruknął inspektor. - Niech pan zakryje. Widzieliśmy dosyć.

Pracownik wykonał to z przyjemnością. Jego oblicze przybrało wstrętny szary kolor zgodny z kolorem twarzy inspektora. Z całej siły odepchnął płytę, która z suchym trzaskiem wpadła na swoje miejsce.

Żegnaj, Olivierze...

Inspektor zakasłał i chwycił mnie za ramię.

- Chodźmy!

W korytarzu zapytał:

- Czy pani go zidentyfikowała?

- Tak.

- Formalnie?

- Formalnie.

Pochylił się w kierunku Eleonory, która nie puściła mojej ręki i szła obok mnie.

- A pani?

- Ja też.

Jej spojrzenie stało się skryte.

- Formalnie, biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajduje?

- Tak.

To ja odpowiedziałam. Wykrzywił się.

- Proszę mi wybaczyć, że nalegam w tych tragicznych okolicznościach, ale... skąd ma pani pewność? Zwęglone ciało jest rzeczą najtrudniejszą na świecie do identyfikacji, a w ciągu mojej kariery ja...

Przerwałam mu

- Przez mostek.

- Przez mostek?

- Ciało wokół warg było całkiem spalone, nie widział pan?

Odsunął się, by przepuścić pielęgniarkę pchającą wózek, która posłała mi zdumione spojrzenie.

- W samej rzeczy, przypominam sobie.

- Mostek był widoczny. Łatwy do rozpoznania. Lewa górna trójka i czwórka oraz dwa trzonowe obok siebie. Olivier założył ją dwa miesiące temu.

- Rozumiem.

Znowu pochylił się w kierunku Eleonory.

- Czy pani z tym się zgadza?

- Tak.

Gwizdnął cicho z podziwu.

- W podobnych okolicznościach członkowie rodziny raczej nigdy nie zauważaliby takiego szczegółu. Są pogrążeni w bólu.

- Może siostra i ja nie jesteśmy tego pokroju?

- Prawdopodobnie - mruknął.

Kiedy wyszliśmy na plac rozciągający się przed szpitalem, nagle zatrzymał się i zamyślony przyjrzał się nam uważnie.

- Po tym przykrym doświadczeniu, które panie musiały znieść, sądzę, że zasłużyły sobie na kawę. Ja zapraszam... lub na coś mocniejszego, jeśli panie sobie życzą. Później poproszę, aby panie towarzyszyły mi na posterunku policji, aby dokonać formalności...

Rozdział XVI

- W piękny sposób capnęliśmy bandę Cabrery! Taki numer znajdzie się w pitawalach! Tego w Paryżu nie oczekiwali. Myśleli, że połkną Cabrerę! Pomyśl pan!...

Głos z marsylskim akcentem bijącym w uszy, jak odgłos piorunu, zaostrzył się.

- I co? Co oni sobie myślą w tym Paryżu? Że jesteśmy głupsi od nich? Jeśli chodzi o Cabrerę, było po nim, gdy tylko postawił nogę na naszym terenie. Błąd, okropny błąd, którego nigdy nie powinien popełnić. Wyglądało na to, że ma takiego pietra jak Egipcjanie zwiewający za Synaj, a jego zawodnicy podobnie i też im to wiele nie pomogło. Trzeba było zobaczyć arsenał, jaki przytaszczyli. Na nas ich armaty i rozpylacze nie zrobiły wrażenia. Wpadliśmy do nich i oni wpadli.

Głos zamilkł na parę sekund.

- No, niezłe! Wpadli, gdy myśmy wpadli... Pierwszy głos podniósł się.

- Świetnie, komisarzu!

Usłyszałam służalczy śmiech innych głosów. Głos z akcentem marsylskim znowu stwardniał:

- I w ten sposób byli nasi. Chłopaczki Cabrery nie mieli powodów do dumy. I nie odzyskali ich więcej. A chwalili się, że nigdy nie wpadną. Nawarzyli sobie piwa. W każdym razie udowodniłem tym, którzy uważali, że Mercurie znaczy leniuch, że nie jestem bardziej leniwy od innych. Ażeby być dobrym policjantem, nie potrzeba kupy dyplomów.

- Ma pan rację, szefie - odezwał się jakiś głos.

- Dobrze powiedziane - zgodził się inny.

- Facetów z dyplomami w mordę!

Wkrótce potem, gdy zapłaciłyśmy za kawę zakrapianą rumem, inspektor, który nam towarzyszył w kostnicy, zaprowadził nas na posterunek policji, gdzie zostawił nas w pustym pokoju prosząc, byśmy zaczekały. Wychodząc zostawił otwarte drzwi. Drzwi wychodziły na korytarz, a w tym korytarzu były inne otwarte drzwi. Od biura brygady kryminalnej. Idąc tu przechodziłyśmy obok nich. Na drzwiach dostrzegłam napis czarnymi literami na żółtym tle:

BRYGADA KRYMINALNA

I właśnie przez te dwoje otwartych drzwi docierała do nas rozmowa, która miała miejsce w lokalu brygady kryminalnej.

Eleonora szarpała nerwowo zamek błyskawiczny swoich kozaczków.

- Nie wydaje ci się, że trwa to trochę za długo?

- Bądź cierpliwa.

- Jestem głodna!

- Trzeba było poprosić o kanapkę do tej zakrapianej kawy.

- Śmierdzi tu dymem papierosowym, jest brudno i paskudnie.

- Gliny nie mają gosposi.

- To widać. A właściwie po co ten policjant tu nas przyprowadził?

- Powiedział ci. Formalności.

- Jakie formalności? Zidentyfikowałyśmy go, to nie starczy?

- Prawdopodobnie nie. Trzeba podpisać jakieś papiery-

Zamek błyskawiczny Eleonory jeździł z pełną szybkością.

- Olivier nie miał szansy... Przyjrzałam się jej.

- Nie, nie miał szansy.

- Umrzeć tak młodo.

- To bardzo smutne.

- Umrzeć tak młodo... Jak Weronika, Denis, Fryderaka...

- Coś w rodzaju sprawiedliwości, skoro według ciebie jest odpow... czy raczej był odpowiedzialny za ich śmierć.

Nie przyzwyczyłam się jeszcze do mówienia o nim w czasie przeszłym.

- To szybko przejdzie.

- Jaki ładny komunał.

- W każdym razie uwolniłaś się od swojej obsesji.

- Jakiej obsesji?

- Że Olivier cię zamorduje. Doprawdy, opatrnościowy wypadek samochodowy!

- Muszę przyznać, że nieźle mi się przysłużył.

- A my zostaniemy same, tak jak zawsze powinniśmy być. We dwie.

- Zapomniałaś, że jesteś nieletnia i ciągle pod kuratelą państwa La Trilliere.

- Z rym da się coś zrobić.

Nagle nadstawiłam uszu. W pomieszczeniu brygady kryminalnej ton się zmienił. Słysząc było ten sam akcent marsylski, ale sposób mówienia był inny. Twardy i pogardliwy.

- Dobra, chłopaki, teraz do roboty. Wynoś się pan, Callard, i przekaż ode mnie pozdrowienia paryżanom i tym od Cabrery. Dalej, rzeźniku, karty na stół. Dostaniesz kanapkę, piwo i gauloise'a, ale niech ci się nie wydaje, że masz się zamknąć. Dalej, zgaś peta i opowiedz swoją historyjkę. Na czym stanęliśmy?

- Dziewczyna - odpowiedział jakiś głos.

- A tak!... Dobrze, Dubail, włącz magnetofon.

Gotów?

- Jazda, chłopie! Dalej, rzeźniku, pokaż co masz w zanadru!

Na kilka chwil zapadła cisza, potem dał się słyszeć płaczliwy głos. Płaczliwy, lecz pomалу nabierający pewności.

- No więc, panie władzo, zrzuciłem tę dziewczynę z roweru. Wyglądała na zaskoczoną. Ja nie jestem zły, ale ta dziewczyna mnie zezłościła. No więc dałem jej dobrego kopa w poobcierane kolana. Czy to moja wina, że potłukła się, jak spadła?

- Mów dalej - warknął głos z marsylnym akcentem.

- No... w końcu mi uległa... nie bez trudności... Zawsze mi ulegają. Nie wiem, co takiego mam w oczach, wystarczy, że popatrzę i ulegają. Chyba je hipnotyzuję...

Usłyszałam szuranie krzesła po podłodze, potem głos ciągnął opowiadanie. Był tak spokojny, jak morze oliwy pod tropikalnym niebem.

- ...A potem, wzięło mnie nie wiem co, szła pewnie, że mi nie uległa od razu... Zakleiałem jej usta plastrem. Szarpała się, chciała wrzeszczeć, ale nie mogła przez plaster, no to ją stłukłem. Zmęczyła mnie, rozumie pan?

- Rozumie, że jesteś bydlę - odpowiedział ktoś i natychmiast zastąpił go głos z akcentem marsylnym.

- W porządku, mów dalej. Nie musisz wiedzieć, czy ktoś cię rozumie, czy nie.

- Tak... Dobra... więc odwróciła się. Wyjąłem z kieszeni brzytwę. Była wyszczerbiona, kiedy ją znalazłem w zeszłym roku, ale tak długo ją szlifowałem w warsztacie na osetce, aż odzyskała ostrość. Ciachnąłem i poderżnąłem jej gardło.

Dygotałam cała, ale słuchałam zafascynowana, a jednocześnie opanowywała mnie pewna nadzieja.

- Trzeba było widzieć jej przerażone oczy!

- Przecież była nieprzytomna!

- Ocknęła się na chwilę.

- Co dalej?

- I ta sikająca krew. Każde trysnięcie jednocześnie z każdym uderzeniem serca...

Głośne klaśnięcie w policzek.

- Ty kupo gnoju! Klaśnięcie drugiego policzka.

- Ty śmieciu!

- Tylko nie trzeci stopień! - zgrzytnął głos z akcentem marsylskim. - Zostawcie, wy dwaj! A ty, rzeźniku, mów dalej!

Trzęśłam się tak, jakby to, co słyszałam, było halucynacją.

- No... krwawiła dłużej, niż inne... Mierzyłem czas. Dokładnie trzy minuty i czterdzieści sześć sekund dłużej niż ta, która przed nią krwawiła najdłużej.

- Początkowo wystarczało ci duszenie?

- Tak. Wzdrygnęłam się.

- I chciałeś innej przyjemności, z brzytwą?

- Właśnie, tak.

- Dobrze. Teraz będziesz...

Eleonora skoczyła na równe nogi i załomotała do drzwi.

- To przerażające wysłuchiwać podobnych rzeczy! Nie zareagowałam.

- Myślisz, że specjalnie zostawili otwarte drzwi, żeby słycać było te okropieństwa?

- To nie jest głupie, co powiedziałaś.

Eleonora drgnęła nerwowo. Uspokoila ją gestem ręki.

- Uspokój się.

- W jakim celu oni to zrobili?

- Nic na świecie nie jest tak pokrętnie jak mózg gliny. Żeby zmienić temat rozmowy, pochwaliłam ją:

- Brawo za horoskop Oliviera. Stało się to, co w nim dostrzegłaś.

Nie zwróciła uwagi na moje słowa. Zdawała się być daleko. Chciałam coś powiedzieć, co podtrzymałoby ją na duchu, gdy drzwi się uchylały i ukazała się w nich głowa komisarza Dorvala. Wyglądał na całkowicie zaskoczonego, ale nie miałam ochoty grać w jego komedii.

- Dzień dobry, komisarzu.

Zaraz przybrał zasmucony wyraz twarzy, popchnął drzwi i zatrzasnął je wyszedłszy do pokoju.

- Powiedziano mi, że obie panie są tu, ale nie uwierzyłem - powiedział głosem, w którego tonie brzmiała nuta sarkazmu. - Poinformowano mnie również o strasznej nowinie. Ten okropny wypadek samochodowy, w którym zginął pani mąż. Najszczerze kondolencje.

Tylu młodych ginie przez ten diabelski wynalazek, jakim jest samochód. Jak bardzo będzie go pani brakować! Byliście taką piękną parą! Pamiętam, że odniosłem to wrażenie, gdy miałem zaszczyt być zaproszony na śniadanie, by spróbować doskonałej kuchni waszej drogiej Laurencji... I ten pasztet z dzika!... Wyprostował się.

- Och!... Proszę mi wybaczyć. To tak błaży temat do rozmowy w takiej chwili.

Rzecz jasna, zabawiający nas typek nie wywiódł mnie w pole. I żeby dać mu to odczuć, przybrałam wyniosły wygląd.

- Czy to, że pół godziny tu czekamy, da się pogodzić z chwilą tragedii?

To go wcale nie spieszyło.

- Zechce pani nam wybaczyć - uśmiechnął się - jesteśmy przeciążeni. Za chwilę ktoś przyjmie zeznania pań.

Czysta formalność.

Odkasznęłam.

- Komisarzu...

- Słucham panią.

- Przed chwilą te drzwi były otwarte tak jak drzwi pokoju brygady kryminalnej. Niechący, siostra i ja, słyszałyśmy odgłosy przesłuchania, które toczyło się w pomieszczeniu brygady kryminalnej.

- Straszna postać...

- W samej rzeczy, ale...

- O co pani chodzi?

To była chwila, by rzucić ważną uwagę.

- Więc dobrze... Ta straszna postać, jak pan powiedział, zarżnęła jakąś dziewczynę. Wygląda na to, że nie ją jedną. Ale wspomniał, że z początku zadawał się

duszeniem ofiar. Może szalem? Czy nie sądzi pan, że to on był nieodnalezionym przez pana mordercą Weroniki La Trilliere? Chytry uśmiech zawisł mu na wargach.

- Niestety nie, proszę pani.

- Nie?

- Nie. Po prostu dlatego, że w czasie śmierci Weroniki La Trilliere ten człowiek siedział w więzieniu w Chalous-sur-Marne.

Chytry uśmiech na jego twarzy zmienił się w ironiczny grymas.

- Wielka szkoda, prawda, proszę pani?

Rozdział XVII

Komisarz Dorval tak czule głaskał chińską wazę, jakby to była mrucząca kotka. Trzymał ją w palcach oblizując wargi.

Odwrócił się do mnie.

- Czy jest pani pewna, że nie będzie żałować?

- Nic a nic. A Eleonora jeszcze mniej. Ona się boi tej wazy i wszystkiego, co pochodzi z Dalekiego Wschodu.

- Mam pewne skrupuły.

- Jest pan w błędzie. Zakład zawarty, zakład przegrany, zakład...

Przerwał mi.

- Nie to chciałem powiedzieć.

- A co pan chciał powiedzieć, komisarzu?

- Że przedmiot naszego zakładu stał się przyczyną mojego powrotu tutaj z powodu wypadku, który się wydarzył. Otóż, wypadek pani męża nie wydarzył się tutaj.

- To prawda, ale mimo to waza jest pańska. Ofiarowanie jej panu sprawia mi przyjemność. Olivier bardzo ją cenił. Teraz, gdy go nie ma...

- Jest pani zbyt uprzejma. Zresztą niewykluczone, że wypadek, w którym pani mąż znalazł śmierć, mógł mieć swoje korzenie tutaj - podsunął.

Udałam, że nie zwracam uwagi na jego słowa.

- W każdym bądź razie wielkie dzięki za tę wagę. Umieszczę ją w dobrym miejscu, by zachować panią w pamięci.

- Mam nadzieję.

- Jeśli chodzi...

- Tak?

- Chciałbym ze swej strony okazać uprzejmość.

- W jakiej sprawie?

- Przypomina pani sobie, że gdybym ja przegrał zakład, miałem być zobowiązany do wyjawienia szczegółu, który zaprzecza tezie o śmierci Denisa La Trulliere w wyniku wypadku?

- Rzeczywiście.

- Ponieważ nie bardzo skrupulatnie trzymała się pani warunków zakładu, mogę ze swej strony podzielić się informacją o tym szczególe.

Wzdrygnęłam się.

- Słucham pana, komisarzy.

- Więc tak, droga pani. Belka, która spadła zabijając Denisa La Trilliere była obluzowana, przypomina pani sobie?

- Jakby to było dzisiaj.

- Była obluzowana, lecz mogła trzymać się na miejscu przez lata...

Ze zdumienia podniosłam brwi.

- ...Dzięki wielkiemu drewnianemu kołkowi uniemożliwiającemu jej upadek. Ale ktoś włożył wiele wysiłku, żeby go usunąć... Prawdopodobnie piłą do drewna... Piłą do drewna i młotkiem. Ślady są wyraźne i w tym wypadku nie ma możliwości pomyłki.

- Naprawdę?

- Tak jak powiedziałem.

- Może zrobił to sam Denis? - podsunęłam mu.

Popatrzył na mnie z litością.

- Dlaczego miałby tak postąpić?

- Żeby popełnić samobójstwo. Wybuchnął śmiechem.

- Nie popełnia się samobójstwa w jego wieku.

- Wie pan, komisarzu, to była bardzo dziwna rodzina. Niech pan weźmie na przykład Weronikę. Nimfomanka wykorzystywana przez wszystkich drwali w lesie. Fryderyka, narkomanka. I Denis, który oddawał się codziennie masturbacji. Mówią, że masturbacja źle działa na równowagę umysłową. Te praktyki mogły poważnie ją zakłócić, mówiąc uczenie, przynieść chorobliwe myśli i doprowadzić do fatalnego końca.

- Ma pani bujną wyobraźnię. Znowu głaskał chińską wazę.

- Ale, jeśli pani pozwoli, przejdźmy teraz do innej sprawy. Śmierć pani męża...

- Proszę pytać, o co pan chce.

- Dziękuję. Jak przebiegł ten poranek?

Aby zyskać na czasie przed odpowiedzią, zapaliłam papierosa. Nie palę już teraz egipskich papierosów. Przerzuciłam się na angielskie, *Benson and Hedges* bez filtra. Mam wstręt do papierosów z filtrem.

- Olivier wstał o tej samej godzinie, co zwykle - opowiadałam obojętnym tonem - wszedł pod prysznic, ogolił się, zjadł śniadanie o tej samej porze, co zwykle, tak jak to zawsze robił. Jadł naleśniki z konfiturami z jagód. Laurencja cudownie je przyrządza... Zestaw stereo zapakował już poprzedniego dnia wieczorem. Musiał tylko zanieść do samochodu duże pudła, w które zapakował różne części zestawu i pojechał do swego biura.

- Proszę mi opowiedzieć o zestawie stereo.

- Olivier był trochę zazdrosny o najnowszy zestaw, który Eleonora kupiła za szaloną cenę. Wie pan, jak ona uwielbia muzykę pop? Rzeczywiście, jest zupełnie *crazy*, jak sama określa w swojej angielszczyźnie. Krótko mówiąc, Olivier zdecydował się odsprzedać swój zestaw i kupić podobny do tego, jaki ma Eleonora. Nowe bez-rezonansowe kolumny głośnikowe, wysokiej klasy tuner, przetwornik elektroakustyczny wyposażony w japońską igłę z eliptyczną końcówką, która eliminuje wady igły z końcówką sferyczną, wyszukane ramię gramofonu, nie zapominając też o wzmacniaczu basów i bezprzewodowych słuchawkach na podczerwień. Liczył, że tymi kolumnami nagłośni cały zamek. Znalazł więc kupca w miasteczku i tego ranka chciał sprzedać swój stary zestaw.

- A pudła?

- Pudła? To były opakowania, które zachował. Oryginalne. Te, w których był zapakowany zestaw, wtedy gdy go kupował, chyba trzy lata temu.

- W przeddzień wypadku, którego stał się ofiarą, zapakował więc części zestawu w oryginalne kartony i nazajutrz rano, przed wyjazdem, a raczej tuż przed wyjazdem, umieścił je w swoim samochodzie?

- Tak.

Skinął poważnie głową.

- Czy pani mąż miał stały zwyczaj zapinać pasy bezpieczeństwa?

Parsknęłam, a w moim głosie zabrzmiała odrobina lekceważenia.

- On je zapinał zawsze, ja nigdy tego nie robię.

Aż mnie skręcało, bo kiedy mówi się o pasach bezpieczeństwa okropnie się wściekam.

- To zbrodnia zmuszać ludzi do zapinania pasów bezpieczeństwa. Widział pan, co się stało z Olivierem? A on nie był pierwszy! Przed nim tylu innych zginęło w ten sam sposób. Spłonęli żywcem. Między innymi narzeczona tego aktora filmowego na Lazurowym Wybrzeżu. Zamknięta w swoim samochodzie, jak w pułapce. Bez możliwości wyjścia. Spaleni żywcem lub utopieni. Tysiące ludzi zamordowanych przez to zbrodnicze prawo!

Inspektor otworzył szeroko oczy. - Zamordowanych?

Uspokoiliam się natychmiast.

- Chciałam powiedzieć... zamordowanych... niechący... przez ludzi, którzy spłodzili to śmieszne prawo!

Rozpogodził się.

- Och!... Rozumiem... Więc pani mąż zawsze zapinał pasy?

- Naturalnie!

- A pani tego nie pochwałała?

- Tak. I miałam rację. Widział pan rezultat jego głupoty. Gdyby nie zapiął pasów, mógłby wydostać się z samochodu, kiedy pojawił się ogień.

- Skąd pani wie, że ogień pojawił się w samochodzie?

- Ależ... od jednego z żandarmów na miejscu wypadku!

- To prawda... Pani tam przyjechała... Kto panią zawiadomił?

- Zatelefonowano z żandarmerii. Jakiś kierowca, który jechał za Olivierem, był świadkiem wypadku. Ponieważ poznał porsche, mógł powiedzieć żandarmom, do kogo należy.

- Ale pani z siostrą przybyłyście na miejsce dość długo po wypadku. Ratownicy zdążyli poprzecinać blachy, wyciągnąć ciało pani męża i zawieść je do szpitala.

- Wiadomość odebrała Laurencja. Eleonora i ja właśnie zajmowałyśmy się końmi. To taki zwyczaj.

- Oczywiście, nie mogły panie wiedzieć, że w tym czasie...

- Nie, nie mogliśmy przewidzieć, że Olivier właśnie umiera.

Stłumiłam szloch, odwróciłam głowę i zrobiłam kilka kroków, by zgasić niedopałek papierosa i zgnieść go w ogromnej popielniczce z wypalanej gliny, którą ojciec przywiózł z Managui. Managua!...

Przeniosłam wzrok na ścianę. Wisiała na niej zbroja żołnierza Don Gil Gonzalesa d'Avila, konkwistadora Nikaragui. Tę zbroję odkryłam wtedy na miejskim bazarze. Autentyk czy falsyfikat? Nie mam pojęcia. W każdym razie została cudem ocalona z trzęsienia ziemi, tak jak i popielniczka, bo choć to prawie nie do uwierzenia, odnaleźliśmy wszystkie nasze rzeczy w ruinach hotelu. Tylko Edyty nigdy nie odnaleziono.

- Na pani miejscu spakowałbym rzeczy swoje i siostry i wyjechał do państwa La Trilliere. Ten znak nie daje szans. Mówiłem już, pamięta pani, że będę zmuszony tu powrócić z powodu następnego „wypadku”.

Przerwał tok moich myśli.

- Nie mówiąc o tym, że przysparzacie mi pracy! Zatrzepotałam rękami.

- Chyba ma pan rację. Eleonora jest jeszcze nieletnia. Państwo La Trilliere są jej opiekunami, a teraz, gdy zostałyśmy same...

Jego oczy zabłyśły.

- Nigdy nie jest się samym mając zamek i majątek wielu setek milionów, nawet jeśli są to miliony starych franków.

Poderwało mnie.

- Widzę, że zbierał pan informacje.
- To mój zawód. Logiczna odpowiedź.

Nagle wpadła mi do głowy pewna myśl. Splotłam ręce za plecami, wyprostowałam się zupełnie i surowo na niego popatrzyłam.

- Ale... niech mi pan powie, panie komisarzu, dlaczego przyszedł pan tu dzisiaj?

Niechętnie wypuścił sznur od zasłon, który związał między palcami i przestępował z nogi na nogę uśmiechając się błogo.

- Ten zamek przyciąga mnie nieodparcie. Spostrzegł moją przestraszoną minę i poprawił się.

- Nie, żartowałem. Chciałem panią zapoznać z rezultatami śledztwa przeprowadzonego przez żandarmerię.

Zobaczy pani, że to ciekawe.

Odwróciłam się w stronę okna. Z nieba padał deszcz tak gęsty, że za szybą świat wyglądał jak zanurzony w wodzie. Miałam wrażenie, że komisarz Dorval i ja jesteśmy zamknięci we wnętrzu batyskafu.

- Słucham pana, komisarzu.

- A więc... Punkt pierwszy: pudła, w które zapakowane były części zestawu stereo były wyłożone wewnątrz wkładkami z twardej pianki syntetycznej. Te podkładki miały kształt dokładnie pasujący do elementów zestawu po włożeniu ich na miejsce i specjalnie w tym celu zostały tak uformowane. Głównym składnikiem, z którego zrobione są te podkładki jest tworzywo sztuczne zwane poliuretanem. On zaś uwalnia od pięciu do trzydziestu litrów kwasu pruskiego na kilogram podczas rozkładu. Kwas ten jest niezwykle niebezpieczny. Używa się go do egzekucji skazanych na śmierć w komorach gazowych w tych stanach amerykańskich, które wybrały taki sposób wykonania wyroku. Na przykład w Kalifornii. Po śledztwie przeprowadzonym przez żandarmerię

wiadomo, że według dostawcy zestawów stereo, całkowity ciężar tworzywa służącego do wyłożenia kartonowych opakowań zestawu średniej wielkości wynosi około ćwierć kilograma. Daje to w wypadku, którym się tu zajmujemy, ilość od dwóch do dwunastu litrów kwasu pruskiego wydzielonego podczas pożaru... Pani mąż wyjeżdżając stąd zostawił oczywiście podniesione szyby w samochodzie, ponieważ temperatura na zewnątrz tego dnia była bardzo niska i włączył ogrzewanie. Jego regulator został zbadany przez żandarmerię. Był ustawiony na maksimum. Potem, w czasie jazdy, w samochodzie wybuchł pożar. Pudła opakowań, a zatem i trawiona ogniem pianka syntetyczna z poliuretanu wydzieliła dwa do dwunastu litrów kwasu pruskiego, dlatego pani mąż został poparzony i prawie zaczadzony. Wyraźnie mówię „prawie”, ponieważ zdążył zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje i opuścił szybę po swojej stronie. Kawałek stłuczonej szyby odnaleziono wewnątrz drzwi. A więc opuścił szybę po swojej stronie. Na szczęście, choć ta operacja miała pomyślny skutek częściowo rozpraszając śmiertelne wyziewy kwasu pruskiego, to miała też ten

efekt, że dopływ powietrza rozszerzył pożar. Prawdopodobnie na skutek paniki pani mąż stracił kontrolę nad pojazdem i wpadł na platan. Ale...

Przerwał.

Aż po horyzont nic nie rozjaśniało grubej zasłony deszczu.

- Ale?

Miałam wrażenie, że struny głosowe zeszywniały mi w krtani.

- Przypomina pani sobie tego świadka, o którym przed chwilą mówiłem. Tego, który jechał za samochodem pani męża, znał z widzenia porsche i który mógł wyjawić żandarmom tożsamość kierowcy?

- Tak.

- Oczywiście był przerażony wypadkiem, płomieniami wydobywającymi się z samochodu. To go sparaliżowało i przeszkodziło interweniować. Tym niemniej, jedno widział jasno, Pani mąż żył jeszcze po uderzeniu w platan. Drzwi otworzyły się na skutek uderzenia. Świadek widział pani męża wychylającego się na zewnątrz. Oczywiście, nie mógł wiedzieć, co dzieje się w środku, ale mógł otworzyć to co prawdopodobnie się działo.

- Próbował rozpiąć pas?

- Właśnie.

- I nie udało mu się?

- Nie. Świadek widział go znikającego w płomieniach...

- To straszne!

- Musi pani przyznać, że to był nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Pożar, który wybuchł, tworzywo, które trawione nim wydzieliło kwas pruski i wreszcie blokujący się pas bezpieczeństwa! To ostatnie nieszczęście spada na kogoś, kto był prawdziwie gorącym zwolennikiem zapinania pasów.

- To straszne, ale powinno istnieć jakieś wytłumaczenie.

Lekko zakaszła, rzucając czułe spojrzenie na chińską wazę.

- Wobec takiej sytuacji umysł logiczny, a policjant go posiada, postawi sobie trzy pytania.

- Jakie?

Doprawdy, deszcz, który nie przestawał padać powodował u mnie chandrę. Wydawało mi się, że słyszę rżenie od strony stajni. Czy to Jemen, który niecierpliwi się, bo nie mógł dzisiaj wyjść? A Eleonora? Niedawno udała się na „naszą trasę”. Pewnie została zablokowana przez ulewę. Zablokowana... Zablokowana jak Olivier przez ten pas bezpieczeństwa, który nie chciał się odpiąć.

- Pytanie pierwsze: dlaczego pas się nie odpiął?

- To się czasem zdarza. Właśnie dlatego jestem przeciwna pasom.

- Niech pani nie zapomina, że chodzi o porsche. Cena, za którą sprzedają samochody tej marki pozwala przypuszczać, że używany materiał jest doskonałej jakości.

- Nawet w dopracowanym układzie mogą się znaleźć niedociągnięcia.

- Przypuśćmy. Pytanie numer dwa: dlaczego wybuchł pożar? W rzeczywistości jest to pytanie podwójne. Postawie je lepiej tak: dlaczego pożar wybuchł i gdzie?

- Może pan odpowiedzieć na to podwójne pytanie?

- Tak, ponieważ prowadzi ono do trzeciego pytania, według mnie najważniejszego, które zostaje bez odpowiedzi i znak zapytania, który przy nim stoi, jest równie wielki jak tęcza pojawiająca się na horyzoncie.

Parsknęłam ironicznie:

- Stał się pan teraz poetą? Nie wiedziałam, że zawód policjanta predestynuje do poezji. Co za śmiałe obrazy

podsuwa panu wyobraźnia!

Puścił to mimo uszu.

- Oto pytanie numer trzy: Co robiła między częściami zestawu stereo długa, stalowa rura, nie mająca tam nic do roboty? Tę stalową rurę żandarmeria pokazała różnym producentom sprzętu stereo i wszyscy stwierdzili kategorycznie: ta rura nie należy do żadnej części zestawu. To jest obiekt całkowicie obcy, innego pochodzenia... Co pani o tym myśli?

I ten padający deszcz!... Pewnie od przyglądania mu się miałam całkowicie zlodowaciałe plecy!...

Rozdział XVIII

Odeszłam od okna i zbliżyłam się do płonących na palenisku polan. Rzuciłam kilka na ruszt i zmarznięta, trzymałam dłonie nad płomieniami, które unosiły się, jasne i przyjazne. Przyjemne do chwili, gdy przypomniałam sobie płonące drwa, całkiem podobne do tych, które płonęły na palenisku kominka Vincenta Legarda, sadysty, który mnie zgwałcił. A pogrzebacz był całkiem podobny do tego, który właśnie wzięłam do ręki, by podgarnąć rozżarzone węgle...

- Co o tym myślę, komisarzu? Naprawdę, nie mam żadnej opinii.

- Proszę mi pozwolić podkreślić pewną sprawę, droga pani. Analiza laboratoryjna wykazała, że to rura zawierała kwas i że jej otwór był zatkany korkiem, przez który był przeciągnięty miedziany drut. Dalej, bardzo prawdopodobne, że rura została umieszczona obok ładunku zapalającego wewnątrz pudełka wielkich zapalek. Wie pani, takie zapalki, które służą do podgrzewania cygar przed zapaleniem i które są używane przez prawdziwych amatorów cygar, do których i ja, nie chwaląc się, należę.

Kwas przegryzł miedziany drut, następnie wylał się i zapalił ładunek, od którego z kolei zapaliły się zapalki. Ta metoda jest dość rzadka, a w każdym razie oryginalna, sprytna i nie pozbawiona przebiegłości. Czy to nie otwiera pani nowych horyzontów?

Nie odezwałam się, a mój umysł pracował na pełnych obrotach.

- Mam głębokie wewnętrzne przekonanie - kontynuował obojętnym tonem - że zbrodnicza ręka wsunęła tę diabelską rurę do jednej części zestawu stereo wiedząc, że pani mąż będzie go wiozł samochodem tego poranka i pożar wybuchnie w czasie jazdy na trasie między zamkiem, a jego biurem. Ta sama ręka przezornie uszkodziła zapięcie pasa.

Drgnąłam i przerwałam kontemplację płomieni, by odwrócić się do niego.

- Uszkodziła?

- Tak, proszę pani. W bardzo prosty sposób, wprawdzie pod warunkiem posiadania pewnej znajomości fizyki. Zapięcie pasa w porsche, którego prowadził pani mąż, ma dwuczęściowy zatrzask magnetyczny. Jedna część przymocowana do obejm, znajduje się na końcu krótkiego, nieruchomego pasa, który drugim końcem przytwierdzony jest do podłogi. Część druga znajduje się w końcówce nawijanej automatycznie i zakończonej zaczepem. Kiedy końcówkę z zaczepem wkładamy do otworu obejm, zaczyna działać magnes. Przy rozpinaniu musi wystąpić zjawisko diamagnetyzmu, czyli namagnesowanie przeciwne do tego, które powoduje zapięcie. Na skutek tego zjawiska zaczep zostaje wyrzucony z obejm. Jak powstaje zjawisko diamagnetyzmu? Kiedy naciska się palcem na przycisk zwalnicza zapięcia, powoduje się wprowadzenie kawałka metalu silniej namagnesowanego niż ten, który

utrzymuje zaczepek w otworze, i w rezultacie zaczepek się uwalnia. Oczywiście, działanie tego kawałka metalu może zostać zneutralizowane, jeśli inny kawałek metalu namagnesowanego jeszcze silniej zniesie jego pole magnetyczne. Może to być na przykład blaszka z niklu... Och, nie potrzeba dużej! Wystarczy kształt i rozmiar znaczka pocztowego... I to się właśnie wydarzyło!... Laboratorium odnalazło stopiony nikiel w obejmie zapiecia.

Trzeba było temu zbyt inteligentnemu glinie zamknąć usta!

- Olivier miał jedną ze swoich fantazji! Czegóż nie szukał, by uratować własną śmierć!

Dorval patrzył na mnie osłupiały.

- Własną śmierć?

Zacisnęłam wargi w pogardliwym grymasie.

- Naturalnie, własną śmierć! Chyba pan nie sądzi, że został zamordowany?

Odczuwałam głęboką, bezsensowną radość widząc, jak wytrzeszcza oczy.

- Jeśli mogłaby pani to wytłumaczyć?...

- To przecież jasne. Popelnił samobójstwo i już! Pan dostał zagadkę, komisarzu. Powinien pan zamknąć swoje teczki z aktami. Mówię wyraźnie, swoje teczki z aktami! W liczbie mnogiej! Teczki z aktami dotyczącymi śmierci Oliviera, morderstwa Weroniki La Trilliere, śmierci Denisa i być może teczkę z aktami dotyczącymi „wypadku”, który przydarzył się ich siostrze Fryderyce. Przełknął z trudnością ślinę i już się nie nadymał.

- Co pani chce powiedzieć?

- Wstyd mi, bo go poślubiłam. Ale Olivier był diabolicznym zbrodniarzem. Zbrodniarzem klasy Kuby Rozpruwacza, rzeźnika z Dusseldorfu, doktora Petiot, czy Landru. Nowy Doktor Jekyll i Mr. Hyde. Od

pewnego czasu jego interesy nie były kwitnące, ale trafiła się szansa poślubienia młodej i niewinnej dziedziczki. Mnie. Dziedziczki posiadającej połowę zamku i poważny majątek. Jak pan przed chwilą powiedział, dwie rzeczy, z którymi człowiek nie czuje się nigdy sam. Zdecydował więc, dłużej nie czekając, położyć na tym rękę. Ale na drodze piętrzyły się przeszkody. Państwo La Trilliere, mieszkający w zamku. Chciał spowodować ich wyjazd, aby przygotować i wykonać dwa morderstwa, które projektował. Moje i Eleonory. Żeby odziedziczyć zamek i majątek.

Przerwał mi pospiesznie.

- Nie wymieniła pani tych dwóch morderstw w odpowiedniej kolejności. Muszę sprostować, morderstwo pani siostry najpierw, dopiero potem pani. Inaczej jak mógłby dziedziczyć po pani siostrze, jeśli pani by już nie żyła? Mógłby, rzecz jasna, ale przy innej kolejności byłoby to dużo łatwiejsze.

- Właśnie, i dlatego postąpił inaczej. Zaczął, z tego powodu, od wyeliminowania Weroniki, Denisa i prawdopodobnie również Fryderyki La Trilliere.

- Czy pani ma dowody na to, co mi sugeruje?

- Eleonora ma.

Szczęka opadła mu ze zdziwienia.

- Pani siostra?

- Tak.

- Jakie dowody?

- Szalik, którym zamordowano Weronikę. Przełknął ślinę z taką łatwością, jakby miał tuzin jeźowców w przelyku.

- Szalik? - wybełkotał.

Powtórzyłam mu to, co Eleonora mi opowiedziała na temat tego szalika.

- Dlaczego mi wtedy nie powiedziała? - spytał zdumiony.

- Eleonora nie ma usposobienia konfidenta policji. Ponadto, nigdy nie jest przyjemnie dowiedzieć się, że ma się szwagra zbrodniarza. Wreszcie, ona mnie bardzo kocha i bała się mnie zmartwić.

- Wszystkie te powody są chyba mniej ważne niż niebezpieczeństwo zamieszkiwania pod jednym dachem?

Wstrzymałam oddech i naturalnie nie znalazłam kontrargumentu. Żeby zmienić temat, zaczęłam mówić o śmierci Denisa.

- Olivier schodził ze strychu. Eleonora go widziała.

-Koniecznie muszę jak najszybciej porozmawiać z pani siostrą.

Odwrociłam głowę w stronę okna.

- Niech pan zaczeka, aż deszcz ustanie, jeśli ustanie! Zależy, dokąd się udała... Drzewa w lesie zawsze przyciągają deszcz... To jest nieuchronne.

- Czekaając na nią, niech pani kontynuuje wykład na temat powodów, dla których mąż pani targnął się na swoje życie.

- Porozmawiajmy o zamordowaniu Weroniki i prawdopodobnie Denisa. Jeśli chodzi o śmierć Fryderyki, coś łatwiejszego, niż wsunąć śmiertelną truciznę między lekarstwa, z których sporządzała swój „kompot”? Olivier mógł znaleźć bezpieczny sposób. Żadnego dowodu w sprawie Fryderyki?

- Nie. Niech pani kontynuuje.

- Kiedy rodzice wyjechali, Olivier zaatakował mnie. Nawet nie dał sobie czasu, by odetchnąć.

- Niech pani opowie.

Drżąc z przerażenia, zrelacjonowałam mu okoliczności, w których Olivier dwa razy strzelił do mnie z fuzji, rzekomo celując do lochy i o tym, jak omal nie zanurkowałam głową naprzód w palenisku pełnym płonących węgli.

- Machiavelliczne!

To był jedyny komentarz, który przeszedł mu przez usta. Otrząsnął się i zbliżył do ognia na kominku, tuż przy mnie.

- Może to były tylko przypadki? To mnie rozzłościło.

- Przypadki? I co jeszcze?

- Niech się pani nie denerwuje. To wszystko nie mówi nam jednak, dlaczego mąż pani popełnił samobójstwo. Sądzę, że wydawało mu się, że jest na dobrej drodze. Wylimitował dzieci państwa La Trilliere, powodując tym samym odjazd rodziców z zamku. Droga była wolna, mógł popełnić morderstwa, które zaplanował. Wprawdzie dwa razy nie udało mu się z panią, ale...

- Nic pan nie rozumie? Właśnie te dwa chybione strzały go zaniepokoiły. Trzeba było widzieć postawę, którą Eleonora i ja przyjęłyśmy w jego oczach po tym, jak wszystko odgadłyśmy i wszystko przepadło. Bez wątpienia bał się, że go oskarżymy. Zastanowił się, rozważył wszystkie za i przeciw i z pewnością doszedł do wniosku, że lepiej umrzeć, niż iść do więzienia. Kiedy doszedł do takiego wniosku, postarał się tak zaplanować samobójstwo, by wyglądało bądź jako wypadek, bądź jako morderstwo, aby z jednej strony zachować twarz, a z drugiej skierować podejrzenia na mnie, gdyby wersja morderstwa została przyjęta przez policję. Coś w rodzaju zemsty zza grobu, w pewnym sensie. Zemsta, by mnie ukarać za to, że nie zginęłam, gdy do mnie strzelał lub gdy sprowokował Bugattfego, by kopytem wysłał mnie do paleniska. I to był powód, dla którego wymyślił tak wyrafinowaną sztuczkę z kawałkiem niklu, czy tę rurę z ładunkiem zapalającym i wielkimi zapalkami.

Spojrzałam na niego. To, co właściwie opowiedziałam, było niepodważalne. Widziałam to wyraźnie na jego nagle zmienionej twarzy z malującym się na niej wyrazem zdumienia. Stał tak blisko, że

czułam jego oddech na policzkach. Odeszłam i odwróciłam się do okna. Deszcz padał nieprzerwanie.

Poczułam, że zbliżył się do mnie. Czułam jego oddech, który łaskotał mnie w ramiona. Z bardzo daleka, od strony naszych stajni, usłyszałam rżenie. Tym razem byłam pewna, że to Jemen, który dopomina się o swój codzienny spacer.

- Rżenie temu, kto o tym myśli...

Odwróciłam się szybko, a gdy zobaczyłam jego szyderczą minę, parsknęłam.

- Najpierw poezja, teraz kalambury. Ale ten jest doprawdy koński!

- To dla rozładowania atmosfery. Prawie mnie pani przekonała. Jednak koniecznie muszę zobaczyć pani siostrę.

- Przecież pada, a ona jest na przejeździe!

- Pojadę na miejsce samochodem. Niech się pani nie niepokoi. W końcu mam w samochodzie nieprzemakalny płaszcz.

Odwrócił się z uśmiechem podziękowania.

- Do zobaczenia niedługo.

Był już w drzwiach, gdy go zawołałam.

-Pańska chińska waza. Zatrzymał się.

- To prawda, zapomniałem... Chociaż nie codziennie wygrywa się zakład o takiej stawce. I to zakład, którego wygrania byłem pewny.

- Naprawdę?

- Zakładam się tylko wtedy, gdy mam pewność.

- Musi pan przyznać, że Olivier nieźle panu pomógł. Gdyby nie wpadł na pomysł samobójstwa...

- Przyznaję.

Znalazłam wielką plastikową torbę, aby mógł zapakować wazę i podałam mu ją.

- Dziękuję. Przed chwilą mówiła pani o swoim mężu, porównując go do Kuby Rozpruwacza, rzeźnika z Dusseldorfu i doktora Petiot, Landru i Mr. Hyde'a, ale pani sama, przed zamążpójściem, nosiła nazwisko znane w kronikach kryminalnych. Nazwisko, którego historycy nie zapomnieli...

Z pieczołowitością objął ręką torbę zawierającą wazę i skierował się do drzwi. Kiedy tam doszedł, zatrzymał się gwałtownie pukając się w czoło wskazującym palcem, zupełnie w stylu porucznika Colombo, gliniarza ze szklanym okiem z telewizyjnego serialu. Zawsze uważałam, że prawdziwi gliniarze nieświadomie naśladują filmowych i telewizyjnych superpolicjantów. Dorval był jednym z nich.

- Jest coś, *co* mi nie pasuje w pani wersji - powiedział powoli przeciągając sylaby.

- Co takiego?

- W czasie, gdy pani ojciec zginął na skutek tego okropnego upadku z konia, nie była pani jeszcze zamężna, jeśli się nie mylę?

Rozdział XIX

Oczywiście Eleonora potwierdziła moje słowa i komisarz odjechał w strugach deszczu tak samo mądry jak przedtem.

Eleonora była bardzo przebiegła. Zasugerowała, że Olivier z pewnością miał romans z Weroniką, tłumacząc moje milczenie na ten temat jako zrozumiałą powściągliwość żony, która nie chce przyznać, że mąż ją zdradza. Dodała, że Weronika mogła szantażować Oliviera grożąc, że wszystko mi powie. Ten miecz Demoklesa zawieszony nad głową kogoś, kto zamierzał posiąść mój majątek stał się punktem wyjścia dla całej serii zabójstw lub ich usiłowań, szczęśliwie zakończonych dzięki samobójstwu Oliviera.

Rozumowanie było poprawne i komisarzowi pozostało tylko odejść z chińską wazą pod pachą. Cóż mógł zrobić innego? Pewnie, posłał mi tę partyjską strzałę - nie byłam zamężna w czasie śmierci ojca, a z tego wynika, że jeśli ojciec został zamordowany, Olivier nie mógł być winny. Ale kto przypuszcza, że ojciec został zamordowany? To był wypadek, i koniec! Tak samo jak pożar, który zniszczył klinikę doktora Levasseur'a powodując śmierć jego i wielu pacjentów. Przecież wypadki się zdarzają.

Państwo La Trilliere nie byli obecni na pogrzebie Oliviera. Mówiono, że uciekli od nas, bo nie chcieli mieć do czynienia z Eleonorą i ze mną. Nie zajmował ich również fakt, że byli opiekunami Eleonory. Mimo wszystko poszłam ich odwiedzić, by porozmawiać na ten temat. Zobaczyłam dwoje skurczonych starców, apatycznych, trzęsących się, zagubionych wśród dziecinnych drobiazgów, skąpych, zapominających słów, o oczach ponurych i pustych,

przedwcześnie posiwiałych, z piętnem śmierci na wychudłych twarzach. Czy przeżyją jeszcze rok?

- Eleonora może zostać z tobą, nie widzę żadnych problemów - powiedział zmienionym głosem pan La Trilliere. - Mam do ciebie zaufanie, Katarzyno.

Dużo czasu upłynęło, od kiedy zwracał się do mnie tonem wysłannika Armii Kondeusza. Gdzieś się podziła jego arogancja. Zniknęła wyniosła buta! Poszła do lamusa pruska sztywność! Pewna myśl kołatała mi się po głowie, gdy przechodziłam koło cmentarza z szarymi krzyżami.

Wkrótce wybiorą się w swoją ostatnią podróż. W każdym razie jednej rzeczy byłam pewna. To nie oni mają zeszyt ojca. Byłam tego pewna od chwili, gdy ich zobaczyłam.

Więc teraz wiem, gdzie jest...

Znalazłam go po dwóch dniach poszukiwań. Muszę go jeszcze raz przeczytać, bo zrobiłam to tylko jeden raz, tak dawno temu. Tyle się od tamtego czasu wydarzyło! Tyle osób zmarło! Tyle zmian nastąpiło w moim życiu. Otworzyłam na pierwszej stronie. Od razu rozpoznałam znajome pismo ojca, jego cieniowaną kreskę w dawnym stylu. Zawsze unikał używania piór wiecznych, długopisów i flamastrów; pozostał przy obsadce ze stalówką „sierżant” i fioletowym atramencie. Słusznie czy niesłusznie uważał, że cywilizacja zatrzymała się w 1939 roku, akurat przed wybuchem drugiej wojny światowej. Uwielbiał jednak Eleonorę, dla której świat zaczął się z nadejściem muzyki pop. Zaczęłam czytać...

„Będąc u schyłku życia zaczynam się zastanawiać nad sobą...

Jaka to przemożna siła pcha mnie do zbrodni? Co za demon wewnętrzny wciąga mnie do udziału w tych „czarnych mszach”, w trakcie których składane są krwawe, śmiertelne ofiary. Jakie fatum sprawia, że wykazuję taką żarliwość w werbowaniu nowych adeptów do tych kryminalnych praktyk?

Wszystko zaczęło się od doktora Levasseur’a, psychiatry. Wszyscy psychiatry są trochę szaleni, ale wydaje mi się, że on - całkiem. Dla żartu zagadnąłem go o sprawy związane z czarnymi mszami i rytualnymi ofiarami. Wybuchnął śmiechem. Ale myśl zaczęła drażnić jego umysł.

Pewnego dnia zaproponował przeprowadzenie próby. Na to czekałem. W samej rzeczy, materiał ludzki to było to, czego mi brakowało, a on miał go do dyspozycji w swojej klinice. W takich klinikach psychiatrycznych są zamknięci ludzie, o których nikt się nie martwi. Zdarza się, że ich śmierć przynosi wyzwolenie i ulgę dla rodziny, która z pewnością nie będzie stwarzać problemów, jeśli drogi krewny lub droga krewna umrze gwałtownie w sposób brutalny i niewytłumaczalny. Pod warunkiem oczywiście, że starannie wybierze się przyszłą ofiarę.

I w ten sposób zaczęliśmy. Ja zostałem szefem, a on zajął się zaopatrzeniem. Muszę przyznać, że miał dobry gust.

Bardzo szybko zauważyliśmy jednak, że gdy oddajemy się tylko we dwóch tym praktykom, brakuje im uroku. Przedsięwzięliśmy więc, przy zachowaniu wszelkich ostrożności, próbę zwerbowania nowych zwolenników.

Tu popełniliśmy błąd. Błąd polegający na wtajemniczeniu Sabiny, mojej żony. Oczywiście nie wiedziała dotąd o niczym i przeraziła się. Zacząłem się bać, że może ujawnić tajemnicę. To było niebezpieczne. Skorzystałem z wakacji w Turcji, sam na sam z żoną, żeby upozorować wypadek samochodowy w górach Anatolii. Oziębilo się. Udałem, że mam koszmarną migrenę. Pojechała sama nad brzeg jeziora samochodem. Wiedziałem, że będzie miała zamknięte okna, bo jest zmarzluchem. Bagażnik wyładowany był poliuretanem, tworzywem sztucznym, z zapalnikiem. Składał się ze stalowej rury napęlnionej kwasem i zatkanej korkiem, przez który przechodził miedziany drut oraz ładunku wybuchowego. Jedno i drugie włożone było do pudełka z olbrzymimi zapalkami. Dla większej pewności uszkodziłem pas

bezpieczeństwa kawałkiem niklu wsuniętym do sprzączki z zaczepem.

Sabinę i samochód odnaleziono na dnie wąwozu. Turecka policja nie zadawała pytań. W stosunku do turystów nie są tam zbyt dociekliwi.

I tak stałem się wdowcem z dwiema córkami, Katarzyną i Eleonorą.

W towarzystwie innych osób Piotr Levasseur i ja mieliśmy lepsze osiągnięcia. To nadzwyczajne, jak ludzie nudzą się i są gotowi zgodzić się na wszystko, by tylko rozproszyć nudę. Czy może, mówiąc ściślej, godzą się, dlatego, że są to rozrywki kryminalne? Czy ta wada jest skutkiem uniformacji i nudy naszego konsumpcyjnego społeczeństwa?

Jaka by nie była przyczyna, werbowaliśmy chętnych we wszystkich środowiskach. Zadziwiający zachwyty dla naszych tajemnych zabaw. Nasze zaangażowanie było coraz większe. Coraz bardziej rosła liczba ofiar. Aż do dnia, w którym zadałem sobie te wszystkie pytania... Zwierzyłem się Piotrowi. Razem spokojnie, wnikliwie rozważaliśmy sytuację. Była przerażająca... Wspólnie badaliśmy naszą przeszłość. To był jego pomysł, gdyż rozpoznał na mojej twarzy znamiona kryminalnego dziedzictwa, jak to zostało określone w teorii Lombrosa, sławnego włoskiego kryminologa. W szczególności dostrzegł niezwykłą szerokość mojej dolnej szczęki... Nie mówiąc o nazwisku, które noszę.

Chciałem jeszcze usłyszeć...

- Drogi przyjacielu, nikt już dziś nie wątpi w prawdziwość praw Mendla o przenoszeniu z rodziców na dzieci różnych cech anatomicznych. W przypadku, którym się zajmujemy, trzeba dodać twierdzenie Lombrosa o piętnach kryminalnych, a zatem o nieodpowiedzialności karnej zbrodniarza.

Lombroso utrzymuje, że można powiązać skłonność do zbrodni z pewnego rodzaju profilem morfologicznym mającym związek z dziedziczeniem cech genetycznych. Inni poszli dalej. Tak więc najnowsze badania w dziedzinie psychopatologii mózgu i doświadczenia neurochirurgiczne dowodzą, że niektóre zmiany w mózgu mogą dać poważne zmiany w zachowaniu. Ściślej - poważne zmiany charakteru. Na przykład, takie zmiany jak stwardnienie mózgowe i zrośnięcie trzech opon mózgowych - to znaczy naczyniówki, twardówki i pajęczówki.

Ale wracając do Lombrosa, utrzymuje on, że zbrodniarz nie jest odpowiedzialny przed prawem, gdyż dziedziczy geny prowadzące go konsekwentnie do zachowań zbrodniczych. Tak jest, chociaż nie wiadomo, w którym momencie i na jakim szczeblu piramidy utworzonej ze wszystkich przodków jednostki, uformują się zbrodnicze geny...

Muszę przyznać, że kamień spadł mi z serca, gdy się dowiedziałem, że nie mogę odpowiadać przed sądem.

Ażeby sprawdzić na mnie twierdzenie Lombrosa, Piotr Levasseur przekonał mnie, że należy przystąpić do badań nad moimi przodkami. Pieniądze się dla nas nie liczyły. Zwróciliśmy się więc do specjalistów od genealogii, sprawdziliśmy mnóstwo dzieł kryminologicznych. Wertowaliśmy relacje ze spraw kryminalnych i sporządzone przez adwokatów opisy głośnych procesów, w których byli obrońcami. Przeczytaliśmy pamiętniki katów i policjantów, przewodniczących ław przysięgłych, dziennikarzy, nie mówiąc o archiwalnych zbiorach prasy. Tytaniczna praca, która trwała blisko pięć lat. Oto jej rezultaty:

Na podstawie drzewa genealogicznego sporządzonego przez ekspertów, sięgającego roku 1783 odkryliśmy w trakcie naszych badań, że w ciągu dziesięciu pokoleń wśród moich przodków znalazło się czternastu zbrodniarzy. Nie licząc tych, których prawdopodobnie nie udało się nam odkryć. Czternastu zbrodniarzy! Sześciu mężczyzn i osiem kobiet! Cytuję kilka sławnych spraw:

Katarzyna Morrison, trzydzieści dziewięć lat, osądzona 7 Messidora II Roku i pochowana na cmentarzu Picpus w jednej z dwóch zbiorowych mogił. Skazana na śmierć i zgilotynowana za morderstwo swojego męża, członka Konwentu.

Maria Teresa de Pastain, guwernantka dzieci hrabiego i hrabiny de Cerguigny. Spowodowała zniknięcie najpierw dwojga dzieci, potem hrabiny. Następnie zamordowała hrabiego, którego udało jej się poślubić. Uciekła z częścią jego majątku. Aresztowana w Lille, została skazana na śmierć. Wyrok wykonano 14 czerwca 1882 roku.

Jej bratanek, Jakub de Pastian, morderca generała Legranda, który mu odmówił ręki swej córki. Skazany na dożywotnie galery.

Augustyn Morrison - Pollet, morderca swojego wspólnika, dobrze prosperującego bankiera. Zgilotynowany 3 lutego 1881 roku.

Leontyna Pollet, mózg bandy groźnych rozbójników, którzy grasowali na północy Francji w końcu XIX wieku. Mieli na koncie liczne grabieże i morderstwa. Oprócz niej, wszyscy członkowie bandy zostali aresztowani i skazani na śmierć. Zniknęła, jakby się zapadła pod ziemię.

Piotr de Pastain, rywal Landru, wieczny konkurent i morderca swoich narzeczonych, bogatych wdów. Zgilotynowany 8 listopada 1932 roku.

I jeszcze tylu innych... A na zakończenie - mój ojciec...

W czasie okupacji niemieckiej zamordował kilkanaście osób, które próbowały uciec do Ameryki Południowej biorąc go za pośrednika ułatwiającego załatwienie formalności urzędowych, niezbędnych do nielegalnego przekroczenia granicy. Rozpłynął się w powietrzu po wyzwoleniu.

Piotr Levasseur udowodnił, że ma rację. Żeby doprowadzić do końca swój dowód, sporządził mój kariotyp, czyli badanie chromosomów i odkrył anomalię XYY, „chromosom zbrodni” - chromosom uważany za odpowiedzialny za skłonności przestępcze.

Uspokoilem się. Mogę żyć spokojnie! Nie mogę odpowiadać za przestępstwa, które popełniłem. Teraz byłem spokojny i wiodłem spokojne życie, wolne od trosk. Od czasu do czasu, razem z Piotrem Levasseurem i innymi zwolennikami oddawaliśmy się naszym ulubionym zajęciom i byliśmy szczęśliwi. A raczej *ja* byłem szczęśliwy, gdyż nic nie świadczyło o tym, że inni uczestnicy korzystają z takiej możliwości, jak ja. Nic nie świadczyło o tym, że tak jak ja mają skłonności do zbrodni we krwi. Lecz ten, kto będzie czytał ten zeszyt, musi zadać sobie logiczne pytanie: Dlaczego napisał ten obwiniający go tekst? Odpowiedź jest prosta.

Skoro mam skłonności do zbrodni we krwi, moje córki, Katarzyna i Eleonora, z pewnością też ją mają. I jeśli pewnego dnia popełnią przestępstwo, chciałbym, żeby wiedziały, że w żadnym wypadku nie mogą za nie odpowiadać.

One są takie jak ja. Czy jestem winny, jeśli zabijam?... Czy jestem winna, jeśli zabiłam Edytę? Czy jestem winna, jeśli...

Głęboko odetchnęłam pełną piersią. Wiedziałam jednak, że ojciec okazał się trochę naiwny. Bardzo łatwo jest przelać na papier te wszystkie rewelacje, ale ten dokument jest po prostu wybuchowy! To jest prawdziwy ładunek dynamitu! Nie dorobiliśmy się jeszcze poziomu cywilizacyjnego, na którym sędzia uwierzy w zbrodnicze dziedzictwo i wypuści z sali sądowej na wolność obciążonego dziedzicznie przestępcę. Rozumować tak jak ojciec, to czyste szaleństwo! Ponieważ niezależnie od tego, czy coś zrobię, czy nie, ten zeszyt zawsze będzie mnie obwiniał. Lepiej go zniszczyć.

Wzięłam się do tego natychmiast. Zauważyłam leżące przy zeszytce pudełko olbrzymich zapalek, całkiem podobnych do tych, których użyto do spowodowania pożaru w samochodzie Oliviera. Wyrwałam kartki z zeszytu, zgmiotłam w kulę, lekko wygładziłam i zapaliłam całe pudełko. Ze stronic zeszytu zrobiłam świąteczny lampion. Kiedy wszystko było spalone, klasnęłam w ręce. Żegnaj, oskarżycielski zeszytce.

Właśnie wtedy usłyszałam za sobą hałas.

Rozdział XX

Odwrociłam się.

To było tak, jakbym spojrzała na swój portret, jak bym spojrzała w lustro. Takie same blond włosy, takie same lodowate oczy, zielone jak algi morskie, takie same... Ale jej dolna szczęka naprawdę była niezmiernie szeroka!... Ubrana była w sprane dzinsy wsunięte do skórzanych botków, koszulkę z napisem wykonanym czerwonymi literami „Michigan University” i...

Doprawdy, przede wszystkim widać było jej oczy. Jak już mówiłam, oczy lodowate... Tak lodowate jak sople lodu, nieruchome, jakby nie należały do istoty ludzkiej. Jakby jej twarz składała się tylko z oczu. Powieki miała nieco opuszczone, jakby światło dnia im przeszkadzało.

- Wiesz wszystko o zeszycie? - zapytała.

- Oczywiście.

- Skąd?

- Ojciec dał mi go do przeczytania. Ze zdziwienia podniosła brwi.

- Z własnej woli?

- Tak.

- Nie zwędziłaś go z gabinetu, żeby poczytać?

- Nie. Za to ty zwędziłaś go z gabinetu po śmierci ojca. Przytaknęłam.

- Pierwszy raz wpadł mi w ręce, gdy cię zawieziono do kliniki doktora Levasseur'a, ponieważ byłaś, jak mówiono, chora. Ojciec wyszedł w pośpiechu i zostawił otwarty zeszyt na biurku. Przeczytałam go. Później, gdy już nie żył, zabrałam go i schowałam. Chciałabyś, żeby wpadł w obce ręce i żeby wszyscy poznali jego zawartość?

Westchnęłam.

- Dobrze zrobiłaś, ale lepiej było go natychmiast zniszczyć.

Wzruszyła ramionami i zaczęła zbierać czyste kartki i okładki zeszytu, których nie spaliłam.

- A ty, Katarzyno, powinnaś zniszczyć wszystko, a nie zadowalać się tylko kartkami zapisanymi.

Wybuchnęłam śmiechem.

- W każdym razie nikt nie może wiedzieć, że jesteśmy obciążone dziedziczną wadą.

Pewna myśl przyszła mi do głowy.

- Powiedz mi, Eleonoro, czy „Najmilsza Bibi” nie przyszła dzisiaj?

- Pech, co? Myślałaś, że jest tutaj i skorzystała z tego, żeby przetrząsnąć moje rzeczy i położyć rękę na tym cholernym zeszycie.

- Wiedziałam, że to ty, od kiedy komisarz Dorval wytłumaczył mi, jak zginął Olivier. Ta sama technika...

Technika opisana w zeszycie... Taka jak ta, która spowodowała śmierć matki...

-„Najmilsza Bibi” mogłaby ci powiedzieć, że jestem bardzo mocna w fizyce i chemii. Zastosowanie techniki wymyślonej przez ojca to dziecinna zabawa. Wystarczyło zauważyć, że wykładziny opakowania zestawu stereo są zrobione z tworzywa poliuretanowego, zmajstrować za palnik... Nie muszę ci mówić, że jeśli chodzi o kwas, drut miedziany, zapalniczki i kawałek niklu do zablokowania pasa, są to rzeczy łatwe do załatwienia?

Usiadła spokojnie w wycięciu strzelnicy. Byłyśmy na szczycie „naszej wieży”, a wokół rozciągała się niepokojąca zieleń lasu, ciemna pod ołowianym niebem. Eleonora miała na sobie tylko koszulkę z napisem „Michigan University”, ale nie wyglądało na to, że odczuwa ukąszenie zimna. Co prawda, nie jest takim zmarzłuchem jak ja. Tym niemniej, gdy patrzyłam na nią tak lekko ubraną, przechodził mnie dreszcz. Zdjęła z ramienia nieodłączny, przenośny magnetofon, który włożyła wszędzie ze sobą i położyła pod wycięciem strzelnicy. Czyżby miała zamiar nagrać szum wiatru? Poczulałam skurcz w gardle.

- Powiedz, Eleonoro, czy tych innych to też ty? To nie były wypadki, lecz morderstwa i ty jesteś za nie odpowiedzialna?

Wyciągnęła długopis wpięty w kieszeń dzinsów i zaczęła bazgrać na jednej z czystych kartek zeszytu, a jego okładka służyła jej za stolik. Twarz miała nadąsaną i już nie widziałam jej oczu opuszczonych na papier. Pochyliła

głowę na bok, wysunęła koniec języka i wygląda na głęboko pogrążoną w czynności, której się oddawała. Powtórzyłam moje pytanie.

- To ty, prawda?

Jej głos był ochryply, gdy odpowiedziała.

- Tak. Spojrzałam na nią.

- Zaczęłaś od doktora Levasseur'a, zgadza się?

- Zgadza się.

- Następnie ojciec?

- Następnie ojciec.

- Potem zabrałaś się do Weroniki?

- Ta mała kurwa dostała tylko to, na co sobie zasłużyła.

- Denisa usunęłaś z rozpędu? Zaśmiała się dźwięcznie.

- Powinnaś go zobaczyć oddającego się tym wstrętnym praktykom, tak zaślepionego żądzą i oczekiwaniem końcowego spazmu, że nawet mnie nie słyszał!... Był tylko głośny trzask, gdy belka roztrzaskała mu czaszkę.

- A Fryderykę?

- Fryderykę też. W końcu zanudzała mnie poza pseudointelektualistki i rozprawianiem bez końca o Marksie, Marcusie i Theilhardzie de Chardin! Do cholery z tym! Znalazłam jej drogę do Kathmandu!

Wściekłym ruchem złapała kartkę papieru pokrytą gryzmołami i niedbale rzuciła. Wiatr porwał ją poza wieżę. Natychmiast zaczęła zapisywać następną kartkę.

- I żeby zakończyć, Olivier...

- Przysporzył mi najwięcej kłopotów w porównaniu z innymi, razem z kliniką doktora Levasseur'a...

Zagryzłam wargi.

- Ale zapomniałaś o pewnym... Próbowałam sobie przypomnieć, ale nie mogłam.

- O kim?

- Raczej o czym. O usiłowaniu.

Nieprzyjemny dreszcz przeszedł mi po plecach, ale nie z powodu przenikliwego zimna.

- Usiłowaniu? Wy tłumacz.

- Palenisko.

- Pa...

- Tak, to byłam ja, nie Olivier.

W moich oczach pojawiła się groza, lecz Eleonora nie mogła tego zobaczyć, gdyż oczy wciąż miała spuszczone na kartkę papieru. Kartkę papieru, którą teraz zapisywała znacznie szybciej niż przedtem i którą niedbale rzuciła tak jak za pierwszym razem. Kartka zawisała na chwilę nad strzelnicami drząc niedostrzegalnie, następnie powiew wiatru poniósł ją daleko.

- Jak to zrobiłaś? Nie rozumiem, jak mogłaś tego dokonać!

Niewzruszona zajmowała się gryzmoleniem na następnej kartce, marszcząc nos, jakby poczuła nieprzyjemne ukłucie.

-Olivier odwrócił się do mnie tyłem. Okno stajni było otwarte. Wbiłam szydełko w chrapy Bugatti. Wierzgnął i pchnął cię w palenisko. Ale się nie udało...

Z trudem zachowałam zimną krew.

- A te pozostałe wypadki?

Głośno pociągnęła nosem. Początek grypy? Jeśli się jest w samej koszuli na gołe ciało, to nic dziwnego.

- Klinika? Byłoby to łatwiejsze, gdybym mogła prowadzić samochód. Musiałam dosiąść Hedjaza z dwoma kanistrami benzyny przywiązanych do siodła. Na szczęście nikt mnie nie widział. Opróżniłam je do zbiornika mazutu, służącego jako paliwo centralnego ogrzewania.

Przerwała na chwilę swoje bazgroły, żeby pochylić się i nacisnąć przycisk magnetofonu leżącego pod wycięciem strzelnicy.

Stary przebój Freda Astaira w modnej adaptacji wypełnił przestrzeń, która nas dzieliła.

When an irresistible force such as you Meets an old immorable object like me You can bet as sure as you live...

- Kiedy benzyna dostała się do palnika, ten eksplodował i ogień rozprzestrzenił się na klinikę - ciągnęła Eleonora obojętnym tonem, wybijając obiema nogami synkopowy rytm.

A może marzły jej nogi?

- A... z ojcem?

When an irrepressible smile such as yours. Warms an old implacable heart such as mine... Warms an old implacable heart such as mine...

Serce równie nieubłagane, jak moje! Jak prawdziwe są słowa tej piosenki!

- Przywiązałam koniec konopnej liny do pnia drzewa i schowałam się z drugiej strony alei przeciągając ją za sobą. Następnie luźno owinęłam dokoła pnia innego drzewa. Środek liny leżał na ziemi. Narzuciłam liści, żeby był niewidoczny. Ojciec nadjechał. Spiał Arabikę do galopu na początku alei. Moja pozycja znajdowała się tylko kilka metrów od przeszkody. Pociągnęłam z całej siły za koniec liny maksymalnie ją napinając. Arabika zawadziła o linę i ojciec został wyrzucony głową naprzód na mur. Ja oberwałam lekkie uderzenie w ramię!...

Don't say no because I insist

Somewhere, somehow, someone's gonna be kissed...

- Jak zabrałaś się za Weronikę?

Odwrociła ode mnie spojrzenie i powróciła do swoich bazgrołów.

- Proste, jak dzień dobry. Poszłam z nią na spacer do lasu. Kupiłam przedtem szalik w Prisunicu. Postarałam się, by znaleźć się za nią i owinęłam nim jej szyję. Pozostało tylko zacisnąć.

- Więc nigdy nie widziałaś tego szalika w samochodzie Oliviera, a to co mi opowiadałaś, było kłamstwem?

- Oczywiście! Tak, jak nie widziałam Oliviera schodzącego ze strychu po śmierci Denisa.

- Co dla niego zmagistrowałaś?

So on guard!

Who knows what the fates have in store?

For there's that fates sky...

- Piłą do drewna i młotkiem wybiłam drewniany kołek blokujący belkę tak, by wysunął się ze swojego miejsca. W dogodnym momencie wystarczyło mocne pociągnięcie kołka i belka spadła na czołkę Denisa.

Z powodu silnie wiejącego wiatru z trudem zapaliłam papierosa *Benson and Hedges*. Eleonora skorzystała z tego, by puścić z wiatrem kartkę papieru, którą zdążyła zapisać. I zaraz zabrała się za następną.

- Co się tyczy Fryderyki, przypuszczam, że weszłaś do jej pokoju i domieszałaś silną truciznę do specyfików, z których preparowała swój „kompot”?

- Dobrze zgadłaś.

Chytry uśmiech rozchylił jej wargi.

- Znalazłam ją w gabinecie ojca po jego śmierci. Tego dnia, gdy odzyskałam zeszyt. Fiolka zawierająca kapsułki z etykietką: „Silna trucizna”. Fiolka była akurat pod zeszytem.

Głęboko westchnęłam.

- Bardzo dobrze. Znam teraz sposoby, których użyłaś. Porozmawiajmy trochę o motywach. Dlaczego popełniłaś te wszystkie morderstwa?

FU try hard

I gnoring those lips I adore

But how long can anyone try?

Poderwała się.

- Nie pamiętasz, co ojciec napisał? -
zaprotestowała. - Czy jestem winna, jeśli zabijam? To
nie moja wina...

- Uwierzyłam, gdyby to były morderstwa
popelnione przypadkowo, ale to nie to. Twoją ręką
kierował rozmyślny zamiar.

- Po to żeby zostać tylko z tobą! Dobrze wiesz,
że cię Kocham! Zrobiłabym wszystko dla ciebie! A ty
zdradziłaś moją miłość! Zdradziłaś mnie z Olivierem!...

*Fight!... Fight!... Fight!... If we both might
Chances are some hearenly star spangled night
We'll fynd out as saure as we live Something's gotta give,
something's gotta give some-thing's gotta give*

Podniosła na mnie wzrok i w jej oczach
zobaczyłam błyszczące łzy.

- Ale ojciec i doktor Levasseur nie krępowali nas!
- zaproponowałam.

Zmięła wściekle pustą kartkę, zwinęła w kulę i
niedbale rzuciła nad strzelnicą.

- Po pobycie w klinice doktora mówiłaś przez
sen. Mówiłaś o Managui, o zabiciu Edyty...

Zabrzęczało mi boleśnie w uszach.

- ...Jak zepchnęłaś ją w otchłań... Bez przerwy
powtarzałaś to samo... Okropności, którym ojciec
oddawał się razem z doktorem Levasseurem i innymi...

Innymi Rzeczywiście, gdzie oni się podziali po śmierci ojca i doktora? Czy gdzieś prowadzą nadal swoje zbrodnicze praktyki?

- Twój pobyt w klinice też... Domyśliłam się, że wcale nie byłeś chora, że ojciec i doktor zamknęli cię w klinice, by usunąć niewygodnego świadka. Chciałam cię pomścić. Zrobiono ci krzywdę i musieli zapłacić ci, którzy byli za to odpowiedzialni, nawet jeśli chodziło o ojca. Zaczęłam działać... Co do państwa La Trilliere, to nie zaprzeczysz, że chciałeś się ich pozbyć? Zajęli nasz zamek, jak by byli Kozakami w 1815 roku...

Patrzcie, lekcje „Najmilszej Bibi” nie poszły na marne. Wiedziała mimo wszystko, że armia rosyjska w 1815 roku najechała na Francję.

- Wreszcie Olivier. Nieznośna była dla mnie myśl, że z nim sypiasz... Chciałam mieć cię całą dla siebie.

Piosenka przycichła, lecz moja pamięć przywołała usłyszane okruchy jej tekstu.

„*An irresistible force such as you*”...
Nieodparta siła,

jak ty *An old implacable heart...*” Stare,
nieubłagane

serce *So on guard! Who knows what the fates in store*

for there's that mysterious sky...” Strzeż się!
Kto wie, co przeznaczenie dla ciebie gotuje, bo niebios są tajemnicze... *I'll try hard ignoring those lips I adore*” Spróbuję

całkiem zapomnieć wargi, które
uwielbiam *Fight!*

Fight! Fight!... Something's gotta give...”
Walcz! Walcz! Walcz! Coś z pewnością się uda!

Czy pewnego dnia nie przyjdzie na mnie kolej. Któż to może wiedzieć? W każdym razie nie ja. Zresztą, Eleonora też nie. To nieubłagane serce.

Strzeż się! Kto wie, co przyniesie przeznaczenie? Czy to nie mnie pewnego dnia zabije? Z jakichś ciemnych powodów, które wyklują się w jej zbrodniczym umyśle? Walcz!... Walcz!... Coś z pewnością się uda!...

Zbliżyłam się do niej. „I dlatego spróbuję całkiem zapomnieć te wargi, które uwielbiam”... Przejrzała moje myśli. Czytała we mnie, jak w otwartej książce.

- Katarzyno! Oszalałaś? Nie chcesz mnie chyba zabić? Krzyczała, a wiatr porwał jej słowa. Nie dość szybko

jednak, abym ich nie słyszała.

- Katarzyno! Kocham cię! Nie zabijaj mnie, proszę! Nie ty!

Zerwała się na nogi. Nie miała już czystych kartek, na których bazgrała. Została jej w rękach tylko tekturowa okładka zeszytu. Gwałtownie nakreśliła na okładce kilka słów, po czym rzuciła ją przez ramię. Zanim stawiała mi czoła okładka zeszytu zniknęła za występem strzelnicy. Nie przewidziała mojego ruchu. Nachyliłam się, schwyciłam ją za kostki. Wyprostowałam się i z całej siły pchnęłam.

Wypadła przez szeroki otwór strzelnicy, a jej krzyk zmroził całe moje ciało.

„...Spróbuję całkiem zapomnieć wargi, które uwielbiałam...”

Zostałam tam przez czas, który wydawał się wiecznością, niezdolna poruszyć się. Drżałam z zimna, a ze zdenerwowania wszystkie członki miałam zeszywniałe. Pomału przychodziłam do siebie. Pewna myśl przysła mi do głowy. Okładka zeszytu! Co Eleonora mogła napisać?

Iskra elektryczna, która przeszła moje ciało wprawiła mnie w ruch. Odwróciłam się i podbiegłam do schodów, zlatując z nich jak szalona. Te stare, wyszlifowane przez czas stopnie, z których można spaść na zbity pysk!... Nie zleciałam na pysk i znalazłam się na zewnątrz cała i zdrowa.

Tak, zabiłam Eleonorę, ale czy jestem winna, jeśli zabijam?

Rozdział XXI

Długo szukałam okładki zeszytu. W końcu odkryłam ją zaczepioną na krzaku. Westchnęłam z ulgą, gdy przeczytałam słowa nabazgrane przez Eleonorę: *Zabiła mnie Katarzyna*. Zmuszona byłam spalić to wszystko i na wszelki wypadek rozrzucić popiół. Policyjne laboratoria mają swoje sposoby. A później wróciłam do ciała Eleonory.

Jej szyja była dziwnie skręcona, jak szyja zepsutej lalki, którą już nie bawi się dziecko. A jej blond włosy były przesiąknięte lepłą krwią, osuszaną przez wiatr. Krwią, z którą mieszały się resztki substancji mózgowej łososiowego koloru. Jej oczy wciąż były lodowate, ale teraz było to zrozumiałe. To były oczy trupa, który wpatrywał się w niebo, nie widząc go.

Pytam jeszcze raz: co innego mogłam zrobić? Pamiętam stare wypracowania z francuskiego, które mi zadała „Najmilsza Bibi” kilka lat temu. Jego tematem był cytat

z Andre Malraux: „Życie jest nic nie warte, ale nic nie jest warte życia”. Zastosowałam ten cytat w praktyce.

Życie jest nic nie warte - życie Eleonory.

Nic nie jest warte życia - mojego życia.

Jak by nie było, nie jestem pewna, czy Eleonora po zastanowieniu życzyłaby mi tego. Przed śmiercią powinna zrozumieć sytuację, zgodzić się ze mną i wybaczyć. Na moim miejscu zrobiłaby to samo.

Przysięgłam przynosić mnóstwo kwiatów na jej grób i rozmawiać z nią przez grobową płytę, aby nie czuła się samotna... To będzie mój sposób na to, by mi wybaczyła. W każdym razie będzie mi brakować Eleonory...

Dalej, czas wszystkich zaalarmować...

Jestem pewna, że komisarz Dorval nie uwierzył w ani jedno słowo z tego co mu opowiedziałam. Wspiął się ze mną na szczyt wieży, na to co było „naszą wieżą”, Eleonory i moją i z namysłem wpatrywał się w horyzont.

- Stąd spadła?

- Tak. Wypadek. Za bardzo się wychyliła. Uśmiechnął się szyderczo, słysząc słowo „wypadek”.

Zawsze próbował spowodować, żebym stchórzyła. Byłam niewzruszona, jak skała. Miałam wrażenie, że biorę udział w podniecającej partii szachów. Zawsze byłam mocna w szachach. Za każdym razem wygrywałam z „Najmilszą Bibi”.

Niezmordowanie zadawał mi podstępne pytania, ale wiedziałam, do czego zmierza. Miałam do siebie zaufanie. Wiedziałam, że jest piekielnie inteligentny. A jednak nie ustąpiłam o piędź i byłam z tego dumna. Żadnych rumieńców, żadnej bladości ani trzepotania rzęs. Żadnego drżenia twarzy. Ręce też mi nie dygotały.

Ponieważ miałam wielką ochotę zapalić, wyjęłam paczkę *Benson and Hedges* i poczęstowałam go. Nie jestem zawzięta. W końcu wykonywał swoją pracę. Zasłonił płomień zapalniczki dłońmi, umożliwiając mi zapalenie papierosa.

Zaciągnął się głęboko i odwrócił głowę.

- Jak to się stało, że pani siostra miała na sobie tylko koszulkę? Przy takim wietrze na szczycie wieży.

Powstrzymałam się, by nie roześmiać mu się w nos.

- Wie pan, ktoś, kto urodził się w tym zamku, jest przyzwyczajony do zimna i wiatru.

- Mimo wszystko! Do tego stopnia? Nie skomentowałam.

- Proszę powtórzyć, co robiła podczas waszej rozmowy.

- Bazgrała na kartkach papieru. Trzymała plik w palcach. Usiadła na strzelnicy, wyciągnęła z kieszeni dzinsów długopis, który pan przed chwilą znalazł...

Wyciągnął ten długopis z kieszeni i badał z namysłem, jakby miał nadzieję, że ten przedmiot przyniesie formalne zaprzeczenie moim wyjaśnieniom.

-To zwykły długopis. Kosztuje pięć franków w każdym sklepie.

Wzruszył ramionami, nieczuły na sarkazm.

- Niech pani mówi dalej.

- No więc... wzięła się do bazgrania na tych kartkach nie przestając mówić. W miarę, jak zapełniała kartki, rzucała je niedbale i puszczała z wiatrem. I tak... W pewnej chwili musiała popełnić błąd, wyrzucając kartkę, na której napisała coś takiego, co było dla niej ważne, gdyż wstała, rzuciła się do strzelnicy wyciągając rękę, by złapać papier, który cisnęła, i...

Westchnęłam ze znużeniem.

- Biedna Eleonora! Spadła.

Ukryłam twarz w dłoniach, odłożywszy papierosa.

- To straszne, komisarzu!...

Podszedł. Patrząc między palcami zobaczyłam, że rozgniata obcasem niedopałek papierosa.

- Ten przenośny magnetofon, leżący pod strzelnicą, należy do pani? - spytał słodziutkim głosem.

- Do mojej siostry.

Zbliżył się do strzelnicy, pochylił i podniósł magnetofon. Rzuciłam się do gładkich wyjaśnień.

- Eleonora włączyła go wszędzie ze sobą. Mówiłam już panu, że szalała za muzyką pop. Pamięta pan, wykosztowała się na nowy zestaw stereo, tak nowoczesny, że Olivier od...

Udałam, że powstrzymuję szloch.

- Odsprzedził swój, żeby kupić taki sam.
Tłumaczy to dlaczego opakowania kartonowe...

Przerwał niecierpliwie:

- Pamiętam bardzo dobrze.

Usiadł na tym samym miejscu, gdzie siedziała Eleonora, kładąc magnetofon na kolanach w chwiejnej równowadze. Długo manipulował klawiszami.

I nagle słowa piosenki, której słuchała Eleonora rozbrzmiały w powietrzu, trochę stłumione porywami wiatru owiewającego szczyt wieży, która już nie była „naszą wieżą”.

So on guard

Who knows what the fates have in store?

Eleonora jak żywa stanęła mi przed oczami...
W koszulce przekreślonej napisem „Michigan University”... w spranych dżinsach... z posępną miną...

Fight!... Fight!... Fight!...

I te wargi, które uwielbiałam...

Te blond włosy, teraz splamione krwią...

Te lodowate oczy...

Something's gotta give...

Coś nieuchronnie musiało pęknąć... Pęknął jej kark.

Jej kark...

Trzask wyłączonej baterii i znowu zapanowała cisza. Komisarz Dorval obojętnie stukał palcami w futerał magnetofonu.

- Jak pani mówiła, trzeba naprawdę szaleć za muzyką pop, żeby wszędzie spacerować z tym sprzętem - stwierdził z niezadowoleniem.

- To jej pasja, obok astrologii.

Czy sporządziła swój horoskop na dzień dzisiejszy? Czy koniunkcja Marsa z Uranem znajdowała się w zbliżeniu ze Słońcem? Czy Słońce było w opozycji do Urana i Saturna? Czy wiedziała, że umrze?

I nagle wydało mi się, że tracę zmysły. To niemożliwe! Ja śnię! Z magnetofonu wytrysnął głos Eleonory.

Katarzyno! Oszalałaś? Chyba nie chcesz mnie zabić?...

Kilka sekund ciszy.

Katarzyno! Kocham cię! Nie zabijaj mnie! Proszę cię! Nie ty!...

Słowa, które wypowiedziała przed śmiercią!

Jak to się stało, psiakrew?

Ujrzałam ją, jak manipulowała klawiszami magnetofonu. Przyszła mi do głowy okropna myśl. Ona wiedziała. Miała się na baczności. Wcisnęła klawisz „zapis” magnetofonu. Odtwarzana piosenka, *Somethng's gotta give*, musiała być na końcu zapisanej części taśmy, której dalszy ciąg był czysty. Zaczekała po prostu na koniec

piosenki i nacisnęła klawisz zapisu, zanim wykrzyczała oskarżające słowa. Tak jak nagryzmoła oskarżające słowa na okładce zeszytu.

Ale jak mogła przewidzieć? W mojej głowie rozbłysła oczywista prawda: jej horoskop!

Przed chwilą zadałam sobie pytanie, lecz niepotrzebnie. Przystudiowałam swój horoskop i położenie planet na dzisiejszy dzień i...

Komisarz Dorval niestrudzenie cofał kawałek taśmy, na którym słychać było błaganie Eleonory: Katarzyno! Kocham cię! Nie zabijaj mnie! Proszę cię! Nie ty!...

- Dwie siostry kochają się czułą miłością... – rzucił szyderczo.

Jak mógł to zrozumieć? A ona była pewna, że dziś umrze. Była fatalistką. Każdy astrolog jest fatalistą. Więc nie buntowała się. Zaakceptowała swój los. Lecz chciała jakoś zemścić się na mnie, bo zdradzałam ją z Olivierem. Może nie zrobiła tego umyślnie? Może przez przeoczenie, w chwili emocji jej palec nacisnął klawisz zapisu? Jak się o tym dowiedzieć? To niemożliwe. Ona nie żyje.

Nie zabijaj mnie! Proszę cię! Nie ty!...

Jej ostatnie słowa znowu umierały...

Te wargi, które uwielbiałam...

Komisarz Dorval podniósł się ze swej strzelnicy. Wyglądał na znużonego i zniechęconego.

- A więc, to pani? Nie odpowiedziałam.

-Pani siostra, pani mąż, troje dzieci LaTrilliere i być może...

Usta miałam uparcie zaciśnięte. Po co przeczyć. Nie uwierzą mi w żaden sposób. Okoliczności są przeciwko mnie. Jak mu wytłumaczę, że to nie moja wina, że zabiłam Eleonorę? Tak, jak nie było mojej winy w Managui, tego dnia, gdy zepchnęłam Edytę do otchłani, która otworzyła się u naszych stóp. I jeszcze, jak wbiłam pogrzebacz w oko sadyście, który mnie zgwałcił.

Spaliłam zeszyt, w którym ojciec wytłumaczył to wszystko. Ten dowód zniknął. Więc co mogę zrobić? Krzyczeć jak ojciec i Eleonora przed śmiercią.

Czy jestem winna, jeśli zabijam?

Komisarz Dorval ujął mnie za ramię.

- Proszę iść ze mną, córko markiza de Brinvilliers...

KONIEC

„KB”